



artefakty

# WALTER TEVIS

PRZEDRZEŹNIACZ



# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Spofforth

Bentley

Spofforth

Bentley

Mary Lou

Bentley

Spofforth

Bentley

Mary Lou

Bentley

Mary Lou

Bentley

Spofforth

o autorze

Walter Tevis

PRZEDRZEŹNIACZ

Przełożył Robert Waliś

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2015

Tytuł oryginału: *Mockingbird*

Copyright © 1980 by Walter Tevis

Copyright for the Polish translation © 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Crayon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miskurka

ISBN 978-83-7480-568-1

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dla Eleanory Walker.*

„Wewnętrzne życie człowieka to rozległa i zróżnicowana kraina, która nie ogranicza się wyłącznie do stymulującego zestawienia koloru, formy i kompozycji”.

Edward Hopper

## SPOFFORTH

Idąc Piątą Aleją o północy, Spofforth zaczyna pogwizdywać. Nie zna tytułu tego utworu ani go on nie obchodzi; to złożona melodia, którą często gwizdże w samotności. Jest nagi od pasa w górę i bosy, ubrany tylko w spodnie w kolorze khaki; czuje pod stopami starą zniszczoną nawierzchnię. Chociaż idzie środkiem szerokiej alei, po obu stronach widzi kępy trawy oraz wysokie chwasty w miejscach, gdzie chodnik dawno temu popękał i się powykruszał, czekając na naprawy, których nikt nigdy nie wykona. Pośród traw odzywa się zróżnicowany chór owadów, rozlegają się odgłosy postukiwania i pocierania skrzydłami. Te dźwięki go niepokoją, jak zawsze o tej porze roku, wiosną. Chowa masywne dłonie do kieszeni spodni. Potem, jako że jest mu niewygodnie, ponownie je wyciąga i rusza truchtem, potężny i lekki, wysportowany, kierując się ku ogromnej bryle Empire State Building.

\* \* \*

Drzwi do budynku miały oczy i głos, a także durny mózg – ograniczony i nieczuły.

- Zamknięte na czas remontu – oznajmiły, gdy Spofforth się zbliżył.
- Bądź cicho i otwieraj – odparł Spofforth, po czym dodał: – Jestem Robert Spofforth. Marka Dziewięć.
- Przepraszam pana – odpowiedziały drzwi. – Nie widziałem...

– Tak. Otwieraj i powiedz ekspresowej windzie, żeby po mnie zjechała.

Drzwi przez chwilę milczały.

– Winda nie działa, proszę pana.

– Cholera – parsknął Spofforth. – No to pójdę schodami.

Drzwi się otworzyły, a Spofforth wszedł i ruszył przez ciemny hall w stronę klatki schodowej. Przytłumił obwody bólu w nogach i płucach, po czym zaczął się wspinać. Już nie pogwizdywał; jego złożony umysł skupił się wyłącznie na dorocznym postanowieniu.

Kiedy dotarł do krawędzi platformy, czyli najwyżej w mieście, jak tylko dało się stanąć, wysłał polecenie do nerwów w swoich nogach, a wtedy przeszył je ból. Lekko się zachwiał, samotny pośród czarnej nocy, wysoko pod bezksiężycowym niebem, które rozświetlały tylko blade gwiazdy. Pod nogami miał gładką, wypolerowaną powierzchnię; kiedyś, przed laty, niemal się na niej poślizgnął. Wtedy od razu pomyślał, zawiedziony: „Gdyby to się stało ponownie, ale na krawędzi”. Nic z tego.

Zbliżył się na dwie stopy do skraju platformy, a wtedy, bez żadnego mentalnego sygnału, wbrew jego woli i pragnieniu, jego nogi znieruchomiały i jak zwykle zatrzymał się zwrócony twarzą ku Piątej Alei biegnącej w stronę przedmieść, ponad tysiąc mrocznych stóp nad jej twardą, kuszącą nawierzchnią. Próbował zmusić się do ruchu naprzód, przepełniony smutną, ponurą desperacją, skupiając się na pragnieniu spadnięcia z platformy, chcąc tylko wychylić swoje silne i ciężkie ciało zbudowane w fabryce: na zewnątrz, z dala od budynku, z dala od życia. Krzyczał w myślach, domagając się ruchu, wyobrażając sobie, jak spada w zwolnionym tempie, elegancko i pewnie, na ulicę w dole. Pragnął tego.

Ale ciało – z czego od początku zdawał sobie sprawę – nie było jego własnością. Spoffortha zaprojektowali ludzie i tylko człowiek mógł doprowadzić do jego śmierci. Krzyknął donośnie, wyciągając ręce na boki, wrzask furii poszybował nad cichym miastem. Jednakże nie mógł się ruszyć.

Spofforth stał samotnie na szczycie jednego z najwyższych budynków na świecie, unieruchomiony, przez resztę tej czerwcowej nocy. Od czasu do czasu widział światła myślobusów, niewiele większe od gwiazd, powoli



przemierzające ulice opustoszałego miasta. Światła w budynkach były wygaszone.

W końcu, kiedy słońce rozświetliło niebo nad East River po jego prawej stronie oraz nad Brooklynem, do którego nie prowadziły żadne mosty, zaczęła w nim wzbierać frustracja. Gdyby obdarzono go kanalikami łzowymi, właśnie teraz zalałby się łzami, ale nie potrafił płakać. Światło stało się jaśniejsze; pod sobą dostrzegał zarysy pustych myślobusów. Widział malutką sylwetkę pojazdu Wykrywaczy jadącego Trzecią Aleją. A potem słońce, blade na czerwcowym niebie, wybuchło nad opustoszałym Brooklynem i zamigotało na powierzchni rzeki, z równą świeżością jak u zarania dziejów. Spofforth cofnął się o krok, dalej od śmierci, której szukał przez całe swoje długie życie, a uzupełniający go gniew zaczął słabnąć pod wpływem wschodzącego słońca. Będzie dalej żył i jakoś to zniesie.

Ruszył w dół po zapyłonych schodach, początkowo powoli, kiedy jednak dotarł do hallu, jego kroki były żwawe, pewne i pełne sztucznego życia.

Wychodząc z budynku, odezwał się do głośnika na drzwiach:

- Nie pozwól na naprawę windy. Wolę się wspinać po schodach.
- Tak, proszę pana – odrzekły drzwi.

Słońce jasno świeciło, a na ulicy było kilkoro ludzi. Czarnoskóra staruszka w wyblakłej niebieskiej sukience przypadkiem otarła się o jego łokieć i uniosła rozmarzony wzrok ku jego twarzy. Kiedy zobaczyła oznaczenie robota Marki Dziewięć, od razu odwróciła głowę i wymamrotała:

- Przepraszam. Przepraszam pana.

Stała obok niego, zakłopotana. Zapewne nigdy wcześniej nie widziała egzemplarza Marki Dziewięć i słyszała o nich tylko podczas szkolenia.

- Proszę iść dalej – powiedział łagodnie. – Nic się nie stało.
- Tak jest, proszę pana – odrzekła. – Sięgnęła do kieszeni sukienki, wyciągnęła sopor i zażyła go. Potem się odwróciła i odeszła, powłócząc nogami.

Spofforth szedł szybkim krokiem w blasku słońca, wracając ku placowi Waszyngtona i Uniwersytetowi Nowojorskiemu, gdzie pracował. Jego ciało

nigdy się nie męczyło. Tylko jego umysł – złożony, pogmatwany i przytomny – rozumiał znaczenie wycieńczenia. On zawsze był zmęczony.

\* \* \*

Metalowy mózg Spoffortha został zbudowany, jego ciało zaś wyhodowano z żywej tkanki, dawno temu, gdy inżynieria podupadała, ale wytwarzanie robotów uznawano za wysoką sztukę. Ta gałąź sztuki również miała wkrótce uschnąć i zaniknąć; Spofforth był jej najwyższym osiągnięciem, ostatnim z serii setki robotów oznaczonych jako Marka Dziewięć, najsilniejszych i najinteligentniejszych twórców człowieka. Był także jedynym zaprogramowanym tak, by pozostawał przy życiu wbrew własnej woli.

Istniała technika pozwalająca na zapis każdej ścieżki nerwowej, każdego schematu w mózgu dorosłego człowieka i przeniesienie ich do metalowego mózgu robota. Korzystano z niej wyłącznie w przypadku Marki Dziewięć; wszystkie roboty tej serii wyposażono w zmienione kopie żywego mózgu konkretnego człowieka. Tym człowiekiem był genialny i melancholijny inżynier nazwiskiem Paisley – chociaż Spofforth miał się tego nigdy nie dowiedzieć. Sieć informacji i połączeń, która tworzyła mózg Paisleya, została zapisana na magnetycznych taśmach i umieszczona w skarbcu w Cleveland. Nikt nie wiedział, co się stało z Paisleyem, gdy już skopiowano jego umysł. Osobowość, wyobraźnię i wszystko, czego się nauczył, zarejestrowano na taśmach, gdy miał czterdzieści trzy lata, a następnie o nim zapomniano.

Taśmy zostały poddane montażowi. Postarano się w miarę możliwości usunąć z nich osobowość, nie uszkadzając przy tym „użytecznych” funkcji. Decyzję o tym, co jest „użyteczne” w mózgu, podjęli inżynierowie mniej twórczy od samego Paisleya. Skasowano wspomnienie życia, a przy tym większość zgromadzonej wiedzy, choć na taśmach pozostały angielskie składnia i słownictwo. Po zakończonym montażu, taśmy zawierały niemal idealną kopię ewolucyjnego cudu: ludzkiego mózgu. Zachowało się na nich kilka niechcianych elementów pochodzących od Paisleya, na przykład

umiejętność gry na pianinie, której wykorzystanie wymagało ciała z rękami i dłońmi. Ale gdy stworzono ciało, na świecie nie było już żadnego pianina.

Niechciane przez inżynierów, którzy dokonali zapisu, ale nieuniknione były również fragmenty dawnych snów, pragnień oraz lęków. Nie dało się ich usunąć bez uszkodzenia innych funkcji.

Zapis elektronicznie przeniesiono do srebrzystej kuli o średnicy dziewięciu cali, wykonanej z tysięcy warstw nikłowanadu, utkanej i ukształtowanej przez automaty. Kulę umieszczono w głowie ciała, które specjalnie do tego celu sklonowano.

Ciało starannie wyhodowano w stalowym zbiorniku w niegdysiejszej fabryce samochodów w Cleveland. Efekt był nieskazitelny – wysoki, silny, sprawny, piękny. To był czarnoskóry mężczyzna w kwiecie wieku, wyposażony w mocne mięśnie, silne płuca i serce, czarne kręcone włosy, jasne spojrzenie, piękne usta o mięsistych wargach oraz duże, krzepkie dłonie.

Zmieniono niektóre ludzkie cechy: proces starzenia miał się zatrzymać po osiągnięciu stopnia rozwoju charakterystycznego dla trzydziestolatka – co nastąpiło po czterech latach spędzonych w stalowym zbiorniku. Ciało mogło kontrolować własne reakcje bólowe, a także do pewnego stopnia podlegać autoregeneracji. W razie potrzeby mogły mu odrastać zęby, a także palce u dłoni oraz stóp. Nie groziło mu łysienie, pogorszenie wzroku ani katarakty, stwardnienie tętnic ani artretyzm. Stanowiło, jak lubili mawiać genetyczni inżynierowie, udoskonalone dzieło Boga. Ale ponieważ żaden z inżynierów nie wierzył w istnienie Boga, ich przechwałki były bezzasadne.

Ciało Spoffortha nie posiadało organów reprodukcyjnych. „Żeby go nie rozpraszać”, stwierdził jeden z inżynierów. Płatki uszu po obu stronach imponującej głowy były czarne jak smoła, dzięki czemu każdy, kogo zachwycała ta imitacja człowieka, mógł się przekonać, że to tylko robot.

Tak jak twór Frankensteina, on również zbudził się do życia za sprawą wstrząsu elektrycznego; wyłonił się ze zbiornika w pełni wyrosnięty i zdolny do mówienia, początkowo nieco niewyraźnego. W rozległym

i zagrożonym pomieszczeniu fabrycznym, w którym zbudziła się jego świadomość, powiódł wkoło ciemnymi oczami, podniecony i pełen życia. Leżał na noszach, kiedy po raz pierwszy doświadczył siły świadomości, która niczym fala zalała jego rodzącą się istotę i stała się nim. Zakrztusił się, a następnie krzyknął pod wpływem potęgi tego doświadczenia – potęgi istnienia na świecie.

\* \* \*

Imię Spofforth nadał mu jeden z niewielu ludzi, którzy jeszcze potrafili czytać. Wybrał je na oślep z wiekowej książki telefonicznej miasta Cleveland: Robert Spofforth. Był robotem Marki Dziewięć, najbardziej wyrafinowanym urządzeniem, jakie kiedykolwiek stworzył ludzki geniusz.

\* \* \*

Część szkolenia podczas pierwszego roku upłynęła mu na pilnowaniu korytarzy oraz wykonywaniu drobnych prac w szkole z internatem przeznaczonej dla ludzi. Tam młodzi uczyli się życia: Refleksji, Prywatności, Samorealizacji, Rozkoszy. Właśnie tam zobaczył dziewczynę w czerwonym płaszczu i się zakochał.

\* \* \*

Przez całą zimę i początek wiosny dziewczyna zawsze wkładała szkarłatny płaszcz z aksamitnym kołnierzem, czarnym jak antracyt i jak jej włosy na tle białej skóry. Czerwona szminka pasowała do płaszcza. W tamtych czasach już prawie nikt nie używał szminki i Spofforth zastanawiał się, skąd dziewczyna ją wzięła. Pięknie w niej wyglądała. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, trzeciego dnia pobytu w internacie, miała prawie siedemnaście lat. Jego umysł natychmiast ją sfotografował i zachował na zawsze. To zdjęcie miało się stać ważnym elementem

smutku, który nawiedził go wiosną, w czerwcu, i osiadł głęboko w jego sztucznej, potężnej istocie.

W wieku jednego roku Spofforth rozumiał fizykę kwantową, robotykę oraz historię państwowych korporacji w Ameryce Północnej – wszystkiego nauczył się z materiałów audiowizualnych oraz od robotów-nauczycieli – nie potrafił jednak czytać. Nie posiadał także żadnej świadomej wiedzy na temat ludzkiej seksualności, chociaż w tym, co kiedyś nazywano by jego sercem, pojawiały się niejasne pragnienia. Czasami, gdy był sam w ciemności, przez chwilę odczuwał niepokojące drżenie w żołądku. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że gdzieś w jego wnętrzu kryje się życie wypełnione uczuciami. Kiedy przyszły pierwsze ciepłe wieczory, zaczął odczuwać niepokój. Był wczesny czerwiec w Ohio, a on spacerował późną porą między budynkami, słysząc odgłosy pasikoników na drzewach i odczuwając w piersi dziwny, niewygodny ucisk. Ciężko pracował w internacie, oddając się w ramach „szkolenia” rutynowym zajęciom, jednakże praca rzadko go angażowała i w końcu na jego ducha spadła melancholia.

Niektórzy robotnicy Marki Cztery od czasu do czasu się psuli; wydawało się, że stale brakuje sprzętu do wykonywania na bieżąco drobnych napraw. Zatrudniano kilku starszych mężczyzn mających się tym zajmować. Jednym z nich był włóczęga Arthur, który zazwyczaj śmierdział syntetycznym ginem i nigdy nie nosił skarpet. Zawsze zwracał się do Spoffortha częściowo przyjacielskim, a częściowo kpiącym tonem, kiedy mijali się na korytarzach internatu albo na zwirowych ścieżkach wokół budynków. Pewnego razu, gdy Spofforth opróżniał popielniczki w kawiarni, a Arthur zamiatał, włóczęga przerwał pracę i oparł się o miotłę.

– Bob – zagadnął, a Spofforth podniósł wzrok. – Bob, markotny z ciebie gość. Nie wiedziałem, że produkują markotne roboty.

Spofforth nie był pewien, czy Arthur się z nim drażni. Dalej nosił sterty plastikowych popielniczek, wypełnionych poranną kolekcją wypalonych skrętów z marihuaną, do śmietnika w kącie dużego pomieszczenia. Uczniowie niedawno wyszli, udając się na transmisję wykładu o jodze.

– Nigdy wcześniej nie widziałem smutnego robota – rzekł Arthur. – Czy to z powodu tych czarnych uszu?

– Jestem robotem Marki Dziewięć – odrzekł Spofforth, jakby chciał się wytłumaczyć. Wciąż był bardzo młody i rozmowy z ludźmi czasami go onieśmiały.

– Dziewięć! – zawołał Arthur. – To całkiem wysoki numer, prawda? Do diabła, Andy, który prowadzi tę szkołę, to tylko Siódemka.

– Andy? – spytał Spofforth, trzymając stertę popielniczek.

– Tak, android. Nazywaliśmy was Andy, kiedy byłem dzieciakiem. Wtedy nie było was aż tylu. No i nie byliście tacy mądrzy.

– Czy to ci przeszkadza? Że jestem mądry?

– Nie – odparł Arthur. – Ni cholery. Ludzie są obecnie tak kurewsko durni, że chce się płakać. – Odwrócił wzrok, a potem lekko pchnął miotłę. – Inteligencja zawsze jest w cenie. Cieszę się, że całkiem nie zaginęła. – Przestał zamiatać i wskazał obszernym gestem wielkie puste pomieszczenie, jakby uczniowie wciąż w nim byli. – Nie chciałbym, żeby ta banda analfabetów wszystkim rządziła po opuszczeniu internatu. – Jego pomarszczona twarz była pełna pogardy. – Zahipnotyzowane dziwaki. Palanty. Powinni ich trzymać w śpiączce i faszerować pigułami.

Spofforth nie odpowiedział. Coś go pociągało w tym staruszku – wyczuwał między nim a sobą jakąś nutę pokrewieństwa. Nie miał jednak żadnej opinii o młodych ludziach, których tutaj szkolono i poddawano akulturacji.

Nie myślał o nich, o pozbawionych wyrazu, powolnych i cichych uczniach, którzy spokojnie wędrowali całymi grupami między salami albo samotnie przesiadywali w salach Prywatności, paląc trawkę, oglądając abstrakcyjne wzory na swoich telewizorach o ekranach wielkości ścian i słuchając otępiającej hipnotycznej muzyki dobiegającej z głośników. A jednak w jego umyśle niemal zawsze znajdował się obraz jednej z nich: dziewczyny w czerwonym płaszczu. Nosila to stare ubranie przez całą zimę, a potem wiosennymi wieczorami. Nie tylko to ją wyróżniało. Czasami na jej twarzy pojawiała się coś zalotnego, narcystycznego i próżnego, czego darmo by szukał u reszty. Uczniom powtarzano, by

rozwijali się „indywidualnie”, ale wszyscy wyglądali i zachowywali się tak samo; mówili cicho i mieli oblicza pozbawione wyrazu. Ona, gdy szła, kołysała biodrami i czasem śmiała się głośno, gdy inni milczeli, pochłonięta sobą. Miała skórę białą jak mleko i włosy czarne jak węgiel.

Spofforth często o niej myślał. Kiedy widział, jak idzie do klasy, otoczona ludźmi, ale samotna, nierzadko miał ochotę do niej podejść i delikatnie jej dotknąć, położyć swoją dużą dłoń na jej ramieniu i przez chwilę ją tam trzymać, czując ciepło dziewczyny. Czasami miał wrażenie, że ona też obserwuje go spod przymkniętych powiek i śmieje się do niego, rozbawiona. Ale nigdy nie rozmawiali.

– Do diabła – ciągnął Arthur. – Wy, roboty, za trzydzieści lat będziecie wszystkim rządzić. Ludzie już gównu potrafią.

– Jestem szkolony do kierowania korporacjami – odrzekł Spofforth.

Arthur posłał mu ostre spojrzenie, a potem zaczął się śmiać.

– Poprzez opróżnianie popielniczek? – spytał. – Cholera jasna! – Ponownie zaczął zamiatać, energicznie przesuwając miotłą po podłodze z permoplastiku. – Nie wiedziałem, że można okpić robota. I to Marki Dziewięć.

Spofforth przez chwilę wpatrywał się w niego nieruchomo, trzymając popielniczki. Nikt mnie nie okpił, pomyślał. Mam przed sobą całe życie.

\* \* \*

Był czerwcowy wieczór, mniej więcej tydzień po rozmowie z Arthurem. Spofforth właśnie przechodził w blasku księżyca obok Budynku Audiowizualnego, gdy nagle usłyszał szelest za gęstymi zaroślami, które rozrosły się wzdłuż ściany. Jakiś mężczyzna jęknął, a potem znów rozległ się szelest.

Spofforth zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Coś się poruszało, teraz nieco ciszej. Odwrócił się i zrobił kilka kroków, a kiedy stanął przed wysokim krzewem, dyskretnie odchylił go w bok. Nagle zrozumiał, co się dzieje po drugiej stronie, i zamarł.

Za krzewem jego znajoma dziewczyna leżała na plecach z sukienką podciągniętą powyżej pępka. Przed nią klęczał różowawy, nagi, pulchny młodzieniec; Spofforth widział skupisko brązowych znamion na różowej skórze pomiędzy jego łopatkami. Widział włosy łonowe dziewczyny pod udem mężczyzny – kręcone i czarne na tle śnieżnobiałych nóg i pośladków, równie czarne jak włosy na jej głowie, czarne jak kołnierzyk czerwonego płaszcza, na którym leżała.

Zobaczyła go, a jej twarz wykrzywiła ponura pogarda. Odezwała się do niego, po raz pierwszy i ostatni.

– Wynoś się stąd, robocie. Pierdolony robot. Zostaw nas w spokoju.

Spofforth przycisnął dłoń do swojego sklonowanego serca, odwrócił się i odszedł. To właśnie wtedy doszedł do wniosku, który miał mu towarzyszyć przez resztę jego dni; tak naprawdę nie chciał żyć. Został oszukany – straszliwie oszukany – gdyż pozbawiono go prawdziwego ludzkiego życia; coś w jego wnętrzu buntowało się przeciwko losowi, jaki mu zgotowano.

\* \* \*

Widział tę dziewczynę jeszcze kilkakrotnie. Unikała jego wzroku. Wiedział, że nie robi tego ze wstydu, ponieważ młodzi nie wstydzili się seksu. Nauczano ich że „szybki seks jest najlepszy”, a oni w to wierzyli i stosowali się do tych zaleceń.

Spofforth odetchnął z ulgą, gdy przeniesiono go z internatu do bardziej odpowiedzialnej pracy w Akron, gdzie miał nadzorować system dystrybucji syntetycznych produktów mlecznych. Stamtąd trafił do zakładu produkującego niewielkie samochody, którym kierował podczas schodzenia z taśmy ostatnich kilku tysięcy osobistych aut, jakie trafiły do społeczeństwa niegdyś zakochanego w samochodach. Następnie został prezesem korporacji produkującej myślubusy, wytrzymałe ośmioosobowe pojazdy przeznaczone dla wciąż kurczącej się ludzkiej populacji. Potem został dyrektorem do spraw Kontroli Populacji. W tym celu przeniesiono go do Nowego Jorku, gdzie pracował w biurze na szczycie



trzydziestodwupiętrowego budynku i nadzorował starzejące się komputery, codziennie aktualizujące spis ludności i odpowiednio dostosowujące tempo rozmnażania. To była żmudna praca, wymagająca opieki nad się wciąż nawalającym sprzętem, i szukania sposobów naprawiania komputerów, których żaden człowiek już nie umiał naprawić, a żaden robot nie był w stanie zrozumieć. W końcu otrzymał inną pracę: dziekana do spraw wydziałów na Uniwersytecie Nowojorskim. Komputer kierujący tą instytucją przestał poprawnie działać, a Spofforth, jako robot Marki Dziewięć, miał go zastąpić w podejmowaniu przeważnie mało istotnych decyzji związanych z prowadzeniem uniwersytetu.

Dowiedział się, że powstało sto klonów Marki Dziewięć, ożywionych za pomocą kopii tego samego ludzkiego umysłu. On był ostatnim, a w synapsach jego metalicznego mózgu dokonano szczególnych zmian, które miały zapobiec temu, co spotkało poprzednie egzemplarze tej serii: wszystkie popełniły samobójstwo. Niektóre zmieniły swój mózg w czarną bezkształtną masę za pomocą sprzętu pod wysokim napięciem, inne połknęły środki żrące. Kilka musieli zniszczyć ludzie, gdyż całkowicie postradały zmysły i nocą wpadły w niszczycielski szal na ulicach miasta, wykrzykując plugastwa. Wykorzystanie prawdziwego ludzkiego mózgu jako modelu dla wyrafinowanego robota stanowiło eksperyment. Ostatecznie uznano go za nieudany i zaprzestano dalszych prób. Fabryki nadal produkowały durne roboty, a także nieliczne egzemplarze Marki Siedem i Marki Osiem, które miały przejmować od ludzi coraz więcej funkcji w świecie zarządzania, edukacji, medycyny, prawa, planowania oraz produkcji; ale wszystkie one miały syntetyczne mózgi bez cienia emocji, refleksji ani samoświadomości. Były zwykłymi maszynami – inteligentnymi, przypominającymi ludzi i solidnie wykonanymi – i robiły to, czego od nich wymagano.

Spoffortha zaprojektowano w taki sposób, by żył wiecznie i niczego nie zapominał. Jego projektanci nie zastanowili się, jak takie życie może wyglądać.

Dziewczyna w czerwonym płaszczu zestarzała się, utyłła, uprawiała seks z dziesięcioma tuzinami mężczyzn, urodziła kilkoro dzieci, piła za dużo

piwa i prowadziła trywialne, bezcelowe życie, tracąc swoją urodę. W końcu umarła, została pochowana i zapomniana. Spofforth tymczasem żył dalej, młody, zdrowy i piękny. Wciąż widział ją jako siedemnastolatkę, nawet gdy ona już dawno zapomniała, że kiedyś była seksowną i zalotną dziewczyną. Zobaczył ją, pokochał i zapragnął umrzeć. Ale jakiś niedbały ludzki inżynier mu to uniemożliwił.

\* \* \*

Rektor oraz dziekan do spraw dydaktyki czekali na niego, kiedy wrócił z samotnego czerwcowego wieczornego spaceru.

Nudniejszym z tej dwójki był rektor. Nazywał się Carpenter i był ubrany w brązowy synlonowy garnitur oraz niemal całkowicie znoszone sandały, a kiedy szedł, jego brzuch i boki wyraźnie drżały pod ciasnym strojem. Stał obok dużego tekowego biurka Spoffortha i palił skręta. Kiedy robot szybko do niego podszedł, Carpenter nerwowo się odsunął, a Spofforth usiadł.

Po chwili robot na niego popatrzył – nie nieco w prawo od niego, jak nakazywały zasady Przymusowej Grzeczności, ale prosto na niego.

– Dzień dobry – rzekł Spofforth silnym, opanowanym głosem. – Czy coś się stało?

– Cóż... – zaczął Carpenter. – Nie jestem pewien. Wydawało się, że to pytanie go zaniepokoiło. – Jak sądzisz, Perry?

Perry, dziekan do spraw dydaktyki, potarł palcem wskazującym nos.

– Ktoś dzwonił na numer uniwersytetu, dziekanie Spofforth. Dwukrotnie.

– Czyżby? – odrzekł Spofforth. – Czego chciał?

– Chce z panem porozmawiać – wyjaśnił Perry. – Chodzi o pracę. Letnie kursy...

Spofforth wbił w niego wzrok.

– Tak?

Perry ciągnął nerwowo, unikając spojrzenia Spoffortha:

– Przez telefon nie do końca zrozumiałem, o co mu chodziło. To coś nowego, co podobno sam odkrył, jedną albo dwie żółcie temu. – Rozejrzał

się i zatrzymał spojrzenie na grubym mężczyźnie w brązowym garniturze.

– Co to dokładnie było, Carpenter?

– Czytanie? – zaproponował Carpenter.

– Właśnie – przytaknął Perry. – Czytanie. Powiedział, że potrafi czytać.

To coś, co dotyczy słów. Chce tego nauczać.

Spofforth wyprostował się na krześle.

– Ktoś nauczył się czytać?

Mężczyźni odwrócili wzrok, zażenowani zaskoczeniem w jego głosie.

– Zarejestrowali panowie tę rozmowę? – spytał Spofforth.

Wymienili spojrzenia. W końcu Perry przerwał milczenie.

– Zapomnieliśmy.

Spofforth powstrzymał rozdrażnienie.

– Powiedział, że jeszcze zadzwoni?

Perry wyraźnie się ożywił.

– Owszem, dziekanie Spofforth. Powiedział, że będzie się starał nawiązać z panem kontakt.

– Dobrze – odrzekł Spofforth. – Coś jeszcze?

– Tak – odpowiedział Perry, ponownie masując nos. – Mamy nową kulkę z programem zajęć. Wśród studentów doszło do trzech samobójstw. Poza tym gdzieś znajdują się plany zamknięcia wschodniego skrzydła wydziału Higieny Umysłowej, ale żaden z robotów nie zdołał ich odnaleźć. – Perry był wyraźnie zadowolony z tej porażki maszyn. – Żaden z robotów Marki Sześć nic o nich nie wie.

– To dlatego że ja je mam, dziekanie Perry – odparł Spofforth. Otworzył szufladę biurka i wyjął jedną ze stalowych kulek, których używano do zapisywania głosu. Podał ją Perry'emu. – Proszę ją odtworzyć któremuś z robotów Marki Siedem, a będzie wiedział, co zrobić z salami do Higieny Umysłowej.

Perry, nieco zawstydzony, wziął nagranie i wyszedł. Carpenter podążył za nim. Kiedy się oddalili, Spofforth jeszcze przez chwilę siedział przy swoim biurku, rozmyślając o człowieku, który twierdził, że potrafi czytać. Często słyszał o czytaniu, kiedy był młody, i wiedział, że ta umiejętność już

dawno zanikła. Widział książki – były to niezwykle wiekowe przedmioty. W bibliotece uniwersyteckiej zostało kilka niezniszczonych egzemplarzy.

Gabinet Spoffortha był duży i bardzo przyjemny. Sam go ozdobił odbitkami zdjęć ptaków nabrzeżnych, a także wstawił do niego rzeźbiony dębowy kredens, który zabrał ze zniszczonego muzeum. Na kredensie stał rząd małych modeli przedstawiających kolejne człekokształtne formy wykorzystywane w historii Robotyki. Pierwszy, najwcześniejszy model, miał kształt walca na kołach wyposażonego w cztery ręce – było to coś pośredniego pomiędzy serwomechanizmem a autonomiczną mechaniczną istotą. Sześciocalowy model wykonano z permoplastiku. Takie roboty kiedyś, w krótkim okresie ich przydatności, nazywano Kółczakami; od wieków ich nie produkowano.

Po prawej stronie Kółczaka stał model bardziej przypominający człowieka, nieco zbliżony do współczesnego durnego robota. Figurki stawały się coraz bardziej szczegółowe i ludzkie, a na końcu stała miniatura Spoffortha – smukła, całkowicie ludzka, wspinająca się na palce, z oczami, w których – nawet w przypadku modelu – tliło się życie.

Na biurku Spoffortha zaczęło migotać czerwone światelko. Wcisnął guzik i powiedział:

– Mówi Spofforth.

– Nazywam się Bentley, dziekanie Spofforth – rozległ się głos na drugim końcu linii. – Paul Bentley. Dzwonię z Ohio.

– To pan potrafi czytać? – spytał Spofforth.

– Zgadza się. Sam się nauczyłem. Potrafię czytać.

\* \* \*

Wielka mała ostrożnie przysiadła na przewróconym autobusie. Miasto było opuszczone.

Na środku ekranu pojawił się biały wir, który zaczął się powiększać i obracać. Kiedy się zatrzymał, wypełnił ponad połowę ekranu. Stało się jasne, że to pierwsza strona gazety z olbrzymim nagłówkiem.

Spofforth zatrzymał projektor.

– Proszę to przeczytać – poprosił.

Bentley nerwowo odchrząknął.

– „Potworna mała przeraża miasto”.

– Dobrze – odrzekł Spofforth. Ponownie uruchomił projektor.

Do końca filmu nie pojawiły się już żadne napisy. Obejrżeli go w milczeniu, śledząc niszczycielski szal małpy, jej żalospną nieumiejętność wyrażenia miłości, a wreszcie śmierć po upadku, który przypominał lot z niesamowicie wysokiego budynku na szeroką i pustą ulicę.

Spofforth pstryknął przełącznikiem, zapalając światło w gabinecie, a szyba w oknie wykuszowym znów stała się przeźroczysta. Pomieszczenie już nie przypominało mrocznej sali projekcyjnej. Na zewnątrz, pośród jaskrawych kwiatów porastających plac Waszyngtona, grupka starszych doktorantów w dzinsowych szatach usiadła na zaniedbanym trawniku, tworząc okrąg. Mieli puste oblicza. Słońce wisiało wysoko na czerwcowym niebie. Spofforth popatrzył na Bentleya.

– Dziekanie Spofforth – odezwał się Bentley – czy będę mógł poprowadzić swój kurs?

Spofforth przez chwilę przyglądał mu się z namysłem.

– Nie – odparł w końcu. – Przykro mi, na tym uniwersytecie nie powinniśmy nauczać czytania.

Bentley wstał niezdarnie.

– Przepraszam, ale myślałem...

– Niech pan usiadzie, panie Bentley – poprosił Spofforth. – Myślę jednak, że latem będziemy mogli skorzystać z pańskiej umiejętności.

Bentley usiadł, wyraźnie zdenerwowany. Spofforth wiedział, że jego obecność przytłacza wykładowcę.

Robot odchylił się na krześle, przeciągnął i posłał Bentleyowi przyjazny uśmiech.

– Niech mi pan powie, jak się pan nauczył czytać – poprosił.

Mężczyzna przez chwilę patrzył na niego, mrugając.

– Z kart. Czytałem karty. A także z czterech książeczek: „Moja pierwsza czytanka”, „Roberto, Consuela i ich pies Biff”...

– Skąd pan je wziął? – przerwał mu Spofforth.

– To dziwne – odparł Bentley. – Uniwersytet posiada zbiór starych filmów porno. Szukałem materiałów na kurs, kiedy natrafiłem na zapieczętowane pudełko z taśmą filmową. Do niego były dołączone cztery książeczki oraz zestaw kart. Kiedy odtworzyłem film, okazało się, że to wcale nie jest porno. Jakaś kobieta mówiła do dzieci w sali lekcyjnej. Miała za sobą czarną ścianę, na której stawiała białe znaki. Na przykład pisała słowo, które – jak później się dowiedziałem – oznaczało „kobietę”, a dzieci wspólnie mówiły „kobieta”. Tak samo robiła ze słowami „nauczyciel”, „drzewo”, „woda” i „niebo”. Pamiętam, że przejrzałem znalezione karty i znalazłem wśród nich wizerunek kobiety. Pod spodem znajdowały się takie same znaki, jakie zapisała nauczycielka. Zobaczyłem kolejne obrazki i białe symbole na czarnej ścianie, usłyszałem kolejne słowa wypowiedziane przez nauczycielkę i dzieci. – Bentley zamrugał, coś sobie przypominając. – Nauczycielka była ubrana w niebieską sukienkę i miała białe włosy. Miałem wrażenie, że cały czas się uśmiecha...

– A co pan zrobił potem? – spytał Spofforth.

– No tak. – Bentley potrząsnął głową, jakby odpędzał to wspomnienie. – Ponownie odtworzyłem film, a potem jeszcze raz. Byłem nim zafascynowany. Działo się na nim coś, co wydawało mi się... takie... – Zamilkł, bezskutecznie poszukując właściwego słowa.

– Ważne? – zasugerował Spofforth.

– Właśnie. Ważne. – Bentley przez chwilę patrzył Spofforthowi w oczy, łamiąc zasady Przymusowej Grzeczności. Potem odwrócił wzrok w stronę okna, za którym odurzeni doktoranci wciąż siedzieli w milczeniu, od czasu do czasu kiwając głowami.

– A co dalej? – zapytał Spofforth.

– Oglądałem ten film więcej razy niż jestem w stanie zliczyć. Powoli zacząłem sobie uświadamiać – zupełnie jakbym wiedział to od zawsze, ale nie zdawał sobie z tego sprawy – że nauczycielka i uczniowie patrzą na znaki i wypowiadają słowa, które te znaki odzwierciedlają. Ilustracje słów. Człowiek może na nie patrzeć i wypowiadać słowa na głos. Później dowiedziałem się, że można patrzeć na te znaki i słyszeć słowa w myślach.

Te same słowa, a także inne tego samego rodzaju były w książkach, które znalazłem.

– I nauczył się pan rozumieć inne słowa? – spytał Spofforth. Mówił cichym, neutralnym głosem.

– Tak. Długo mi to zajęło. Musiałem zrozumieć, że słowa składają się z liter. Litery odpowiadają dźwiękom, które zawsze są takie same. Spędziłem nad tym wiele dni. Nie mogłem przestać. Sprawiało mi przyjemność odkrywanie, co książki mogą powiedzieć w moich myślach...

– Wbił wzrok w podłogę. – Nie przestawałem, dopóki nie poznałem wszystkich słów w tych czterech książkach. Dopiero później, kiedy znalazłem kolejne trzy książki, odkryłem, że to, co robię, nazywa się „czytaniem”. – Umilkł, a po kilku chwilach nieśmiało popatrzył na twarz robota.

Spofforth długo mu się przyglądał, a następnie lekko skinął głową.

– Rozumiem. Czy pan kiedyś słyszał o niemych filmach?

– Niemych filmach? – zdziwił się Bentley. – Nie.

Spofforth nieznacznie się uśmiechnął.

– Chyba niewielu ludzi o nich słyszało. Są ogromnie stare. Ostatnio znaleziono znaczną ich liczbę podczas wyburzania pewnego budynku.

– Tak? – grzecznie spytał Bentley, chociaż nic nie rozumiał.

– Najciekawsze w niemych filmach, panie Bentley, jest to, że kwestie aktorów nie są tam wypowiedane, tylko wyświetlane na ekranie. – Ponownie posłał mu delikatny uśmiech. – Żeby je zrozumieć, trzeba je odczytać.

# BENTLEY

## Dzień pierwszy

Spofforth zasugerował, żebym to robił. Żebym wieczorami mówił do rejestratora, opowiadając o tym, jak spędziłem dzień. Dał mi dodatkowe kulki, przeznaczone tylko do tego celu.

Ta praca bywa żmudna, ale zarazem satysfakcjonująca. Wykonuję ją od pięciu dni, ale dopiero dzisiaj poczułem się na tyle swobodnie, żeby zacząć opowiadać o sobie. Zresztą, co mogę o sobie powiedzieć? Nie jestem interesującym człowiekiem.

Taśmy z filmami są kruche i trzeba się z nimi obchodzić niezwykle ostrożnie. Kiedy się łamią – co dzieje się często – muszę bardzo starannie je sklejać. Chciałem, żeby dziekan Spofforth przydzielił mi do pomocy robota-technika albo jakiegoś durnego robota wyszkolonego do pracy dentysty bądź innych zadań wymagających precyzji, ale Spofforth odparł: „To byłoby zbyt kosztowne”. Na pewno ma rację. Zatem wsuwam taśmy do dziwnych starych maszyn zwanych „projektorami”, upewniam się, że są właściwie ułożone, a potem odtwarzam je na małym ekranie na swoim łóżkobiurku. Projektor zawsze robi dużo hałasu, chociaż tutaj, w piwnicy starej biblioteki, nawet moje kroki wydają się przeraźliwie głośne. Nikt tu nigdy nie przychodzi, a wiekowe ściany z nierdzewnej stali porasta mech.

Kiedy na ekranie pojawiają się słowa, zatrzymuję projektor i odczytuję tekst do rejestratora. Czasami to trwa tylko moment, w wypadku kwestii takich jak „Nie!” albo „Koniec”, które wymagają tylko chwili namysłu.



Jednakże zdarzają się także trudniejsze wyrażenia, które muszę długo studiować, zanim nabiorę pewności co do ich wymowy. Jeden z najtrudniejszych tekstów pojawił się na czarnym tle po bardzo emocjonalnej scenie, w której pewna młoda kobieta wyrażała swoje zaniepokojenie. Oto pełny zapis: „Jeżeli dr Carrothers nie przybędzie niebawem, matka z pewnością postrada zmysły”. Wyobrażacie sobie problemy, jakich mi nastreczył?! W innym fragmencie staruszek mówi do młodej dziewczyny: „Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu”.

Same filmy bywają fascynujące. Obejrzałem ich już więcej niż jestem w stanie zliczyć, a pozostała jeszcze ponad połowa zbiorów. Wszystkie są czarno-białe, a obraz porusza się w urywany sposób, tak jak wielka małpa w „Powrocie King Konga”. Wszystko w nich jest dziwaczne, nie tylko ruchy i reakcje postaci. Wyczuwa się w nich – jak mam to ująć? – niezwykle zaangażowanie, zalewające je potężne fale uczuciowości. Niemniej dla mojego umysłu czasami bywają równie puste i pozbawione znaczenia jak wypolerowana powierzchnia kamienia. Oczywiście nie mam pojęcia, czym jest „przedrzeźniacz” ani co oznacza „dr”. Lecz jeszcze bardziej niż ta dziwaczność niepokoi mnie wrażenie staroświeckości. Filmy przekazują emocje, które są mi całkowicie obce – emocje, które każdy widz tych obrazów kiedyś odczuwał, a które zostały bezpowrotnie utracone. Najczęściej czuję smutek. Smutek. „Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu”. Smutek.

Często jadam lunch przy swoim biurku. Kubek zupy z soczewicy z małym bekonem. Albo sojowy batonik. Serwowożnego zaprogramowano tak, aby podawał mi wszystko, czego sobie zażyczę z uczelnianej stołówki. Czasami raz za razem odtwarzam ten sam fragment filmu, powoli jedząc, starając się wczuć w nastrój tamtej niewyraźnej przeszłości. Niektórych obrazów nie potrafię zapomnieć. Może to być widok małej dziewczynki płaczącej przy grobie na polu. Albo konia, który stoi na ulicy miasta z pogniecionym kapeluszem na łbie i wystającymi uszami. Albo staruszków pijących z dużych szklanych kufli i śmiejących się bezgłośnie. Czasami, kiedy oglądam takie rzeczy, zalewam się łzami.

A potem na całe dni tracę tę wrażliwość i praca staje się harówką, gdy mechanicznie oglądam od początku do końca film zajmujący dwie rolki taśmy: „Biograph Pictures prezentuje »Lament Margaret«. Reżyseria John W. Kiley. W rolach głównych Mary Pickford...”. I tak dalej, aż do napisu „Koniec”. Następnie wyłączam rejestrator, wyjmuję stalową kulkę i kładę ją we właściwej przegródce w czarnym hermetycznym opakowaniu, w którym znajduje się taśma. Potem przechodzę do kolejnego filmu.

W okresach takiej harówki wspomagam się marihuaną i drzemkami, gdy praca zaczyna przerastać moje siły.

### **Dzień trzeci**

Dzisiaj po raz pierwszy w życiu widziałem grupowe samospalenie. Dwaj młodzi mężczyźni oraz kobieta usiedli przed budynkiem, w którym produkowano buty wydzielane przy Piątej Alei. Najwyraźniej oblali się jakimś łatwopalnym płynem, ponieważ byli mokrzy. Kiedy ich zobaczyłem, kobieta właśnie przykładała zapalniczkę do rąbka swojej dżinsowej spódnicy. Białe płomienie otoczyły ich jak żółty ulotny kwiat. Z pewnością nafaszerowali się odpowiednimi narkotykami, ponieważ na ich twarzach nie było żadnych oznak cierpienia – tylko coś w rodzaju uśmiechu – gdy ogień, jasny w blasku słońca, zabarwił ich skórę najpierw na czerwono, a następnie na czarno. Kilkoro przechodniów zatrzymało się, żeby popatrzeć. Wokoło stopniowo rozprzestrzeniał się dotkliwy smród, więc się oddaliłem.

Słyszałem o takich ofiarach, które zawsze dokonywały się w trzyosobowych grupach, ale nigdy żadnej nie widziałem. Podobno to się często zdarza w Nowym Jorku.

Znalazłem książkę – prawdziwą książkę! Nie jedną z tych cienkich czytanek, które badałem w Ohio, a które opowiadały tylko o Robercie, Consueli i ich psie Biffie, ale prawdziwą, grubą, namacalną książkę.

To było bardzo proste. Wyszedłem z gabinetu i otworzyłem jedne z setek drzwi w długim korytarzu wyłożonym nierdzewną stalą. Na środku niewielkiego surowego pokoju, w szklanej gablocie, spoczywała duża, opasła książka. Otworzyłem gablotę pokrytą grubą warstwą kurzu i wyjąłem tom. Dużo ważył, a strony były suche w dotyku i pożółkłe. Książka nosi tytuł „Słownik”. Zawiera cały las słów.

## **Dzień piąty**

Odkąd zacząłem prowadzić ten dziennik, coraz większą uwagę zwracam na osobliwe zdarzenia – pewnie dlatego, że wieczorami chcę je rejestrować. Obserwacja i myślenie często sprawiają mi duży problem i wprawiają mnie w zakłopotanie. Zastanawiam się, czy Projektanci zdawali sobie z tego sprawę, gdy zadbali o to, żeby zwykli obywatele nie mogli korzystać z rejestratorów. Albo gdy wpajali nam jedną z pierwszych lekcji: „Jeśli masz wątpliwości, daj sobie spokój”.

Na przykład zauważyłem coś dziwnego w ogrodzie zoologicznym w Bronksie, a raczej kilka dziwnych rzeczy. Przez ponad miesiąc w każdą środę jeździłem do zoo myślobusem i odkryłem, że zawsze znajduje się tam tylko pięcioro dzieci – do tego zawsze tych samych. Wszystkie są ubrane w białe koszule, jedzą lodowe rożki i – co chyba najdziwniejsze – za każdym razem sprawiają wrażenie niezwykle podnieconych i uradowanych wycieczką. Inni odwiedzający, w moim wieku bądź starsi, często spoglądają na malców rozmarzonym wzrokiem i się uśmiechają, a dzieci, gdy się na nie patrzy, wskazują jakieś zwierzę, na przykład słonia, i wykrzykują: „Popatrzcie, jaki wielki słoń!”, dorośli zaś uśmiechają się do siebie nawzajem, jakby poczuli się uspokojeni. Jest w tym coś złowieszczonego. Ciekawe, czy te dzieci są robotami?

A jeszcze bardziej złowieszcze pytanie brzmi: jeżeli są robotami, to gdzie są prawdziwe dzieci?

Za każdym razem, gdy wchodzę do gadziarni, widzę kobietę w czerwonej sukience. Czasami śpi na ławce obok gabloty legwanów, a czasami krąży bez celu. Dzisiaj trzymała w dłoni kanapkę i obserwowała pytona, który sunął po gałęziach syntetycznego drzewa za szybą. Kiedy teraz o tym mówię, zaczynam rozmyślać o pytonie. Zawsze sunie po gałęziach. A jednak pamiętam z dzieciństwa (oczywiście nie mam pojęcia, jak dawno to było), że wielkie węże w ogrodach zoologicznych zazwyczaj spały albo leżały zwinięte w kącie terrarium i wyglądały jak martwe. Tymczasem pyton w zoo w Bronksie bezustannie pełza i wysuwa język z pyska, aż ludzie, którzy przychodzą go obejrzeć, wstrzymują oddech z wrażenia. Czy on także może być robotem?

## **Dzień jedenasty**

Tonę w powodzi myśli. Czuję się roztrzęsiony, gdy piszę te słowa i donoszę o tym, co mi dzisiaj przyszło do głowy. A jednak, gdy tylko to zobaczyłem, wszystko stało się jasne i oczywiste. Dlaczego nigdy wcześniej o tym nie pomyślałem?

To się stało podczas filmu. Pewna staruszka znajdowała się na werandzie (jeśli tak to się nazywa) niewielkiego mrocznego domu. Siedziała na tak zwanym „bujanym fotelu”, a na kolanach trzymała niemowlę. Nagle zrobiła zmartwioną minę, podniosła dziecko, a wtedy obraz natychmiast zniknął, jak to się zwykle dzieje, i zastąpiły go słowa: „Niemowlę Ellen ma krup!”. Kiedy pojawiły się na ekranie, nagle uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem prawdziwe niemowlę! Minęły całe żółcie, błękity, czerwienie, niezliczone lata, a ja ani razu nie widziałem małego dziecka.

Gdzie one się podziały? Czy ktokolwiek inny zadaje sobie to pytanie?

Wtedy odezwał się we mnie głos pochodzący ze szkoleń, którym poddano mnie w dzieciństwie: „O nic nie pytaj; odpręż się”.

Ale nie potrafię się odprężyć.

Zostawię to i zażyję kilka soporów.

## **Dzień dziewiętnasty**

Dziewiętnaście. To najwyższa liczba, jakiej kiedykolwiek użyłem. Nic w moim życiu jak dotąd nie było warte tak wysokiego rachunku.

A jednak sądzę, że byłoby możliwe policzenie błękitów i żółcieni w życiu człowieka. Oczywiście to bezużyteczne, ale możliwe.

W filmach często widzę duże liczby. Nierzadko towarzyszą one wojnie. Najczęściej pojawia się liczba 1918. Nie mam pojęcia, jak to rozumieć. Czyżby jakąś wojnę toczono przez 1918 dni? Przecież nic aż tyle nie trwa. Umysł nie potrafi objąć czegoś tak długiego, dużego ani rozległego.

„O nic nie pytaj; odpręż się”. Tak, muszę się odprężyć.

Muszę pamiętać, żeby zjeść kilka batoników sojowych z sosem, nim zażyję sopor. Podczas ostatnich dwóch wieczorów zapomniałem o jedzeniu.

Czasami w nocy studiuje „Słownik”, ucząc się nowych słów, i bywa, że pomaga mi to zasnąć. Ale niekiedy trafiam na słowa, które mnie podniecają. Często są to słowa, których znaczenie mi umyka – jak „choroba” czy „algebra”. Obracam je w umyśle i wielokrotnie czytam ich opisy. Tam jednak niemal zawsze trafiam na kolejne niepojęte określenia, które jeszcze bardziej mnie pobudzają. Aż w końcu i tak muszę zażyć sopor.

Nie potrafię się odprężyć.

Kiedyś pomagały mi wizyty w zoo, ale ostatnio tam nie chodzę ze względu na dzieci. Oczywiście nie mam nic przeciwko robotom. Ale te dzieci...

## **Dzień dwudziesty pierwszy**

Dzisiaj poszedłem do zoo i porozmawiałem z kobietą w czerwieni. Siedziała na ławce obok gabloty legwanów, a ja przysiadłem się do niej i spytałem:

– Czy pyton jest robotem?

Odwróciła się i popatrzyła na mnie. W jej oczach było coś dziwnego i mistycznego – jak u człowieka poddanego hipnozie. A jednak widziałem, że myśli i nie jest pod wpływem narkotyków. Długo nic nie mówiła i zacząłem podejrzewać, że w ogóle nie odpowie, tylko wycofa się do swojej Prywatności – uczą nas wszystkich, żebyśmy tak reagowali na zaczepki nieznanym – ale kiedy już wzruszyłem ramionami i chciałem wstać, powiedziała:

– Myślę, że one wszystkie są robotami.

Popatrzyłem na nią, oszołomiony. Nikt nie mówił w taki sposób. A jednak właśnie tak myślałem od wielu dni. Poczułem się tak nieswojo, że wstałem i odszedłem, nawet jej nie dziękując.

Wychodząc z gadiarni, zauważyłem znajomą piątkę dzieci. Stały razem z lodowymi różkami w dłoniach i miały oczy szeroko otwarte z podekscytowania. Popatrzyły na mnie z uśmiechem. Odwróciłem wzrok...

## **Dzień dwudziesty drugi**

Jednym z przykuwających uwagę elementów w filmach jest zbiór ludzi nazywany „rodziną”. Wydaje się, że w dawnych czasach był to bardzo częsty układ. „Rodzina” to grupa ludzi, którzy często spędzają ze sobą czas, a nawet razem mieszkają. Zawsze składa się z mężczyzny i kobiety – chyba że jedno z nich nie żyje, ale nawet wtedy często się o nim mówi, a jego wizerunki („fotografie”) można znaleźć w otoczeniu żyjących, na przykład na ścianach. Są także młodszy członkowie rodziny: dzieci w różnym wieku. Co zaś ciekawe i charakterystyczne dla tych „rodzin”, wspomniani mężczyzna oraz kobieta zawsze są ojcem i matką wszystkich dzieci!

Czasami pojawiają się także starsi ludzie, którzy zawsze są matką i ojcem rzeczonych mężczyzny i kobiety! Nie bardzo wiem, jak to rozumieć. Wygląda na to, że wszyscy są spokrewnieni.

Co więcej, duża część ładunku emocjonalnego obecnego w filmach bezpośrednio wynika z tych więzi, które najwyraźniej są przedstawiane jako coś dobrego.

Oczywiście wiem, że nie powinienem nikogo osądzać, a z pewnością nie ludzi z innej epoki. Wiem, że życie w tych filmach zaprzecza zasadzie „Samotność jest najlepsza”, ale nie to mnie niepokoi. W końcu zdarza mi się spędzać całe dnie z innymi ludźmi – a nawet widuję tych samych studentów codziennie przez wiele tygodni. To nie Błąd Bliskości mnie drażni w tych „rodzinach”. Raczej fakt, że ci ludzie podejmują takie ryzyko. Wygląda na to, że obdarzają się niezwykle silnymi uczuciami.

Szokuje mnie to i zasmuca.

Poza tym tak dużo rozmawiają. Ich usta cały czas się poruszają, chociaż nie wydobywają się z nich żadne słyszalne słowa.

## **Dzień dwudziesty trzeci**

Wczoraj wieczorem położyłem się, myśląc o ryzyku, jakie dawni ludzie podejmowali w swoich „rodzinach”, a już rankiem obejrzałem film, który pokazał mi, jak poważne bywało to ryzyko.

Na ekranie umierał staruszek. Leżał na dziwnym staroświeckim łóżku w swoim domu – nie w szpitalnym centrum umierania – otoczony przez członków swojej rodziny. Na ścianie wisiał zegar z wahadłem. W pokoju przebywali chłopcy, dziewczęta, mężczyźni, kobiety, starcy – więcej niż potrafiłem zliczyć. Wszyscy byli nieszczęśliwi i płakali. A kiedy staruszek umarł, dwie młodsze dziewczynki rzuciły się na jego ciało i zaniósły bezgłośnym szlochem. W nogach łóżka leżał pies, który po śmierci mężczyzny położył pysk na łapach i również pograżył się w żalobie. A zegar stanął.

Ten spektakl niepotrzebnego cierpienia tak bardzo mnie zirytował, że nie obejrzałem filmu do końca i poszedłem do zoo.

Skierowałem się od razu do gadziarni i zastałem tam kobietę. Była sama w budynku, nie licząc dwóch starszych mężczyzn w szarych swetrach i sandałach, którzy palili skręty i kiwali się nad stawem krokodyli na środku pomieszczenia. Krążyła wkoło z kanapką w dłoni i najwyraźniej na nic nie zwracała uwagi.

Wciąż byłem zaniepokojony – przez obejrzany film oraz przez wszystko, co się wydarzyło, odkąd zacząłem ten dziennik – i pod wpływem impulsu podszedłem do niej i zagadnąłem:

– Dlaczego pani zawsze tu jest?

Stała jak wryta, odwróciła się i posłała mi przenikliwe, mistyczne spojrzenie. Przeszło mi przez myśl, że może jest szalona. Ale to niemożliwe, Wykrywacze by się o tym dowiedzieli i trafiłaby do Rezerwatu, gdzie siedziałaby z otwartymi ustami, nafaszerowana valium o przedłużonym działaniu i ginem. Nie, na pewno jest przy zdrowych zmysłach. To konieczne, żeby chodzić pośród innych ludzi.

– Mieszkam tutaj – odpowiedziała.

Nikt nie mieszka w ogrodzie zoologicznym. Przynajmniej ja nic o tym nie wiedziałem. A całą pracę w zoo, podobnie jak we wszystkich Publicznych Instytucjach, wykonują roboty różnych rodzajów.

– Dlaczego? – spytałem.

To było Naruszenie Prywatności. A jednak z jakiegoś powodu miałem wrażenie, że nie łamię przepisów. Może ze względu na te wszystkie gady, które pełzały i wiły się w szklanych gablotach wokół nas. A także gęste, zielone, błyszczące – jakby pod wpływem wilgoci – sztuczne liście sztucznych drzew.

– A dlaczego nie? – odparła. – Pan też często tutaj bywa.

Poczułem, że się czerwienię.

– To prawda. Przychodzę tutaj, kiedy czuję się... zdenerwowany.

Przeszła mnie wzrokiem.

– Nie zażywa pan pigułek?

– Ależ tak – zapewniłem. – Ale i tak przychodzę do zoo.



– Cóż, ja ich nie zażywam – odparła.

Teraz to ja przeszyłem ją wzrokiem. Cóż za niewiarygodna myśl.

– Nie zażywa pani pigułek?

– Kiedyś tak, ale teraz źle się po nich czuję. – Jej rysy nieco złagodniały. – Wymiotuję, kiedy je biorę.

– Ale czy na to też nie ma pigułki? Przecież robot apteczny mógłby...

– To pewnie racja, ale czy nie zwróciłabym także pigułki przeciwwymiotnej?

Nie wiedziałem, czy powinienem się uśmiechnąć, ale i tak to zrobiłem. Chociaż cała ta rozmowa wydawała mi się szokująca.

– Mogłaby pani wziąć zastrzyk...

– Nieważne – przerwała mi. – Niech się pan odpręży.

Odwróciła się gwałtownie i popatrzyła na legwany. Jak zawsze były pełne energii i skakały po swoim wybiegu jak ropuchy. Ugryzła kanapkę i zaczęła żuć.

– A więc pani tutaj mieszka. W ogrodzie zoologicznym?

– Owszem – odrzekła pomiędzy kęsami.

– Czy to nie bywa... nudne?

– Jezu, pewnie że tak.

– Więc dlaczego się pani nie przeniesie?

Popatrzyła na mnie tak, jakby nie miała zamiaru odpowiedzieć. Oczywiście wystarczyłoby, żeby wzruszyła ramionami i zamknęła oczy, a zasady Przymusowej Grzeczności nakazałaby mi dać jej spokój. Nie wolno bezkarnie naruszać czyjegoś Indywidualizmu.

Jednak najwyraźniej postanowiła mi odpowiedzieć, a ja poczułem wdzięczność – sam nie wiem dlaczego – kiedy zorientowałem się, że zamierza się odezwać.

– Mieszkam w zoo, ponieważ nie mam pracy i nie mam gdzie się podziąć.

Wpatrywałem się w nią chyba przez pełną minutę. W końcu przerwałem milczenie:

– Dlaczego się pani nie wyłączy?

– Próbowałam. Mieszkałam w Rezerwacie dla Wyłączonych przez co najmniej dwie zółcie. Dopóki nie zaczęłam wymiotować od palenia marihuany i zażywania pigułek.

Oczywiście słyszałem o marihuanie w Rezerwatach; była uprawiana automatycznie na rozległych polach i podobno miała niewiarygodną moc. Mimo to nigdy nie słyszałem, żeby ktoś źle się po niej czuł.

– Ale kiedy pani się z powrotem włączyła... czy nie powinni pani przydzielić jakiejś pracy?

– Tylko że ja się nie włączyłam.

– Nie włączyła się pani...

– Nie. – Dokończyła kanapkę, ponownie odwracając się ode mnie w stronę legwanów. Na chwilę w mojej głowie oszołomienie ustąpiło miejsca złości. Głupie, skaczące legwany!

Potem pomyślałem: powinienem na nią donieść. Lecz od razu wiedziałem, że tego nie zrobię. Powinienem był donieść także na osoby dokonujące grupowego samospalenia; to obowiązek każdego rozsądnego człowieka. A jednak go zlekceważyłem. Zapewne nikt inny też tego nie zrobił. Nie słyszało się już o przypadkach donosicielstwa.

Kiedy kobieta skończyła jeść, odwróciła się w moją stronę.

– Po prostu opuściłam internat i tutaj przyszłam. Nikt nie zauważył.

– Ale z czego pani żyje?

– Och, to proste. – Jej spojrzenie nieco straciło na intensywności. – Na przykład przed tym budynkiem stoi maszyna z kanapkami. Obsługuje się ją za pomocą karty kredytowej. Każdego ranka serworobot napełnia maszynę świeżymi kanapkami. Kiedy po raz pierwszy się tutaj pojawiłam, pół zółci temu, odkryłam, że robot zawsze przywozi o pięć kanapek więcej niż mieści się w maszynie. To durny robot, więc tylko sterczy przed nią z tymi pięcioma kanapkami. A ja je zabieram. Właśnie tym się żywię w ciągu dnia. Piję wodę z fontann.

– Czyli pani nie pracuje?

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Wie pan, czym obecnie jest praca. Trzeba wyłączać roboty, żeby znaleźć jakieś zajęcie, za które można nam płacić.

Wiedziałem, że to prawda. Pewnie każdy to wiedział, ale nikt nie mówił tego na głos.

– Mogłaby się pani zająć ogrodnictwem... – zasugerowałem.

– Nie lubię ogrodnictwa.

Usiadłem na ławce obok gabloty pytonów. Dwaj starsi panowie wyszli, więc zostaliśmy sami. Nie patrzyłem na nią.

– Czym się pani zajmuje? – spytałem. – Co pani robi, kiedy się pani nudzi? Tutaj nie ma telewizora. A bez kredytu nie można korzystać z nowojorskich Obiektów Rozrywkowych. Z kolei nie da się zdobyć kredytu bez pracy...

Nie odpowiadała, więc pomyślałem, że nie dosłyszała pytania. Ale po chwili rozległy się kroki i usiadła obok mnie na ławce.

– Ostatnio próbuję zapamiętywać swoje życie – odparła.

„Zapamiętywać swoje życie”. To wyrażenie było tak dziwaczne, że nic nie odpowiedziałem. Wpatrywałem się w pytona wijącego się na drzewie, chociaż wiedziałem, że jedno i drugie jest sztuczne.

– Powinien pan kiedyś tego spróbować – ciągnęła. – Najpierw trzeba sobie przypomnieć coś, co się wydarzyło, a potem raz za razem powtarzać to w myślach. To właśnie jest „zapamiętywanie”. Jeżeli poświęcę temu wystarczająco dużo czasu, zapamiętam wszystko, jak jakąś opowieść albo piosenkę.

Mój Boże, pomyślałem. Ona nie może być zdrowa na umyśle! A jednak siedziała tutaj, a Wykrywacze zostawili ją w spokoju. To przez to, że nie zażywa leków. Co mogło się stać z jej umysłem?

Wstałem z ławki, przeprosiłem i odszedłem.

## **Dzień dwudziesty czwarty**

„Zapamiętywać swoje życie”. Nie potrafiłem wyrzucić z głowy tego zwrotu. Przez całą drogę powrotną z Bronksu na Manhattan i do biblioteki spoglądałem na sympatyczne, nieśmiałe i nieszkodliwe oblicza ludzi,

którzy zajmowali miejsca w myślobusie, starannie zachowując dystans, bądź przechodzili między siedzeniami i unikali przy tym patrzenia sobie w oczy. A ja wciąż myślałem o „zapamiętywaniu swojego życia”. Nie potrafiłem opędzić się od tego wyrażenia, chociaż nie do końca je rozumiałem.

Kiedy myślobus zbliżył się do biblioteki, a ja dałem sygnał, że chcę wysiąść przed windą z przodu budynku, zobaczyłem spory tłum na ulicy i nagle w moim umyśle pojawiło się pytanie, które od jakiegoś czasu nie dawało mi spokoju: gdzie są wszyscy młodzi ludzie?

Ponieważ nie widziałem nikogo młodego. Wszyscy byli co najmniej w moim wieku, a przecież jestem starszy od wielu ojców w filmach. Starszy niż Douglas Fairbanks w „Kapitanie Bloodzie” – znacznie starszy.

Dlaczego nie ma nikogo młodszego ode mnie? Filmy są pełne młodych ludzi. Prawdę mówiąc, oni w nich dominują.

Czy coś jest nie w porządku?

## **Dzień dwudziesty piąty**

Kiedy dorastałem w internacie, razem z innymi chłopcami i dziewczętami z mojej klasy, nie było żadnej młodszej grupy. My byliśmy najmłodsi. Nie wiem, jak dużo nas było w tym potężnym starym kompleksie permoplastikowych budynków niedaleko Toledo, gdyż nikt nigdy nas nie liczył, a my sami nie potrafiliśmy rachować.

Pamiętam spokojny stary budynek nazywany Kaplicą Dzieci Szkolnych, w którym codziennie odbywaliśmy godzinne szkolenie dotyczące Prywatności oraz Pogody Ducha. Zadanie polegało na siedzeniu w sali pełnej dzieci w twoim wieku i ignorowaniu ich obecności, przy jednoczesnym wpatrywaniu się w ruchome światła i kolory na olbrzymim ekranie telewizyjnym. Na początku każdych zajęć durny robot – Marki Dwa – podawał nam słabe sopory. Pamiętam, że udało mi się osiągnąć etap rozwoju, na którym wchodziłem do sali po śniadaniu, czekałem, aż słodki

sopor rozpuści mi się w ustach, pozostawałem tam jeszcze godzinę, a następnie szedłem na kolejne zajęcia, przez cały ten czas nie zdając sobie sprawy z obecności kogokolwiek innego – chociaż z pewnością otaczała mnie setka dzieci.

Tamten budynek wyburzyły potężne maszyny i roboty Marki Trzy, kiedy ukończyliśmy szkolenie i przenieśliśmy się na Trening Nastolatków. A kiedy mniej więcej jeden błękit później trafiłem do Centrum Snu dla Dorosłych, nasze Centrum Snu dla Dzieci Szkolnych również zostało wyburzone.

Wyglądało na to, że byliśmy ostatnim pokoleniem dzieci.

## **Dzień dwudziesty szósty**

Dzisiaj w południe widziałem kolejne samospalenie.

To było w restauracji Burger Chef przy Piątej Alei. Często jadam tam lunch, gdyż moja uniwersytecka karta kredytowa pozwala mi na więcej wydatków niż potrzebuję. Właśnie skończyłem algoburgera i piłem drugą szklankę herbaty z samowara, gdy poczułem za sobą jakiś podmuch i usłyszałem, jak ktoś mówi „Ojej!”. Odwróciłem się, trzymając szklankę w dłoni, i na drugim końcu lokalu zobaczyłem trzy osoby, które siedziały w boksie i płonęły. Ogień wydawał się niezwykle jaskrawy w zaciemnionym wnętrzu i początkowo trudno było mi dostrzec palących się ludzi. Jednak stopniowo widziałem ich coraz wyraźniej, dostrzegłem wykrzywające się i ciemniejące twarze. Wszyscy byli starzy – miałem wrażenie, że to same kobiety. Rzecz jasna nie zdradzały żadnych oznak bólu. Równie dobrze mogłyby grać w remika, tylko że zamiast tego ginęły w płomieniach.

Miałem ochotę krzyknąć, ale oczywiście tego nie zrobiłem. Przyszło mi też do głowy, żeby oblać ich biedne płonące ciała swoją herbatą, ale nie pozwalała na to ich Prywatność. Dlatego tylko stałem nieruchomo i patrzyłem.

Z kuchni wyszły dwa serworoboty i stanęły obok płonących ludzi – zapewne pilnując, żeby ogień się nie rozprzestrzenił. Nikt się nie poruszał. Nikt się nie odzywał.

W końcu, gdy smród stał się nie do zniesienia, wyszedłem z restauracji. Po chwili jednak zatrzymałem się, widząc jakiegoś mężczyznę, który patrzył na ogarniętych płomieniami ludzi przez witrynę lokalu. Przystanąłem obok niego, a potem powiedziałem:

– Nic z tego nie rozumiem.

Popatrzył na mnie, początkowo bez zrozumienia. Ale potem zmarszczył czoło z niesmakiem, wzruszył ramionami i zamknął oczy.

A ja poczerwieniałem ze wstydu, ponieważ zdałem sobie sprawę, że płaczę. Płaczę. Publicznie.

## **Dzień dwudziesty dziewiąty**

Zacząłem to wszystko zapisywać. To jeden z moich dni wolnych i dzisiaj nie oglądałem żadnych filmów. Zamiast tego przyniosłem papier kreślarski i długopis z Wydziału Autoekspresji i zacząłem zapisywać słowa z mojego zarejestrowanego dziennika, używając jako wskazówki wielkich liter z pierwszej strony „Słownika”. Początkowo było mi ogromnie trudno nadażyć za nagraniem; odtwarzałem kilka słów, a następnie kreśliłem je na papierze. Wkrótce stało się to prawdziwą mordęgą. Najwięcej trudu sprawia mi zapisywanie dłuższych słów. Niektórych z nich nauczyłem się z filmów, a kilka najdłuższych na szczęście niedawno poznałem dzięki „Słownikowi” i zazwyczaj potrafię je w nim znaleźć, chociaż wymaga to odrobiny zachodu.

Sądzę, że hasła w „Słowniku” uporządkowano według jakiejś zasady – być może po to, żeby łatwiej je było znaleźć – ale przyznam, że jej nie rozumiem. Przez kilka stron wszystkie słowa zaczynają się od tej samej litery, aż tu nagle pierwsza litera ulega zmianie.

Po kilku godzinach pisania rozbolała mnie ręka i już nie mogłem utrzymać długopisu. Musiałem zażyć pigułki przeciwbólowe; ale kiedy to zrobiłem, odkryłem, że utrudniają mi skupienie na tym, co robię, i zacząłem gubić całe słowa oraz wyrażenia.

Podjeżdżałem, że pigułki mogą w taki sposób wpływać na człowieka, ale jeszcze nigdy nie uzyskałem tak przekonującego dowodu.

## **Dzień trzydziesty pierwszy**

Dzisiaj nie poszedłem do zoo.

Przez cały dzień bez ustanku zapisywałem słowa na papierze. Od pory lunchu aż do teraz, gdy zaczyna się zmierzchać. Ból w ręce stał się dotkliwy, ale nie chciałem zażyć pigułek przeciwbólowych i po pewnym czasie niemal o nim zapomniałem. Prawdę mówiąc, było coś – jak mam to ująć? – satysfakcjonującego w siedzeniu przy biurku z obolałymi dłońmi i nadgarstkiem, i zapisywaniu słów na kartce. Przepisałem swój dziennik do dwudziestego dziewiątego dnia i chociaż teraz nagrywam nową wiadomość, nie mogę się doczekać jutra, gdy zasiądę przed arkuszem i wrócę do pisania.

W moim umyśle jest coś, co nie daje mi spokoju. To zwrot „zapamiętywać swoje życie”, którego użyła kobieta w gadziarni. Mniej więcej przed godziną go zapisałem i dostrzegłem w tych słowach coś, czegoś nie zrozumiałem od razu. Ja również zapamiętuję swoje życie. Nanoszenie tych słów na papier, zamiast odczytywania ich do rejestratora, to umysłowe ćwiczenie, które tamta kobieta nazwała „zapamiętywaniem”. Przerwałem pracę po zapisaniu słów „zapamiętywać swoje życie” i postanowiłem coś sprawdzić. Otworzyłem „Słownik” i zacząłem przerzucać strony, aż dotarłem do słów, które rozpoczynały się od litery Z, a następnie zabrałem się do ich przeglądania. Po chwili zauważyłem pewien schemat, ponieważ wszystkie słowa, które zaczynały się od liter ZA, zostały zgrupowane w jednym miejscu. Przejrzałem tę grupę wyrazów, aż

w końcu udało mi się odnaleźć słowo „zapamiętywać”. Oto zamieszczony przy nim opis: „Uczyć się na pamięć; (arch.) zapisywać w sercu”. Cóż za dziwna definicja – serce, zapisywać w sercu. Nic z tego nie rozumiałem. A jednak słowo „serce” wydaje się na miejscu, ponieważ wiem, że moje serce od zawsze bije. Od zawsze.

Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem i nie słyszałem tak wyraźnie ani nie myślałem tak jasno. Czy to dlatego, że tego dnia nie zażywałem żadnych pigułek? A może tak na mnie działa czynność pisania? Oba doświadczenia są dla mnie tak nowe i tak bardzo się splotły, że nie jestem pewien, które z nich miało na mnie taki wpływ. To niezwykle dziwne uczucie. Towarzyszy mu radość, ale poczucie ryzyka jest niemal paraliżujące.

### **Dzień trzydziesty trzeci**

Zeszłej nocy nie mogłem spać. Leżałem rozbudzony w łóżku, wpatrując się w sufit z nierdzewnej stali w swoim pokoju w archiwum. Kilka razy chciałem wezwać serworobota i poprosić o sopory, ale wreszcie postanowiłem tego nie robić. W pewnym sensie podobała mi się ta bezsenność. Wstałem na chwilę i zacząłem krążyć po pomieszczeniu. Pokój jest jasny, wyłożony grubą lawendową wykładziną. Stoi w nim biurko połączone z łóżkiem, a na biurku leży „Słownik”. Spędziłem około godziny na przeglądaniu książki i patrzeniu na słowa. Kryje się w nich tak wiele znaczeń i wiedzy o przeszłości!

Postanowiłem wyjść. Zrobiło się bardzo późno. Na ulicach nikogo nie było, a chociaż w Nowym Jorku jest bezpiecznie, czułem napięcie i lekką obawę. Jakaś myśl nie dawała mi spokoju, ale za wszelką cenę chciałem uniknąć zażywania soporów. Wezwałem myślóbus i kazałem mu się zawieźć do ogrodu zoologicznego w Bronksie.

Byłem sam w pojeździe. Wyglądałem przez okna, gdy jechaliśmy krętą drogą między bungalowami i pustymi działkami Manhattanu. Spoglądałem na światła budynków, w których jacyś ludzie wciąż oglądali



telewizję. Nowy Jork jest bardzo spokojny, zwłaszcza nocą, ale rozmyślałem o tych wszystkich ludziach oglądających telewizję, o ich życiu, i w końcu doszedłem do wniosku: „Oni nic nie wiedzą o przeszłości, ani własnej, ani niczyjej”. Oczywiście była to prawda i wiedziałem o tym przez całe życie, ale tej nocy, gdy samotnie przemierzałem Nowy Jork, jadąc myślobusem do zoo, poczułem to wyjątkowo silnie, a osobliwość tego faktu zaczęła mnie przytłaczać.

W gadziarni panował mrok, ale budynek nie był zamknięty. Zahałasowałem, wchodząc do środka i usłyszałem wystraszony głos dziewczyny.

– Kto tam?

– To tylko ja – odrzekłem.

Usłyszałem, że wstrzymała oddech.

– Mój Boże! Teraz także w nocy.

– Na to wygląda – stwierdziłem, a potem dostrzegłem błysk zapalniczki. Po chwili płomień się uspokoił i zobaczyłem, że kobieta zapaliła świeczkę. Zapewne wyjęła ją z kieszeni. Postawiła ją na ławce.

– Cóż, cieszę się, że ma pani światło – zauważyłem.

Pewnie spała na ławce, ponieważ teraz się przeciągnęła.

– Zapraszam. Może się pan przysiąść.

Zatem podszedłem i usiadłem obok niej. Czuję, że drżą mi ręce. Miałem nadzieję, że tego nie zauważyła. Przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu. Nie widziałem gadów w ich szklanych gablotach ani nie słyszałem, żeby wydawały jakiegokolwiek dźwięki. W pomieszczeniu panowała cisza. Blask świecy poruszał się na twarzy. Wreszcie się odezwała.

– Nie powinien pan nocą przebywać w zoo.

Popatrzyłem na nią.

– Pani również.

Spuściła wzrok na swoje dłonie, które trzymała złożone na kolanach. Było coś sympatycznego w tym geście. Wielokrotnie widziałem go w starych filmach. Mary Pickford. Uniosła głowę i popatrzyła na mnie. Blask świecy nieco złagodził siłę jej spojrzenia.

– Po co pan tutaj przyszedł?

Długo na nią patrzyłem, zanim odpowiedziałem.

– Chodzi o słowa, których pani użyła tamtego dnia. Nie mogę wyrzucić ich z myśli. Powiedziała pani, że zamierza zapamiętać swoje życie.

Pokiwała głową.

– Początkowo nie wiedziałem, co to znaczy, ale teraz wydaje mi się, że rozumiem. Prawdę mówiąc, sam staram się robić coś podobnego. Nie chodzi o moje wczesne życie, dzieciństwo, internat ani college, ale o życie, które wiodę teraz, od pewnego czasu. Staram się je zapamiętywać. – Zamilkłem. Nie byłem pewien, co jeszcze powiedzieć. Kobieta uważnie mi się przypatrywała.

– A więc nie jestem jedyna – stwierdziła. – Może coś zapoczątkowałam.

– Tak, to możliwe – odrzekłem. – Ale mam coś, co może się pani przydać. Czy pani wie, co to jest rejestrator?

– Chyba tak. Czy mówi się do niego różne rzeczy, a on je powtarza? Tak samo jak wtedy, gdy dzwoni się do biblioteki z prośbą o jakąś informację, a głos, który nam ją podaje, nie należy do żywego człowieka, ale do osoby, która wypowiedziała te słowa dawniej.

– Tak, właśnie na tym to polega. Mam taki rejestrator. Pomyślałem sobie, że mogłaby go pani wypróbować.

– Ma go pan przy sobie?

– Tak.

– Dobrze. To byłoby ciekawe, ale będziemy potrzebowali światła.

Wstała z ławki i przeszła na drugą stronę pomieszczenia, wychodząc z kręgu światła świecy. Usłyszałem, że coś otwiera. Następnie rozległo się pstryknięcie i pomieszczenie zalała jasność. Szkło gablot rozbłysło i zobaczyłem wszystkie gady – legwany, pytona, zielone warany, potężne brązowe krokodyle – które siedziały w ciszy i bezruchu, otoczone syntetyczną roślinnością. Kobieta wróciła na ławkę i usiadła obok mnie. Teraz widziałem, że ma potargane włosy, a od spania na ławce na jej twarzy odcisnęły się zmarszczki. Mimo wszystko wyglądała świeżo i była rozbudzona.

– A więc zobaczmy ten rejestrator – powiedziała.

Wyjąłem go z kieszeni.

– Oto on. Zaraz pani pokażę, jak działa.

Spędziliśmy tam chyba ponad godzinę. Zafascynował ją rejestrator i spytała, czy może go na jakiś czas zatrzymać, ale odparłem, że to niemożliwe, ponieważ korzystam z niego w swojej pracy, a taki sprzęt bardzo trudno zdobyć. Przez chwilę miałem ochotę jej opowiedzieć o czytaniu i pisaniu, ale coś mnie powstrzymało. Może zrobię to innym razem. Kiedy stwierdziłem, że muszę wracać, zapytała:

– Gdzie pan mieszka? Gdzie pan pracuje?

– Na Uniwersytecie Nowojorskim. Pracuję tam tylko tymczasowo, podczas tego lata. Mieszkam w Ohio.

– Czym pan się zajmuje na uniwersytecie?

– Pracuję ze starymi taśmami filmowymi – wyjaśniłem. – Wie pani, co to jest?

– Taśmy filmowe? Nie.

– To coś jak zapis wideo. Metoda rejestracji ruchomych obrazów. Używano ich przed wynalezieniem telewizji.

Szerzej otworzyła oczy.

– Przed wynalezieniem telewizji?

– Tak, kiedyś, dawno temu, ludzie nie mieli telewizji.

– Mój Boże, skąd pan to wie?

Tak naprawdę wcale tego nie wiedziałem, ale odgadłem to z oglądanych filmów, gdyż pokazane w nich rodziny nie miały w domach telewizorów. Idea następstwa zdarzeń – świadomość, że świat nie zawsze wyglądał tak samo – była jedną z najdziwniejszych i najbardziej oszałamiających spraw, jakie zrozumiałem w kwestii przeszłości.

– To bardzo dziwne, że kiedyś mogło nie być telewizji – stwierdziła dziewczyna. – Ale chyba jestem w stanie to zrozumieć. Czuję, że wiele zrozumiałam, odkąd zaczęłam zapamiętywać swoje życie. Uświadomiłam sobie, że coś następuje po czymś i że zachodzą zmiany.

Popatrzyłem na nią.

– Dobry Boże, racja – odrzekłem. – Wiem, co pani ma na myśli.

Następnie zabrałem rejestrator i wyszedłem z pomieszczenia. Myślóbus na mnie czekał. Zaczynało świtać. Kiedy odezwały się ptaki, pomyślałem: „Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu”. Jednakże tym razem te słowa nie wzbudziły we mnie smutku.

Kiedy szedłem w stronę myślóbusu, czułem się niezręcznie, zupełnie jakby ta kobieta wyświadczyła mi wielką przysługę. Nerwowość, która przywiodła mnie do zoo w środku nocy, rozproszyła się, jakbym zażył dwie tabletki Nembukainy... Jednak nie wiedziałem, jak jej podziękować, więc po prostu wróciłem do budynku i powiedziałem: „Dobranoc”, po czym znów ruszyłem do wyjścia.

– Niech pan zaczeka! – zawołała, a ja odwróciłem się w jej stronę. – Może zabierze mnie pan ze sobą?

To mnie zaszokowało.

– Po co? – spytałem. – Chodzi o seks?

– Być może – odparła. – Ale niekoniecznie. Chciałabym... skorzystać z pańskiego rejestratora.

– Sam nie wiem. Mam umowę z uniwersytetem. Nie jestem pewien, czy...

Nagle jej oblicze uległo zmianie. Wykrzywił je przerażający gniew – równie silny jak u niektórych aktorów w filmach.

– Myślałam, że pan jest inny. – Drżał jej głos, ale nad nim panowała. – Myślałam, że pan nie dba o Błędy i Zasady.

Jej złość sprawiła, że poczułem się nieswojo. Publiczne okazywanie złości – a to w pewnym sensie była taka sytuacja – stanowi jeden z najpoważniejszych Błędów. Niemal równie poważny jak płacz przed restauracją Burger Chef. Przypomniałem sobie swoje łzy i nie wiedziałem, co powiedzieć.

Zapewne uznała moje milczenie za naganę albo początek Wycofania w Prywatność, ponieważ nagle zawołała:

– Proszę zaczekać!

Pośpiesznie wyszła z gadziarni, a ja zostałem w środku, całkiem zagubiony. Po chwili wróciła. Niosła kamień wielkości swojej dłoni.

Musiała go zabrać z jednego z kwietników. Przyglądałem się jej z fascynacją.

– Zaraz panu pokażę, co sędzę o Błędach i Zasadach Zachowania.

Zamachnęła się i rzuciła kamieniem w szybę gabloty z pytonem. To było oszałamiające. Najpierw rozległ się głośny huk, a na szybie pojawiło się wgniecenie. Duży trójkąt szkła spadł obok moich stóp i roztrzaskał się na kawałki. Kiedy tak stałem przerażony, kobieta podeszła do gabloty, wsunęła do środka obie ręce i wyciągnęła pytona. Zadrzałem; jej pewność siebie była porażająca. A gdyby wąż nie był robotem?

Wywlekła gada łbem do przodu, jednocześnie otwierając mu paszczę i do niej zaglądnąc. Potem wyciągnęła w moją stronę łeb węża ze złowrogo rozwartymi szczękami. Mieliśmy rację. Mniej więcej na głębokości stopy w gardzieli stworzenia znajdowała się charakterystyczna bateria jądrowa robota Klasy D.

Byłem zbyt wystraszony jej zachowaniem, żeby cokolwiek powiedzieć.

Kiedy tak staliśmy, niczym żywcem wyjęci ze starego filmu, ona triumfalnie dzierżąc węża, a ja zalekniony jej imponującym wyczynem, nagle za moimi plecami rozległ się jakiś hałas. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, jak otwierają się drzwi pomiędzy dwiema gablotami i wyłania się zza nich wysoki i groźny robot-ochroniarz. Zbliżył się do nas, grzmiąc:

– Jesteście aresztowani. Macie prawo zachować milczenie...

Kobieta spokojnie patrzyła na robota, który nad nią górował. Wreszcie ostro mu przerwała:

– Odwal się, robocie. Odwal się i zamknij.

Robot zamilkł. Całkowicie znieruchomiał.

– Robocie – powiedziała – zabierz tego cholernego węża i zanieś go do naprawy.

Robot wyciągnął ręce, wziął od niej węża i szybko wyszedł z pomieszczenia, znikając w ciemności.

Sam nie wiem, co czułem, kiedy na to patrzyłem. Miałem wrażenie, że oglądam gwałtowne sceny w jakimś filmie, na przykład w „Nietolerancji”, gdzie zawałają się potężne kamienne budynki. Na coś takiego po prostu patrzy się w odrętwieniu.

Ale potem zacząłem się zastanawiać i powiedziałem:

– Wykrywacze...

Popatrzyła na mnie. Miała zaskakująco spokojne oblicze.

– Nad takimi robotami trzeba panować. Zbudowano je, żeby służyły ludziom, a wszyscy o tym zapomnieli.

Żeby służyły ludziom? To mogła być prawda.

– Ale co z Wykrywaczami?

– Oni już nie wykrywają – odparła. – Niech pan popatrzy na mnie. Nie wykryły mnie, chociaż kradnę kanapki, śpię w Miejscu Publicznym oraz opuściłam Rezerwat dla Wyłączonych, nie wróciłam do świata.

Nic nie odpowiedziałem, ale na mojej twarzy z pewnością odmalował się szok.

– Wykrywacze niczego nie wykrywają – ciągnęła. – Może nigdy tego nie robili. Nie muszą. Wszyscy od dzieciństwa są tak wyćwiczeni, że niczego nie próbują.

– Ludzie palą się żywcem – odparłem. – Często.

– A czy Wykrywacze ich powstrzymują? Dlaczego nie wiedzą, że ludzie mają niezrównoważone, samobójcze myśli, i nie krzyżują im planów?

Mogłem tylko przytaknąć. Z pewnością miała rację.

Popatrzyłem na rozbite szkło na podłodze, a potem na rozbitą gablotę z plastikowym drzewem, w której już nic się nie poruszało. Potem przeniósłem wzrok na kobietę, która stała w sztucznym świetle gadziarni, spokojna, trzeźwa oraz – czego się obawiałem – całkowicie obłąkana.

Spoglądała w stronę gabloty pytona. Na jednej z wyższych gałęzi drzewa wisiał jakiś owoc. Gwałtownie sięgnęła w jego stronę, najwyraźniej zamierzając go zerwać.

Wbiąłem w nią wzrok. Owoce znajdował się wysoko, więc musiała się wspiąć na palce i wyciągnąć najbardziej jak mogła, żeby go złapać opuszkami palców. Silny blask wydobywający się z gabloty przenikał jej sukienkę, wyraźnie ukazując zarys ciała; było piękne.

Zerwała owoc i na moment znieruchomiała w pozie tancerki. Następnie opuściła owoc na wysokość piersi i zaczęła go obracać w dłoniach, jednocześnie mu się przyglądając. Trudno było go rozpoznać; wyglądał jak

jakaś odmiana mango. Przez chwilę myślałem, że spróbuje go zjeść, chociaż byłem pewien, że jest plastikowy, ale potem wyciągnęła dłoń i mi go podała.

– Z pewnością niejadalny. – Jej głos był zaskakująco spokojny i pełen rezygnacji.

Wziąłem od niej owoc.

– Więc po co go pani zerwała?

– Nie wiem – odparła. – Wydawało mi się, że tak trzeba.

Długo na nią patrzyłem, nic nie mówiąc. Pomimo zmarszczek spowodowanych wiekiem i snem oraz potarganych włosów była bardzo piękna. Jednak nie czułem wobec niej pożądania – tylko coś w rodzaju podziwu, a także lekki lęk.

Wepchnąłem owoc do kieszeni.

– Wracam do biblioteki, zażyć kilka soporów – oznajmiłem.

Odwróciła się i popatrzyła na pustą gąbłotę.

– W porządku – odpowiedziała. – Dobranoc.

\* \* \*

Kiedy wróciłem, położyłem owoc na „Słowniku”, który leżał na moim biurku. Następnie zażyłem trzy sopory. Spałem do południa.

Owoc wciąż leży na swoim miejscu. Chciałbym, żeby coś znaczył, ale na próżno.

## **Dzień trzydziesty siódmy**

Cztery dni bez pigulek. Do tego tylko dwa skręty dziennie – jeden po kolacji i drugi przed zaśnięciem. To wszystko jest bardzo dziwne. Czuję się spięty, a zarazem podniecony.

Często jestem niespokojny, zacząłem więc spacerować korytarzami w piwnicy pod biblioteką. Korytarze nie mają końca, są niczym labirynt

o ścianach pokrytych mchem i wilgocią. Mijam kolejne wejścia, a czasem także otwarte drzwi, przez które zaglądam, przypominając sobie odnalezienie „Słownika” i niemal obawiając się, że ponownie coś znajdę. Nie jestem pewien, czy tego chcę. Mam już dosyć nowości, odkąd przybyłem do tego miejsca.

W pomieszczeniach niczego nie ma. W niektórych znajdują się półki sięgające od podłogi do sufitu, ale nigdy nic na nich nie leży. Rozglądam się, a potem zamykam drzwi i idę dalej. W korytarzach zawsze cuchnie stęchlizną.

Drzwi poszczególnych pomieszczeń mają różne kolory, dzięki czemu łatwo można je odróżnić. Moje są pomalowane na lawendowo, żeby pasowały do wykładziny w środku.

Kiedy się wprowadziłem, przerażały mnie wędrówki po tym rozległym, pustym budynku. Ale teraz czerpię z nich pociechę.

Już nie ucinam sobie drzemek, jak zwykłem to czynić.

## **Dzień czterdziesty**

Czterdzieści dni. Wszystko jest zapisane i leży przede mną na biurku, na siedemdziesięciu dwóch stronach papieru powlekanego.

To największe osiągnięcie mojego życia. Zgadza się, użyłem tego słowa: wielkie osiągnięcie. To, że nauczyłem się czytać, stanowiło osiągnięcie. Nikt oprócz mnie o tym nie wie. Nawet Spofforth. Chociaż Spofforth jest robotem, a roboty mogą wiedzieć wszystko. Jednakże nie są w stanie niczego osiągnąć; zostały zbudowane tak, żeby wykonywać swoje zadania, i nie potrafią się zmienić.

Dzisiaj odczytałem siedem filmów, ale nie pamiętam niemal żadnego słowa, które zarejestrowałem.

Nie mogę przestać o niej myśleć. Widzę ją na tle drzew i paproci w gablocie, wyciągającą w moją stronę rękę z plastikowym owocem.



## Dzień czterdziesty pierwszy

Większość restauracji Burger Chef mieści się w permoplastikowych budynkach, ale ta przy Piątej Alei jest większa i zbudowana z nierdzewnej stali. Na stolikach stoją czerwone lampki w kształcie tulipanów, muzak dobiegający ze ścian-głośników brzmi jak melodie grane na bałajkach. Na obu końcach czerwonego kontuaru stoją duże mosiężne samowary, a kelnerki – roboty Marki Cztery albo kobiece klony – noszą na głowach czerwone chusty.

Przyszedłem tam rano na śniadanie złożone z syntetycznej jajecznicy i gorącej herbaty. Kiedy czekałem w kolejce, mężczyzna stojący przede mną – niski, ubrany w brązowy kombinezon, z obliczem pełnym bezbarwnego spokoju – próbował zamówić na śniadanie Złocistobrazowe Frytki. Trzymał w dłoni kartę kredytową, jej pomarańczowy kolor wskazywał na to, że jest kimś ważnym.

Kelnerka-robot stojąca za kontuarem oznajmiła mu, że Złocistobrazowych Frytek nie wolno podawać na śniadanie. Mężczyzna w jednej chwili utracił pogodę ducha.

– Jak to? Przecież ja nie zamawiam śniadania.

Popatrzyła bezmyślnie na blat.

– Złocistobrazowe Frytki można zamówić tylko z zestawem Super Shef.

– Zerknęła na identycznego robota, który stał obok. U obu brwi łączyły się nad nosem. – Tylko z zestawem Super Shef, prawda, Marge?

Zajrzałem za kontuar i zobaczyłem sterty frytek w małych foliowych torebkach.

– Złocistobrazowe Frytki można zamówić tylko z zestawem Super Shef

– potwierdziła Marge.

Pierwszy robot zerknął na mężczyznę, a potem ponownie opuścił wzrok.

– Złocistobrazowe Frytki można zamówić tylko z zestawem Super Shef.

Mężczyzna sprawiał wrażenie wściekłego.

– No dobrze, więc poproszę zestaw Super Shef.

– Ze Złocistobrazowymi Frytkami?

– Tak.

– Przykro mi, ale maszyna do wydawania zestawów Super Shef dzisiaj nie działa poprawnie. Mamy Syn-jajecznice i małpi bekon, a także Złocistobrazowe Tosty.

Przez chwilę wydawało się, że mężczyzna zacznie krzyczeć. Ale tylko sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął małe srebrne pudełko na pigułki i połknął trzy zielone sopory. Po kilku chwilach jego oblicze znów się rozpuściło i zamówił tosty.

## **Dzień czterdziesty drugi**

Jest u mnie w bibliotece! Śpi na grubej wykładzinie w pustym pokoju w dalszej części korytarza.

Opiszę, jak do tego doszło.

Postanowiłem, że nigdy więcej nie wrócę do zoo. Niestety, wczoraj nie mogłem przestać o niej myśleć. Nie chodziło o seks ani o tę ideę nazywaną „miłością”, o której opowiada tak wiele filmów. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, to że nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś tak interesującego.

Mam wrażenie, że gdybym nie nauczył się czytać, wcale bym się nią nie zainteresował. Tylko wystraszył.

Wczoraj po lunchu pojechałem myślobusem do zoo. Był czwartek, więc padało. Na ulicach nie było nikogo poza kilkoma durnymi robotami, które opróżniały kosze ze śmieciami, przycinały żywopłoty i pracowały w parkach oraz miejskich ogrodach.

Kiedy dotarłem na miejsce, nie zastałem jej w gadziarni. Byłem oszołomiony – przestraszony, że odeszła i już nigdy jej nie zobaczę. Próbowałem usiąść i na nią zaczekać, ale byłem tak niespokojny, że musiałem się przejść. Najpierw postanowiłem pooglądać gady. Gablotę pytona naprawiono, ale nie było go w środku. Zamiast niego umieszczono tam cztery albo pięć grzechotników diamentowych, które potrzęsały

grzechotkami z takim samym zapałem, jaki wcześniej widziałem u dziecka z lodowym różkiem.

Po chwili zmęczyło mnie patrzenie na te nadpobudliwe stworzenia, więc – widząc, że deszcz ustał – wyszedłem na zewnątrz.

Ścieżką szło znajome dziecko albo któryś z jego bliźniaczo podobnych towarzyszy. W taki deszczowy dzień w zoo nie było prawie nikogo, dlatego malec postanowił odegrać swoją rolę wyłącznie dla mnie.

– Dzień dobry panu. Miło tak pooglądać zwierzęta, prawda?

Ominąłem go, nie odpowiadając. Słyszałem, że podąża za mną, kiedy szedłem w stronę otoczonej fosą wysepki, na której mieszkały zebry.

– Ojej! – odezwał się chłopiec. – Zebry są dzisiaj takie żwawe.

Jego komentarz sprawił, że poczułem coś, na co nie pozwalałem sobie od dzieciństwa: gniew. Obróciłem się i posłałem wściekle spojrzenie tej pulchnej, piegowatej istocie.

– Odwał się, robocie.

Nie popatrzył na mnie.

– Zebry... – zaczął.

– Odwał się.

Wtedy gwałtownie się odwrócił i wesoło podskakując, ruszył inną ścieżką.

Byłem z siebie zadowolony. Mimo że nie byłem do końca przekonany, że miałem do czynienia z robotem. Roboty teoretycznie można rozpoznać po kolorowych płatkach uszu, ale od zawsze słyszałem plotki, że to nie musi być prawda.

Przez chwilę próbowałem się skupić na zebrach, ale nie potrafiłem, ponieważ kłębiły się we mnie różne uczucia: euforia wywołana uciszeniem dziecka – czy cokolwiek to było – oraz mieszanka emocji dotyczących kobiety, spośród których najważniejszy był lęk, że odeszła. A może w końcu ją wykryli?

Zebry nie były żwawe; może to oznaczało, że są prawdziwe.

W końcu odszedłem od ich wybiegu, a kiedy popatrzyłem przed siebie wzdłuż ścieżki, w stronę niewielkiej szarej fontanny, zobaczyłem kobietę w czerwonej sukience. Szła w moją stronę z pękiem żółtych żonkili

w dłoni, a ja zatrzymałem się i przez chwilę miałem wrażenie, że moje serce przestało bić.

Podeszła do mnie z uśmiechem.

– Witaj – zagadnęła.

– Witaj. Mam na imię Paul.

– A ja Mary. Mary Lou Borne.

– Gdzie byłaś? Poszedłem do gadziarni.

– Spacerowałam. Wybrałam się na przechadzkę przed lunchem i złapał mnie deszcz.

Wtedy zauważyłem, że jej czerwona sukienka oraz włosy są mokre.

– Aha – odrzekłem. – Bałem się, że... odeszłaś.

– Że mnie wykryli? – Roześmiała się. – Wracajmy do budynku i zjedźmy kanapkę.

– Już jadłem lunch, a ty powinnaś się przebrać w coś suchego.

– Nie mam żadnych suchych ubrań, tylko tę sukienkę.

Przez chwilę się wahałem, a potem to powiedziałem. Sam nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

– Pojedź ze mną na Manhattan, a kupię ci sukienkę.

Wyglądało na to, że wcale nie jest zaskoczona.

– Tylko wezmę kanapkę...

Kupiłem jej sukienkę w automacie przy Piątej Alei – żółtą, uszytą z ładnego, szorstkiego materiału zwanego synlonem. Zanim dotarliśmy na miejsce myślobusem, wyschły jej włosy i wyglądała oszałamiająco. Wciąż trzymała w dłoni kwiaty, które pasowały do sukienki.

Nauczyłem się słowa „oszałamiająco” z jednego z filmów z Thedą Barą. Pewien szlachcic i jego służący patrzyli, jak panna Bara, która miała na sobie czarną sukienkę i niosła białe kwiaty, schodzi po krętych schodach. Na ekranie pojawiła się kwestia służącego: „Ładna. Bardzo ładna”. Szlachcic lekko skinął głową i odrzekł: „Jest oszałamiająca”.

Po drodze prawie nie rozmawialiśmy. Kiedy przyprowadziłem ją do swojego pokoju, usiadła na czarnej plastikowej kanapie i uważnie się rozejrzała. Pokój jest duży i kolorowy – lawendowa wykładzina, jaskrawe kwietne wzory na stalowych ścianach, subtelne oświetlenie – i jestem

z niego naprawdę dumny. Chciałbym mieć okno, ale mieszkam w piwnicy, a dokładniej pięć poziomów pod ziemią.

– Jak ci się podoba? – spytałem.

Wstała i wyrównała obraz przedstawiający kwiaty.

– Trochę jak w chicagowskim burdelu – odrzekła. – Ale ładnie.

Nie zrozumiałem jej odpowiedzi.

– Co to jest chicagowski burdel?

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Nie wiem. Mój ojciec zwykł tak mawiać.

– Twój ojciec? – zdziwiłem się. – Miałaś ojca?

– W pewnym sensie. Kiedy uciekłam z internatu, zajął się mną pewien staruszek. Na pustyni. Miał na imię Simon, i za każdym razem, gdy widział coś krzykliwego – na przykład zachód słońca – mówił: „Zupełnie jak w chicagowskim burdelu”.

Przyjrzała się obrazowi, który poprawiła, po czym wróciła na kanapę.

– Chętnie bym się czegoś napiła.

– Nie czujesz się źle po alkoholu?

– Nie po syn-ginie – odparła. – Oczywiście, jeśli nie wypiję za dużo.

– Dobrze, chyba uda mi się trochę załatwić. – Wcisnąłem guzik na swoim biurku, przywołując serworobota, a kiedy się pojawił, niemal natychmiast, kazałem mu przynieść dwie szklaneczki syn-ginu i lód.

Kiedy się odwrócił, żeby odejść, Mary Lou powiedziała:

– Zaczekaj, robocie. – Popatrzyła na mnie. – Mogę zamówić sobie coś do jedzenia? Mam już serdecznie dosyć kanapek z zoo.

– Oczywiście. Przepraszam, że o tym nie pomyślałem. – Trochę zbiło mnie z tropu to, że przejęła kontrolę, ale dobrze się czułem w roli gospodarza, zwłaszcza że miałem mnóstwo niewykorzystanych środków na swojej uniwersyteckiej karcie. – Maszyna w kawiarni przyrządza dobry małpi bekon i kanapki z pomidorami.

Zmarszczyła czoło.

– Nie wezmę do ust małpiego bekonu – odparła. – Ojciec uważał, że małpie żarcie jest obrzydliwe. A co z pieczenią wołową? Byle nie w kanapce.

Odwróciłem się w stronę robota.

– Możesz przynieść talerz pokrojonej pieczeni wołowej?

– Tak – odpowiedział robot. – Jasne.

– Dobrze, a mnie do drinka przynieś rzodkiewki i sałatę.

Robot wyszedł i w pokoju przez chwilę panowało niezręczne milczenie. Zaskoczyło mnie to, a nawet nieco ucieszyło. Mary Lou czasami w ogóle nie miała wycucia.

W końcu przerwałem ciszę.

– Uciekłaś z internatu?

– Jako nastolatka. Uciekałam z wielu miejsc.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś może choćby pomyśleć o ucieczce z internatu. Nie, to nieprawda. W dzieciństwie słyszałem, jak chłopcy przechwalali się, że „uciekną”, ponieważ któryś z robotów-nauczycieli niesprawiedliwie ich potraktował lub coś w tym rodzaju. Ale nikt tego nie robił. Najwyraźniej poza Mary Lou.

– Nie wykryli cię?

– Początkowo byłem pewna, że tak się stanie. – Odprężyła się i wygodniej rozsiadła na kanapie. – Strasznie się bałam. Przez pół dnia wędrowałam starą drogą, aż dotarłam do opustoszałego miasteczka na pustyni. Jednak Wykrywacze się nie pojawili. – Powoli pokręciła głową. – Wtedy zaczęłam rozumieć, że Wykrywacze wcale nie działają. A także, że nie trzeba się słuchać robotów.

Skrzywiłem się, przypominając sobie pewne wydarzenie, które spotkało mnie w internacie, kiedy robot umieścił mnie w Coventry.

– Uczą nas, że roboty są stworzone, żeby służyć ludziom, ale mówią to w taki sposób, jakby mieli na myśli kontrolę. Mój ojciec – Simon – nazywał to „gadką polityków”.

– Gadką polityków?

– To szczególnie sposób kłamania – wyjaśniła. – Simon był bardzo stary, kiedy go poznałam. Zmarł zaledwie dwie żółcie po tym, jak się do niego wprowadziłam, nie miał zębów i prawie stracił słuch. Przekazał mi wiele rzeczy, których nauczył się od swojego ojca – albo kogoś innego – i które pochodziły z dawnych czasów.

– Został wyszkolony w internacie?

– Nie wiem. Nigdy go nie pytałam.

Robot wrócił z jedzeniem i drinkami. Mary Lou wzięła talerz z pieczenią wołową i syn-gin, po czym usadowiła się na kanapie. Upiła duży łyk alkoholu, lekko się wzdrygając, a potem wzięła palcami plasterk mięsa i zjadła go w bardzo naturalny sposób, który był dla mnie nowością – nigdy nie widziałem, żeby ktoś jadł palcami.

– To dzięki Simonowi lubię wołowinę. Podprowadzał krowy z dużych zautomatyzowanych farm, a czasami polował na dzikie osobniki.

Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

– Czy „prowadzać” znaczy „kraść”? – spytałem.

Pokiwała głową.

– Chyba tak. – Wzięła kolejny plasterk wołowiny z talerza, a następnie postawiła talerz na kanapie. Trzymając mięso w palcach, wypiła kolejny łyk ze szklaneczki. – Nie pytaj o Wykrywaczy, ponieważ się nie pojawili. – Dokończyła drinka jednym haustem. – Simon mówił, że przez całe swoje życie ani razu nie widział Wykrywacza ani nie słyszał o tym, żeby ktoś został wykryty.

To były szokujące słowa, ale najwyraźniej prawdziwe. Ja również już nie byłem młody, a nigdy nie słyszałem o nikim, kto zostałby wykryty. Chociaż, z drugiej strony, nigdy nie znałem nikogo, komu mogłoby to grozić.

\* \* \*

Na chwilę przestaliśmy rozmawiać, a Mary Lou skupiła się na dokończeniu posiłku. Patrzyłem, jak je, wciąż oszołomiony tym, że jest taka interesująca – oraz atrakcyjna – i że udało mi się ją nakłonić, by do mnie przyjechała.

Oczywiście myślałem o seksie, ale miałem wrażenie, że jest na to za wcześnie. Cieszyłem się z tego, ponieważ jestem w tych sprawach bardziej nieśmiały od większości ludzi, a chociaż Mary Lou była niezwykle atrakcyjna – dostrzegłem to jeszcze wyraźniej po dopiciu ginu – czułem się teraz zbyt zaniepokojony, żeby czegokolwiek próbować.

W końcu, po dłuższej chwili, przerwała milczenie.

– Pokaż mi swój rejestrator – poprosiła.

– Oczywiście – odrzekłem i poszedłem po niego do biurka. Obok rejestratora leżał sztuczny owoc, który zerwała w gablocie pytona; najwyraźniej jak dotąd go nie zauważyła.

Zostawiłem owoc, zabrałem rejestrator z biurka i jej przyniosłem.

Pamiętała, jak go obsługiwać.

– Mogę coś nagrać? – spytała.

Powiedziałem, żeby się nie krępowała. Następnie poprosiłem robota o kolejne dwa syn-giny z lodem i położyłem się na swoim łóżku, słuchając, jak Mary Lou mówi do rejestratora.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co robi. Mówiła powolnym, hipnotycznym głosem, wypowiadając słowa całkowicie beznamiętnie. W końcu dotarło do mnie, że opowiada swoje „życie” w taki sposób, w jaki je „zapamiętała” – powtarzając wyuczone słowa:

– Pamiętam krzesło obok swojego łóżka. Pamiętam zieloną sukienkę, w którą ubierałam się do szkoły. Każdy starał się nosić inne ubrania niż pozostali, żeby okazać swoją Indywidualność, ale mam wrażenie, że wszyscy wyglądaliśmy tak samo... Bardzo dobrze radziłam sobie z nauką, ale jej nienawidziłam... Pamiętam dziewczynę imieniem Sarah, która miała paskudne pryszcze. Ona pierwsza opowiedziała mi o seksie. Już to robiła, na oczach innych dzieci. Czułam, że to... niewłaściwe... Wokół miejsca, w którym mieszkaliśmy, rozciągała się pustynia i helodermy czasami przychodziły nocować w naszym internacie. Roboty łapały je i wносиły na zewnątrz. Było mi żal tych dużych, głupich jaszczurek. W gadiarni nie mają heloderm, chociaż moim zdaniem powinni...

I tak dalej. Początkowo słuchałem z zaciekawieniem, ale po chwili poczułem się straszliwie senny. To był długi dzień. Poza tym nie przywykłem do picia.

W pewnej chwili, w trakcie jej nagrania, odplynałem w sen.

Kiedy obudziłem się rano, już jej nie było. Początkowo zaniepokoiłem się, że odeszła. Ale zajrzałem do kilku pokoiów w dalszej części korytarza i w końcu ją znalazłem. Leżała zwinięta w kłębek na środku grubej



pomarańczowej wykładziny i spała jak dziecko. Zrobiło mi się ciepło na sercu. Poczułem się jak... jak ojciec. A także jak kochanek.

\* \* \*

Następnie wróciłem do swojego gabinetu, zjadłem śniadanie i zacząłem to zapisywać.

Kiedy skończę, obudzę ją i pójdziemy do restauracji na lunch.

### **Dzień czterdziesty trzeci**

Kiedy już ją obudziłem, pojechaliśmy taśmociągiem wzdłuż Piątej Alei i zjedliśmy lunch w restauracji warzywnej. Zamówiliśmy szpinak z fasolą.

Nie zażywaliśmy żadnych pigułek ani nie paliliśmy skrętów i zaskoczyło nas, jak nieprzytomni i odurzeni wydają się wszyscy wokół nas. Oczywiście, nie licząc robotów, które nas obsługiwały. Przy pobliskim stoliku siedziała starsza para, która wciąż się powtarzała, bezsensownie udając rozmowę. On mówił: „Floryda jest najlepsza”, a ona odpowiadała: „Nie dostyszałam, jak pan ma na imię”, na co on: „Lubię Florydę”, ona zaś: „Arthur, prawda?” i tak dalej, przez cały posiłek. Z pewnością łączył ich seks, ale nic więcej. Takie sytuacje nigdy nie stanowiły rzadkości, lecz w towarzystwie Mary Lou, z którą cały czas miałem o czym rozmawiać, i w całkowitej trzeźwości, dostrzegałem je wyjątkowo wyraźnie. Napelniały mnie smutkiem.

### **Dzień czterdziesty szósty**

Mary Lou mieszka tutaj już od trzech dni. Prosiła mnie, żebym jej nie budził, dlatego przez pierwsze dwa dni spała do południa, a ja pracowałem nad filmem o mężczyznach, którzy chodzili bez koszul i mieszkali na

żaglowcach, które mogły przepłynąć ocean. Przeważnie walczyli ze sobą za pomocą noży i mieczy. Czasami wołali: „Do stu tysięcy wichrów!” albo „Jestem władcą mórz!”. Nawet mnie to ciekawiło, ale Mary Lou zbyt zaprzętała mi myśli, żebym mógł się skupić.

Przez te dwa dni pracowałem tylko rano, ponieważ z jakiegoś powodu nie chciałem, żeby oglądała mnie przy pracy. Nie wiem dlaczego, ale woląłem, żeby nie wiedziała o czytaniu.

Trzeciego ranka weszła do mojego pokoju z książką w ręku. Jej widok odebrał mi dech w piersi: miała na sobie piżamę, którą jej dałem, ale nie zapięła góry, tak że widziałem miejsce pomiędzy jej piersiami. Na szyi nosiła krzyżyk. Widziałem jej pępek.

– Popatrz tylko, co znalazłam! – zawołała i podała mi książkę.

Góra od piżamy podążyła za jej gestem i przez chwilę widziałem jeden z sutków. Czułem się zmieszany i z pewnością wyglądałem jak głupiec, kiedy tak stałem, próbując się na nią nie gapić. Zauważyłem, że jest boso.

– Weź – powiedziała i niemal siłą wepchnęła mi książkę do ręki.

Jeszcze przez chwilę czułem się zbity z tropu, ale w końcu przyjąłem książkę. Była niewielka i nie miała sztywnej okładki, którą jak dotąd uważałem za nieodłączny element każdego tomu.

Popatrzyłem na okładkę. Widoczny na niej obrazek – w kolorach wyblakłej żółci i błękitu – nie miał żadnego sensu. Był to wzór złożony z ciemnych i jasnych kwadratów, na których gdzieniegdzie znajdowały się dziwaczne kształty. Tytuł brzmiał „Podstawowe szachowe końcówki”, a autor nazywał się Reuben Fine.

Otworzyłem książkę. Na pozólkłych stronach znajdowały się niewielkie wykresy z czarnymi i białymi kwadratami, a także długie opisy, na pierwszy rzut oka pozbawione sensu.

Kiedy nieco się uspokoiłem, ponownie zerknąłem na Mary Lou. Zapewne zwróciła uwagę na moje zachowanie, ponieważ zapięła górę od piżamy. Przeczesała palcami włosy, próbując je ułożyć.

– Skąd to masz? – spytałem.

Popatrzyła na mnie z namysłem.

– Czy to... Czy to jest książka? – spytała.

– Tak. Gdzie ją znalazłaś?

Wpatrywała się w książkę w moich dłoniach.

– Jezu Chryste! – zawołała.

– Co takiego?

– To tylko takie wyrażenie. – Wzięła mnie za rękę. – Chodź. Pokażę ci, gdzie ją znalazłam.

Dałem się jej prowadzić jak dziecko. Zawstydział mnie jej dotyk i chciałem cofnąć rękę, ale nie zdołałem. Mary Lou była pełna siły i determinacji, a ja czułem się zagubiony i zdezorientowany.

Zaprowadziła mnie korytarzem dalej niż kiedykolwiek dotarłem, a potem skręciła, przeszła przez podwójne drzwi i powędrowała kolejnym korytarzem. Wzdłuż niego znajdowały się drzwi, niektóre z nich otwarte. Pomieszczenia najwyraźniej były puste.

Miałem wrażenie, że odgadła moje myśli.

– Byłeś już kiedyś tak daleko? – spytała.

Z jakiegoś powodu było mi wstyd, że nie. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć do tych pomieszczeń. Wydawało mi się, że to nie byłoby właściwe. Kiedy nie odpowiedziałem, dodała:

– Później pozamykam te drzwi. Wczoraj nie mogłam zasnąć, więc poszłam trochę pozwiedzać. – Roześmiała się. – Simon zawsze mi powtarzał: „Zbadaj swoje otoczenie, kochanie”. Dlatego snułam się po tych korytarzach jak Lady Makbet i otwierałam drzwi. Większość pokoi była pusta.

– Co to jest Lady Makbet? – spytałem, próbując podtrzymać rozmowę.

– Ktoś, kto włóczy się w piżamie – wyjaśniła.

Na końcu nowego korytarza znajdowały się duże czerwone otwarte drzwi. Doprowadziła mnie do nich i razem weszliśmy do pomieszczenia, gdzie wreszcie puściła moją dłoń.

Rozejrzałem się wokół. Pod stalowymi ścianami stały półki, które najwyraźniej przeznaczono na książki. Kiedyś widziałem takie pomieszczenie w jednym z filmów – tylko że tam na jednej ze ścian wisiały obrazy, a wszędzie stały stoliki z lampkami. Tutaj były tylko półki, w większości puste i pokryte grubą warstwą kurzu. Na podłodze leżała

czerwona wykładzina naznaczona dużymi plamami pleśni. Ale na jednej ze ścian, w głębi pokoju, znajdowało się chyba ze sto książek.

– Popatrz! – zawołała Mary Lou, podbiegając do półki. Bardzo delikatnie przesunęła dłonią po jednej z książek. – Simon opowiadał mi o książkach, ale nie miałam pojęcia, że jest ich aż tyle.

Ponieważ wiedziałem co nieco o książkach, poczułem się pewniej – jakbym odzyskał kontrolę nad sytuacją – i powoli podszedłem, by się im przyjrzeć. Na okładce widniała inna wersja tego samego wzoru z kwadratów, a tytuł głosił: „Paul Morphy i złoty wiek szachów”. Wewnątrz znajdowały się takie same wykresy jak w pierwszej książce, ale towarzyszyło im więcej tekstu.

Trzymałem książkę otwartą, starając się odgadnąć, co może znaczyć słowo „szachy”, gdy nagle Mary Lou spytała:

– Co dokładnie robi się z książką?

– Czyta się ją.

– O, a co to znaczy?

Pokiwałem głową. Potem zacząłem przewracać kartki książki, którą trzymałem.

– Niektórym z tych znaków odpowiadają dźwięki, które z kolei tworzą słowa. Patrzysz na znaki, a wtedy dźwięki pojawiają się w twoim umyśle. Jeśli odpowiednio długo ćwiczysz, zaczynają brzmieć, jakby ktoś do ciebie mówił – bardzo cicho.

Długo mi się przypatrywała. Potem wzięła książkę z półki, nieco niezdarnie, i ją otworzyła. Nie bardzo wiedziała, jak ją trzymać, podobnie jak ja jeszcze żółć temu. Popatrzyła na strony, dotknęła ich palcami, a następnie oddała mi książkę z niewyraźną miną.

– Nie rozumiem – stwierdziła.

Zacząłem ponownie jej to tłumaczyć. Potem dodałem:

– Mogę wypowiadać na głos to, co czytam. Właśnie na tym polega moja praca – na czytaniu i wypowiedaniu tych słów na głos.

Zmarszczyła czoło.

– Nadal nie rozumiem. – Popatrzyła na mnie, potem na książki na stalowych półkach, a następnie na zapleśniałą wykładzinę u swoich stóp. –

Twoja praca polega na... czytaniu. Książek?

– Nie. Czytam coś innego. Tak zwane nieme filmy. – Wziąłem od niej książkę. – Postaram się przeczytać kawałek na głos. Może wtedy lepiej zrozumiesz.

Pokiwała głową, a ja otworzyłem książkę w środku i zacząłem:

– „Zazwyczaj preferuje się b5 na b4, a następnie wariant Laskera, ponieważ białe, chociaż odzyskują piona, nie są w stanie przeprowadzić groźnego ataku. Za chwilę zobaczymy, że po dziewiątym ruchu docieramy do dobrze znanego układu, który większość specjalistów uznaje za sprzyjający dla białych”.

Miałem wrażenie, że dobrze odczytałem tekst, prawie nie zacinając się na nieznanym słowach, ale nie miałem pojęcia, co oznacza.

Mary Lou przysunęła się i przywarła do mnie, kiedy czytałem. Wpatrywała się w stronę. Potem podniosła wzrok na moją twarz.

– Wypowiadałeś słowa, które zabrzmiały w twoim umyśle pod wpływem patrzenia na tę książkę?

– Zgadza się.

Jej twarz znajdowała się niewygodnie blisko mojej. Wyglądało na to, że Mary Lou zapomniała o wszystkich zasadach Prywatności – jeżeli kiedykolwiek je znała.

– A jak długo by trwało wypowiedzenie wszystkiego... – Ścisnęła mnie za rękę, a ja z trudem się powstrzymałem, żeby nie podskoczyć i nie odsunąć się od niej. Patrzyła straszliwie intensywnie, co czasami jej się zdarzało. – Wypowiedzenie wszystkiego, co słyszysz w swoim umyśle, gdy patrzysz na wszystkie arkusze w tej książce?

Odchrząknąłem i lekko się od niej odsunąłem.

– Pewnie cały dzień. Kiedy książka jest prosta i nie trzeba jej czytać na głos, wtedy to idzie szybciej.

Wyjęła mi książkę z ręki i przytrzymała przed swoją twarzą, wpatrując się w nią tak intensywnie, że niemal spodziewałem się, że zacznie czytać samą siłą koncentracji. Ale tak się nie stało. Zamiast tego zawołała:

– Jezu! Tutaj kryje się takie długie... takie długie ciche nagranie? Aż tyle... informacji?

– Tak.

– Mój Boże, powinniśmy to zrobić z nimi wszystkimi. Jak to się nazywa?

– Czytanie.

– Właśnie. Powinniśmy przeczytać je wszystkie.

Zebrała całe naręcze książek, a ja potulnie zrobiłem to samo. Zanieśliśmy je do mojego pokoju.

## Dzień czterdziesty ósmy

Resztę poranka spędziłem na czytaniu jej różnych książek. Jednakże trudno było mi się skupić; nie miałem większego pojęcia, co czytam. Kilka razy sięgaliśmy po nowe książki, ale wszystkie dotyczyły szachów.

Po kilku godzinach mi przerwała.

– Dlaczego wszystkie książki opowiadają o szachach?

– W swoim domu w Ohio mam książki o innych rzeczach – odparłem. – Niektóre z nich opowiadają różne historie. – Nagle przyszło mi do głowy coś, o czym powinienem był pomyśleć wcześniej. – Mogę sprawdzić słowo „szachy” w „Słowniku”.

Otworzyłem gablotkę w biurku, wyjąłem tom i zacząłem go kartkować, aż znalazłem słowa zaczynające się literą S. Wkrótce natrafiłem na to, czego szukałem: „Szachy: gra planszowa dla dwóch graczy”. Obok znajdowała się ilustracja przedstawiająca dwóch mężczyzn siedzących przy stole. Na blacie znajdował się znajomy układ czarnych i białych kwadratów, na których stały tak zwane „figury”, o czym wiedziałem dzięki wcześniejszym lekturom.

– To jakiś rodzaj gry. Szachy są grą.

Mary Lou popatrzyła na ilustrację.

– W książkach są wizerunki ludzi? Jak na ścianach u Simona?

– W niektórych książkach jest pełno ilustracji przedstawiających ludzi i przedmioty – stwierdziłem. – W najłatwiejszych książkach, takich jak te, z których uczyłem się czytać, na każdej stronie znajdują się duże obrazki.

Pokiwała głową, a następnie popatrzyła na mnie z naciskiem.

– Nauczysz mnie czytać? – spytała. – Za pomocą tamtych książek z dużymi obrazkami?

– Nie mam ich tutaj – odparłem. – Zostały w Ohio.

Posmutniała.

– Masz tylko książki... o szachach?

Pokręciłem głową.

– Możliwe, że jest ich więcej. Tutaj w bibliotece.

– Masz na myśli książki o ludziach?

– Zgadza się.

Ponownie się rozchmurzyła.

– Chodźmy poszukać.

– Jestem zmęczony. – Rzeczywiście zmęczyło mnie to całe czytanie i bieganie.

– Proszę – nalegała. – To ważne.

Zgodziłem się więc przeszukać razem z nią kolejne pomieszczenia.

Spędziliśmy chyba ponad godzinę na wędrowaniu korytarzami i otwieraniu drzwi. Wszystkie pokoje były puste, chociaż w niektórych pod ścianami stały półki.

– Po co są te wszystkie puste pomieszczenia? – spytała Mary Lou.

– Dziekan Spofforth mówił, że biblioteka ma zostać wyburzona – wyjaśniłem. – Pewnie dlatego niczego tutaj nie ma.

Mary Lou zapewne wiedziała, że na długo przed jej urodzeniem przeznaczono do wyburzenia liczne budynki na terenie całego Nowego Jorku, jednakże nic się z nimi nie działo.

– Tak, podobnie wygląda połowa budynków w ogrodzie zoologicznym. Ale czemu służyły te pomieszczenia?

– Nie wiem – odparłem. – Może przechowywano w nich książki?

– Aż tyle książek?

– Nie wiem.

Wreszcie, na końcu długiego, wyjątkowo omszałego korytarza, w którym przygasały niektóre ze świateł na suficie, znaleźliśmy szare drzwi opatrzone tabliczką: „MAGAZYN”. Były znacznie cięższe od pozostałych

i zapieczętowane, ale wspólnymi siłami udało nam się je otworzyć. Od razu zaskoczyły mnie dwie rzeczy. Powietrze w pomieszczeniu dziwnie pachniało – jakby było stare – i znajdowały się tam schody prowadzące w dół. Myślałem, że znajdujemy się na najniższym poziomie biblioteki. Kiedy zaczęliśmy po nich schodzić, poślizgnąłem się i omal nie upadłem. Stopnie pokrywała gruba warstwa jakiegoś śliskiego, żółtawego pyłu. W ostatniej chwili odzyskałem równowagę.

Na dole powietrze miało jeszcze dziwniejszy i bardziej zatęchły zapach.

Znaleźliśmy się w korytarzu. Na suficie były światła, ale dawały bardzo słaby blask. Korytarz był krótki i kończył się dwiema parami drzwi. Na jednych widniał napis „SPRZĘT”, a na drugich: „KSIĄŻKI”, wraz z drobniejszym dopiskiem „NA PRZEMIAŁ”. Otworzyliśmy drugie drzwi. Początkowo widzieliśmy tylko ciemność i czuliśmy jakąś słodką woń. Nagle zapaliły się światła i Mary Lou wstrzymała oddech.

– Jezu Chryste! – zawołała.

Pomieszczenie było olbrzymie i pełne książek.

Półki z książkami przesłaniały ściany. Sterty książek piętrzyły się na środku pomieszczenia, a także wzdłuż półek. Książek wszelkich kolorów i rozmiarów.

Stałem jak wryty, nie wiedząc, co zrobić ani powiedzieć. Czułem się tak samo, jak czasami podczas oglądania filmów – miałem wrażenie, że doświadczam potężnych fal uczuć, jakie kiedyś targały ludźmi, którzy dziś już nie żyli, ale rozumieli rzeczy, o których nie miałem pojęcia.

Oczywiście wiedziałem, że w dawnym świecie były książki, a większość z nich zapewne pochodziła z czasów poprzedzających telewizję, ale nie podejrzewałem, że było ich aż tyle.

Kiedy tak stałem, zmagając się z nienazwanymi uczuciami, Mary Lou podeszła do sterty dużych, cienkich książek, która była nieco niższa od pozostałych. Wyciągnęła się w górę, tak samo jak wtedy, gdy sięgała po niejadalny owoc w gablocie pytona w gadiarni, i ostrożnie zdjęła książkę leżącą na wierzchu. Ujęła ją niezdarnie w obie dłonie i przyjrzała się okładce. Następnie bardzo delikatnie otworzyła książkę. W środku zobaczyłem zdjęcia. Długo wpatrywała się w kilka stron.



- Kwiaty! – zawołała w końcu, po czym zamknęła książkę i mi ją podała.
- Czy możesz... powiedzieć, co tutaj jest napisane?  
Wziąłem książkę i odczytałem tytuł: „Dzikie kwiaty Ameryki”.  
Popatrzyłem na Mary Lou.
- Paul – odezwała się cicho. – Chciałabym, żebyś mnie nauczył czytać.

## SPOFFORTH

Każdego popołudnia o czternastej Spofforth wybierał się na mniej więcej godzinny spacer. Podobnie jak pogwizdywanie, które stanowiło jedyny przejaw jego nieuświadomionej umiejętności gry na pianinie, także zamiłowanie do spacerów od początku było zapisane w jego metalowym mózgu. To nie był przymus, gdyż w każdej chwili mógł stłumić tę potrzebę, ale zazwyczaj tego nie robił. Praca na uniwersytecie wydawała mu się tak lekka i trywialna, że bez trudu znajdował czas na spacer. Zresztą nie było nikogo, kto mógłby mu ich zakazać.

Wędrował przez Nowy Jork wyprostowany jak struna, kołysząc rękami, lekko stawiając stopy i zazwyczaj nie rozglądając się na boki. Czasami zerkał w witryny automatycznych sklepików, które sprzedawały jedzenie i ubrania każdemu, kto dysponował kartą kredytową, albo przystawał, żeby popatrzeć na ekipę robotów Marki Dwa opróżniającą kubły ze śmieciami bądź naprawiającą starą kanalizację. Te sprawy go zajmowały; Spofforth wiedział lepiej od ludzi, jak ważne jest dostarczanie jedzenia i ubrań oraz usuwanie nieczystości. Niedoskonałości i awarie, które dręczyły resztę tego dogorywającego miasta, nie mogły powstrzymać tych prac. Dlatego Spofforth każdego dnia przemierzał inną część Manhattanu, upewniając się, że sprzęt do wydawania ubrań działa poprawnie, a nieczystości są usuwane. Nie był technikiem, ale był wystarczająco inteligentny, żeby poradzić sobie z prostymi awariami.

Zazwyczaj nie patrzył na ludzi, których mijał na ulicy. Wielu z nich gapilo się na niego – uwagę zwracały jego rozmiary, fizyczna żwawość,

czarne płatki uszu – ale ich ignorował.

Tego sierpniowego dnia wybrał się do śródmieścia, na West Side. Szedł wzdłuż ulic, przy których stały niewielkie domy z permoplastiku, liczące sobie po kilka wieków, niektóre otoczone zaniedbanymi ogródkami kwiatowymi. Z jakiegoś powodu w internatach nauczano ogrodnictwa. Zapewne setki lat wcześniej jakiś inżynier-planista, który lubił kwiaty, postanowił, że ogrodnictwo powinno stanowić część życia każdego człowieka. Ze względu na ten pomysł, całe pokolenia ludzi sadziły aksamitki, cynie, floksy i żółte róże, nawet nie wiedząc, w jakim celu.

Spofforth czasami się zatrzymywał i dokładnie oglądał wyposażenie jakiegoś sklepu, sprawdzając, czy komputery poprawnie działają i utrzymują dostawy na właściwym poziomie, czy roboty rozładowujące Marki Jeden są gotowe na przybycie porannych ciężarówek, a automaty do sprzedaży są sprawne. Wchodził do sklepów z ubraniami, wsuwał do otworu swoją ulubioną kartę pozbawioną limitu i mówił do zamówieniofonu: „Poproszę parę szarych, dobrze dopasowanych spodni”. Następnie stawał w jednej z niewielkich kabin, w których ledwie się mieścił, pozwalał, żeby go zmierzono za pomocą fal dźwiękowych, a potem wychodził i patrzył, jak maszyny wybierają materiał z olbrzymich zwojów pod sufitem, tną go i szyją spodnie, po czym zwracają mu kartę kredytową. Jeżeli coś się nie udało – a często się tak zdarzało – na przykład zamek błyskawiczny źle się zasuwał albo kieszenie były źle wszyte, naprawiał maszynę samodzielnie bądź zlecał to telefonicznie robotowi technicznemu. Jeśli telefon był sprawny.

Czasami także schodził do kanału i rozglądał się w poszukiwaniu popękanych, zablokowanych albo zardzewiałych elementów, a następnie robił, co mógł, żeby zostały naprawione. Bez niego Nowy Jork mógłby przestać funkcjonować. Nierzadko zastanawiał się, jak inne miasta sobie radzą bez robotów Marki Dziewięć i zaradnych ludzi. Pamiętał sterty śmieci zalegające na ulicach Cleveland oraz fatalny stan mieszkań w St Louis, gdzie krótko służył na stanowisku burmistrza. A to było prawie wiek temu. W St Louis przez wiele lat nikt nie miał kieszeni i wszyscy nosili za duże koszule, dopóki Spofforth własnoręcznie nie naprawił sprzętu do

dźwiękowych pomiarów i nie usunął zdechłego kota z maszyny do szycia kieszeni w jedynym sklepie z ubraniami w mieście. Tamtejsi ludzie zapewne jeszcze nie byli nadzy i nie konali z głodu, ale co się stanie za dwadzieścia żółci, kiedy wszyscy się zestarzeją i osłabną, a nie będzie młodych na tyle rozsądnych, by poszukać robota Marki Siedem, który pomógłby im w awaryjnej sytuacji? Gdyby potrafił się powielić, wypuściłby na świat kolejną setkę robotów Marki Dziewięć, żeby zadbały o Baltimore, Los Angeles, Filadelfię i Nowy Orlean. Nie dlatego że tak bardzo się troszczył o ludzkość, ale dlatego że nie mógł patrzeć na źle działające maszyny. Czasami uznawał siebie samego za maszynę i czuł się odpowiedzialny.

Gdyby jednak był w stanie wyprodukować kolejne egzemplarze Marki Dziewięć, zadbałyby o to, żeby nie miały uczuć. A także były zdolne umrzeć. Otrzymałyby od niego dar śmierci.

Tego upalnego sierpniowego popołudnia nigdzie się nie zatrzymywał, dopóki nie dotarł do starego przysadzistego budynku przy Central Park West. Miał konkretny plan.

Budynek był jednym z niewielu, które wzniesiono z betonu. Miał kolumny od frontu, ogromne okna złożone z wielu szybek, a także ciemne i poplamione stare drewniane drzwi. Spofforth je otworzył, wszedł do zapyłonego hallu ze szklanym żyrandolem zwieszającym się z białego sufitu, a następnie podszedł do drewnianego kontuaru o podrapanym szarym plastikowym blacie.

Za kontuarem zgarbiony drobny mężczyzna drzemał w fotelu.

Spofforth zapytał ostro:

– Czy pan jest burmistrzem Nowego Jorku?

Mężczyzna otworzył zaspane oczy.

– Aha, jestem burmistrzem.

– Chcę porozmawiać z Państwowym Archiwum – rzekł Spofforth, rozmyślnie okazując irytację. – Muszę poznać liczebność populacji w zachodniej Ameryce.

Mężczyzna nieco się rozbudził.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nikt nie może tak po prostu wejść z ulicy i porozmawiać z archiwum. – Wstał i się przeciągnął. Następnie uważnie przyjrzał się Spofforthowi. – Jesteś robotem?

– Zgadza się – odparł Spofforth. – Marki Dziewięć.

Mężczyzna przez chwilę mu się przyglądał.

– Marki Dziewięć? – spytał w końcu, mrugając.

– Niech pan spyta Kontroli co robić. Chcę porozmawiać z Archiwum Rządowym.

Mężczyzna przypatrywał się mu z zaciekawieniem.

– Nazywają cię Spofforth? – spytał. – To ty mówisz Radzie Miasta, jak wysokie powinno być ciśnienie wody i kiedy należy kupić opony do myślobusów? Zajmujesz się tego typu sprawami?

– Jestem Spofforth i mogę sprawić, że pan straci stanowisko, więc niech pan natychmiast zadzwoni do Komputerowej Kontroli.

– W porządku – odparł mężczyzna. – W porządku, proszę pana. – Następnie pstryknął przełącznikiem na stole obok fotela.

Z głośnika dobiegł syntetyczny kobiecy głos.

– Mówi Rząd.

– Jest u mnie robot Marki Dziewięć. Nazywa się Spofforth. Chce rozmawiać z Archiwum Rządowym...

– Rozumiem – odrzekł głos ze słodyczą. – Czym mogę panu służyć?

– Czy on ma dostęp?

Głośnik przez chwilę brzęczał. Następnie znów odezwał się sztuczny głos.

– Oczywiście, że ma dostęp. Kto, jeśli nie on?

Mężczyzna ponownie pstryknął przełącznikiem, a następnie popatrzył w stronę Spoffortha.

– Dobrze, proszę pana – rzekł, starając się być pomocny.

– A więc, gdzie jest archiwum?

– Rejestr Ludności znajduje się... ach... – Zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Nie było w nim niczego godnego uwagi poza żyrandolem i przez chwilę wpatrywał się w daleką ścianę. Potem wzruszył ramionami,

nachylił się i ponownie pstryknął przełącznikiem, a w głośniku rozległ się kobiecy głos.

– Tutaj Rząd.

– Mówi burmistrz. Gdzie znajduje się Państwowe Archiwum Ludności?

– W Nowym Jorku – odrzekł głos. – W Sali Rządowej przy Central Park West.

– Właśnie tutaj jestem – odparł burmistrz. – Gdzie dokładnie w budynku?

– Na piątym piętrze. Drugie drzwi na lewo – wyjaśnił Rząd Stanów Zjednoczonych.

Kiedy mężczyzna po raz kolejny pstryknął przełącznikiem, Spofforth spytał go, gdzie jest winda.

– Nie działa, proszę pana. Odkąd pamiętam.

Spofforth przez chwilę na niego patrzył, zastanawiając się, jak daleko może sięgać pamięcią taki człowiek. Pewnie nie dalej niż jeden błękit.

– Gdzie są schody?

– Musi się pan cofnąć aż do wejścia i skręcić w lewo – odpowiedział burmistrz. Następnie wydobył z kieszeni skręta i z namysłem przytrzymał go między grubymi palcami. – Wiele razy próbowałem zlecić naprawę tej windy, ale sam pan wie, jakie są roboty...

– Tak – odparł Spofforth, kierując się w stronę schodów. – Wiem, jakie są roboty.

Konsola w archiwum miała postać zmatowiałej metalowej skrzynki wielkości mniej więcej ludzkiej głowy; była wyposażona w przełącznik i głośnik. Przed nią stało metalowe krzesło. To były wszystkie sprzęty w pomieszczeniu.

Spofforth ustawił przełącznik w zielonej pozycji „włączone”, a wtedy rozległ się nieco buńczuczny męski głos:

– Witamy w rejestrze populacji świata.

Pod wpływem tej informacji Spofforth wpadł we wściekłość.

– Masz się zajmować Ameryką Północną. Niepotrzebny mi cały cholerny świat.

Głos natychmiast odpowiedział pogodnym tonem:

– Populacja całego cholernego świata wynosi dziewiętnaście milionów czterysta trzydzieści tysięcy siedemset sześćdziesiąt dziewięć osób, według stanu na godzinę dwunastą w południe czasu uniwersalnego. Alfabetycznie, według kontynentów: w Afryce mieszka około trzech milionów, z czego dziewięćdziesiąt trzy procent szkolone w internatach, cztery procent pasożytów, a reszta w zakładach. W Azji mieszka około czterech i pół miliona dusz, z czego dziewięćdziesiąt siedem procent w internatach, a niemal wszyscy pozostali w zakładach. Australia została ewakuowana i nikt jej nie zamieszkuje. W Europie sytuacja wygląda podobnie...

– Zamknij się! – warknął Spofforth. – Nie chcę wiedzieć tego wszystkiego. Interesuje mnie konkretna osoba z Ameryki Północnej. Jeden człowiek...

– Dobrze – przerwał mu głos. – Dobrze. Cholerna populacja Ameryki Północnej wynosi dwa miliony sto siedemdziesiąt trzy tysiące dwanaście osób, z tego dziewięćdziesiąt dwa procent szkolone w internatach...

– Nie interesuje mnie to – odparł Spofforth. Już wcześniej miał do czynienia z takimi komputerami, ale to było dawno. Pochodziły z epoki na długo przed jego stworzeniem, kiedy modne było obdarzanie maszyn „osobowością”, gdy po raz pierwszy opracowano techniki Programowania Losowego. Nie rozumiał czegoś w zachowaniu robota, postanowił więc o to zapytać. – Dlaczego mówisz „cholerny”?

– Ponieważ pan użył tego słowa – odrzekł głos przyjaźnie. – Zostałem zaprogramowany, by odpowiadać adekwatnie. Jestem Inteligencją D 773, wyposażoną w osobowość.

Spofforth niemal się roześmiał.

– Jak dawno zostałeś stworzony? – spytał.

– Zaprogramowano mnie czterysta dziewięćdziesiąt cholernych zółci temu, co odpowiada stu czterdziestu pięciu latom.

– Przestań mówić „cholerny” – zganił go Spofforth. – Masz jakieś imię?

– Nie.

– Masz uczucia?

– Proszę o powtórzenie pytania.

– Twierdzisz, że dysponujesz osobowością. Czy jesteś także zdolny do emocji?

– Nie. Mój Boże, nie – odparł komputer.

Spofforth uśmiechnął się ze znużeniem.

– Czy kiedykolwiek się nudzisz?

– Nie.

– No dobrze – rzekł Spofforth. – A teraz postaraj się zrozumieć moje pytanie. I żadnych przemądrzałych odpowiedzi. – Rozejrzał się po pustym pomieszczeniu, zauważając gnijące gipsowe ściany i uginający się sufit. – Potrzebuję wszystkich dostępnych danych dotyczących ludzkiej kobiety nazwiskiem Mary Lou Borne z internatu we Wschodnim Nowym Meksyku. Ma teraz około trzydziestu lat, czyli sześćdziesięciu zółci.

Komputer natychmiast zaczął odpowiadać, a jego głos zabrzmiał bardziej mechanicznie i mniej żwawo.

– Mary Lou Borne. Waga urodzeniowa siedem funtów i cztery uncje. Grupa krwi siedem. Kod DNA alfa delta dziewięć zero zero sześć trzy siedem cztery osiem. Wysoki poziom nieoznaczoności genetycznej. Kandydatka do unicestwienia po urodzeniu. Unicestwienia nie dokonano. Powód nieznan. Leworęczna. Inteligencja trzydzieści cztery. Wzrok...

– Powtórz wskaźnik inteligencji – przerwał Spofforth.

– Trzydzieści cztery, proszę pana.

– Na skali Charlesa?

– Tak jest. Trzydzieści cztery stopnie w skali Charlesa.

To go zaskoczyło. Nigdy nie słyszał o tak inteligentnej istocie ludzkiej. Dlaczego nie zniszczono jej przed osiągnięciem dojrzałości? Pewnie z tego samego powodu, dla którego spodnie w St Louis nie mają suwaków: doszło do awarii.

– Kiedy została wysterylizowana i zakończyła szkolenie w internacie?

Tym razem musiał długo czekać na odpowiedź, zupełnie jakby komputer poczuł się zażenowany jego pytaniem. W końcu głos się odezwał:

– Nie mam danych dotyczących sterylizacji ani dodatkowej antykoncepcji za pomocą soporów. Nie mam danych dotyczących



ukończenia szkolenia w internacie.

– Tak podejrzewałem – powiedział ponuro Spofforth. – Przeszukaj swoje banki pamięci. Czy w rejestrze znajduje się jakakolwiek inna kobieta w Ameryce Północnej, której nie poddano sterylizacji ani nie podawano środków antykoncepcyjnych i która nie ukończyła szkolenia? Zarówno w internatach Myślicieli, jak i Robotników?

Głos milczał przez ponad minutę, przeszukując bazę danych.

– Nie – odrzekł w końcu.

– A w pozostałej części świata? – dopytywał Spofforth. – Może w internatach w Chinach...?

– Połączę się z Pekinem – zaproponował głos.

– Szkoda zachodu – odparł Spofforth. – Nie chcę zaprzętać tym myśli.

Ustawił przełącznik na czerwony kolor, zsyłając Światowy Rejestr Ludności do otchłani, w której żyła jego gadatliwa inteligencja, nie zaznając nudy pomiędzy rzadkimi wywołaniami.

\* \* \*

Na dole burmistrz Nowego Jorku siedział oklapnięty na plastikowym fotelu, z beznamiętnym uśmiechem na twarzy. Spofforth mu nie przeszkadzał.

Na zewnątrz zaświeciło słońce. Wracając do swojego gabinetu na uniwersytecie, Spofforth przeszedł przez niewielki park obsługiwany przez roboty i zerwał żółtą różę.

# BENTLEY

## Dzień pięćdziesiąty siódmy

Minęło dziewięć dni, odkąd pisałem w tym dzienniku: dziewięć dni. Z jednej z książek nauczyłem się dodawać i odejmować. Nauka z tak zwanej „Arytmetyki dla chłopców i dziewcząt” okazała się nudna, więc przerwaliśmy po dodawaniu i odejmowaniu. Jeśli masz siedem brzoskwiń i zabierzesz trzy, zostaną ci cztery. Ale czym jest brzoskwinia?

Mary Lou uczy się bardzo szybko – to niezwykle, jak bardzo mnie pod tym względem przewyższa. Ale ona może liczyć na moją pomoc, a ja nikogo takiego nie miałem.

Znalazłem kilka prostych książek z dużym drukiem oraz ilustracjami i zacząłem powoli czytać Mary Lou, zachęcając ją, żeby powtarzała po mnie. Trzeciego dnia dokonaliśmy odkrycia. Akurat czytaliśmy „Arytmetykę dla chłopców i dziewcząt”. Jedno z zadań zaczynało się słowami: „Jest dwadzieścia sześć liter w alfabecie...”.

– Co to jest alfabet? – spytała Mary Lou, a ja postanowiłem, że sprawdzę to w „Słowniku”.

Tak też zrobiłem. Słownik informował: „Alfabet: zbiór liter danego języka, uporządkowanych zgodnie z ustalonym zwyczajem. Patrz obok”. Przez chwilę zastanawiałem się, czym jest „dany” język, ale potem zerknąłem na sąsiednią stronę i znalazłem tam tabelę z literą A na szczycie i literą Z na dole. Wszystkie litery wydawały się znajome, podobnie jak ich kolejność. Policzyłem, że jest ich dwadzieścia sześć, tak jak napisano

w „Arytmetyce dla chłopców i dziewcząt”. „Uporządkowanych zgodnie z ustalonym zwyczajem” najwyraźniej oznaczało, że to ludzie je ustawili, jak rośliny na grządce. Ale przecież ludzie nie porządkowali liter. Z tego, co mi było wiadomo, Mary Lou i ja byliśmy jedynymi osobami, które wiedziały, czym jest litera. Zatem kiedyś ludzie – może wszyscy – znali litery i ustawili je w kolejności, którą nazwano alfabetem.

Popatrzyłem na nie i wymieniłem je na głos: „A, B, C, D, E, F, G, H, I, J...”. Nagle doznałem olśnienia. Właśnie w takiej kolejności umieszczono słowa w „Słowniku”! Najpierw słowa na A, potem słowa na B!

Wyjaśniłem to Mary Lou, a ona od razu zrozumiała. Wzięła książkę do ręki i zaczęła ją kartkować. Zauważyłem, że radzi sobie z dużym znanstwem. Jej początkowa niezdarność była tylko wspomnieniem.

– Powinniśmy zapamiętać alfabet – stwierdziła w końcu.

Zapamiętać. Zapisać w sercu.

– Po co? – spytałem.

Podniosła wzrok na moją twarz. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, ubrana w żółtą synlonowa sukienkę, którą jej kupiłem, a ja siedziałem przy swoim biurku przed stertą książek.

– Nie jestem pewna – odrzekła, po czym zerknęła na książkę, którą trzymała na kolanach. – Może byłoby nam łatwiej korzystać z tej książki, gdybyśmy znali alfabet?

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

– Dobrze – stwierdziłem w końcu.

A więc nauczyliśmy się go na pamięć. Byłem zażenowany, ponieważ Mary Lou udało się to dużo szybciej ode mnie. Pomogła mi jednak poznać kolejne litery i wreszcie go opanowałem. Był trudny – zwłaszcza końcówka, która brzmiała „W, X, Y, Z” – ale jakoś sobie poradziłem i udało mi się dwukrotnie bezbłędnie powtórzyć wszystkie dwadzieścia sześć liter. Kiedy skończyłem, Mary Lou się roześmiała.

– Teraz wiemy coś oboje – stwierdziła, a ja również się zaśmiałem. Sam nie wiem dlaczego. To wcale nie było zabawne.

Przez chwilę przyglądała się z uśmiechem mojej twarzy.

– Usiądź obok mnie – poprosiła, a ja jej posłuchałem i usiadłem obok niej na dywanie.

– Powtórzmy go na zmianę – powiedziała, a potem ścisnęła mnie za rękę i powiedziała „A”.

Tym razem jej dotyk mnie nie zawstydził ani nie wprowadził w zakłopotanie. Ani trochę.

Powiedziałem „B”.

Ona odpowiedziała „C” i odwróciła się w moją stronę.

Powiedziałem „D”, obserwując jej usta, czekając, aż wymieni kolejną literę. Zwilżyła wargi językiem i szepnęła „E”. To brzmiało jak westchnienie.

Szybko odparłem „F”. Serce zaczęło mi się tłuc w piersi.

Obróciła twarz, przybliżyła usta do mojego ucha i powiedziała „G”, a następnie cicho zachichotała. Poczulem na uchu coś, co sprawiło, że niemal podskoczyłem. Było ciepłe i wilgotne. Uświadomiłem sobie, że to jej język. Moje serce niemal przestało bić.

Nie wiedziałem, co zrobić, więc powiedziałem „H”.

Tym razem wsunęła język się do wnętrza mojego ucha. Przeszył mnie delikatny dreszcz i poczułem odprężenie w brzuchu i w głowie. Wciąż trzymając język w moim uchu, szepnęła „I”, długo przeciągając ten dźwięk.

Nie miałem żadnych seksualnych doświadczeń od wielu błękitów i żółci. To, co teraz czułem, stanowiło dla mnie nowość. Byłem tym tak podniecony i przytłoczony, a moje ciało i wyobrażenia były tak roztrzęsione, że zacząłem płakać. Siedziała obok mnie na podłodze i przyciskała twarz do mojej twarzy, a moje policzki były mokre od łez.

– Jezu, Paul – szepnęła. – Ty płaczesz. W mojej obecności.

– Tak. Przepraszam. Nie powinienem...

– Źle się czujesz?

Otarłem łzy dłonią, jednocześnie muskając jej twarz. Znieruchomiałem, dotykając grzbietem dłoni jej policzka, ale po chwili obróciła moją rękę i przywarła policzkiem do wnętrza dłoni. Ogarnęła mnie fala nowego uczucia, miękkiego i słodkiego, jakbym zażył jakiś potężny narkotyk.

Popatrzyłem na jej twarz, na szeroko otwarte i zaciekawione oczy, w których teraz pojawił się smutek.

– Nie – odpowiedziałem. – Nie czuję się źle. Czuję... coś. Sam nie wiem.  
– Wciąż płakałem. – To, co czuję, jest bardzo dobre.

Jej twarz była bardzo blisko mojej. Miałem wrażenie, że zrozumiała to, o czym mówię. Skinęła głową.

– Dokończymy alfabet?

Uśmiechnąłem się, po czym powiedziałem „J”. Odsunąłem dłoń od jej policzka i dotknąłem pleców.

– Następną literą jest J.

Uśmiechnęła się.

Nie dotarliśmy do najtrudniejszej części alfabetu. Do „W, X, Y i Z”.

## **Dzień pięćdziesiąty dziewiąty**

Mary Lou się do mnie wprowadziła! Od dwóch nocy śpimy razem. Oddzieliła moje biurko od łóżka i postawiła je pod ścianą, dzięki czemu zrobiła dla siebie wystarczająco dużo miejsca.

Trudno mi było zasnąć razem z inną osobą. Słyszałem o mężczyznach i kobietach dzielących łóżko, ale nigdy po to, żeby razem spać. Ona jednak tego pragnęła, więc się zgodziłem.

Jej ciało mnie krępuje, boję się go dotykać i do niego przytulać. Mimo to rano obudziłem się, trzymając ją w ramionach. Cicho pochrapywała. Powąchałem jej włosy, delikatnie pocałowałem ją w kark, a potem bardzo długo po prostu leżeliśmy objęci, dopóki się nie zbudziła.

Kiedy otworzyła oczy i zobaczyła, że ją przytulam, roześmiała się i jeszcze bardziej do mnie przylgnęła. Ponownie się zawstydzilem. Ale potem zaczęliśmy rozmawiać i zapomniałem o wstydzie. Opowiadała o nauce czytania. Śniło jej się, że czyta – że przeczytała tysiące książek i dowiedziała się wszystkiego o życiu.

– A czego można się dowiedzieć o życiu? – spytałem.

– Wszystkiego – odparła. – Oni trzymają nas w niewiedzy.

Nie byłem pewien, czy rozumiem, o co jej chodzi – a także kim są „oni” – więc nic nie odpowiedziałem.

– Zjedźmy śniadanie – zaproponowała, a ja przywołałem serworobota i zamówiliśmy batony sojowe oraz bekon ze świni. Czułem się doskonale, mimo że mało spałem.

Podczas śniadania nachyliła się w moją stronę i mnie pocałowała. Tak po prostu! Bardzo mi się to podobało.

Po śniadaniu postanowiłem popracować nad kolejnym filmem, a Mary Lou obejrzała go razem ze mną. Nosił tytuł „Makler” i główną rolę grał w nim Buster Keaton. Odgrywał bardzo poważnego mężczyznę, który doświadczał wielu nietypowych trudności. Mogłyby one wzbudzać wesołość, gdyby nie były tak smutne.

Mary Lou była zafascynowana. Nigdy wcześniej nie oglądała filmów i знаła tylko holograficzną telewizję, która jej się nie podobała.

Na początku pierwszej taśmy, gdy Buster Keaton maluje dom i raz za razem maże farbą twarz człowieka, który wygląda przez okno, Mary Lou stwierdziła:

– Paul, Buster Keaton wygląda tak samo jak ty. Jest taki... poważny!

Miała rację.

Po obejrzeniu filmu resztę dnia spędziliśmy na nauce czytania. Mary Lou niezwykle szybko przyswaja wiedzę i zadaje ciekawe pytania. Na uniwersytecie pracowałem z wieloma studentami, ale nie spotkałem nikogo takiego jak ona. Sam również czytam coraz lepiej.

Wszystko mnie w niej zachwyca.

Nadszedł wieczór i Mary Lou na mnie patrzy, kiedy piszę te słowa na biurku opartym o ścianę. Opowiedziałem jej o pisaniu, a ona z entuzjazmem stwierdziła, że także musi się tego nauczyć, żeby móc zapisywać wspomnienia o swoim życiu.

– A także zapisywać inne rzeczy, o których myślę – dodała. – Żeby potem mogła je odczytywać.

To ciekawy pomysł. Może właśnie po to piszę te słowa – skoro zapisuję znacznie więcej niż zlecił mi Spofforth – żeby później móc je czytać. Ich

odczytywanie wzbudza dziwne i podniecające doznania w moim umyśle.

Być może jednym z powodów tego, że Mary Lou jest bardziej śmiała ode mnie, jest fakt, że przed ucieczką mieszkała w internacie dla Robotników, a ja, oczywiście, ukończyłem internat dla Myślicieli. A jednak jest wściekle inteligentna! Dlaczego szkolono ją na Robotnicę, a nie na Myślicielkę? Może wyboru dokonuje się na podstawie innych czynników niż poziom inteligencji.

Muszę pamiętać, żeby zdobyć więcej kartek, by Mary Lou mogła się uczyć pisać i przenosić na papier wspomnienia o swoim życiu.

## **Dzień sześćdziesiąty piąty**

Mieszka ze mną już od dziewięciu dni, wbrew wszelkim zasadom Indywidualizmu i Prywatności. Czasami czuję się winny, że zaniedbuję swój Wewnętrzny Rozwój dla kaprysu innej osoby, ale rzadko zastanawiam się nad niemoralnością mojego postępowania. Prawdę mówiąc, to było najszcześniejsze dziewięć dni w moim życiu.

Mary Lou już czyta niemal równie dobrze jak ja! Niesamowite! Do tego zaczęła spisywać wspomnienia ze swojego życia.

Stale spędzamy czas razem. Niekiedy mam wrażenie, że jesteśmy jak Douglas Fairbanks i Mary Pickford – tylko że oni byli zbyt dobrze wyszkoleni, żeby uprawiać seks.

W starych filmach seks się nie pojawia, mimo że wiele osób mieszka razem w najbardziej intymnych i niemoralnych układach. Wygląda na to, że pornografia, o której uczyliśmy się na zajęciach z Klasyki, pozostawała nieodkryta, podobnie jak telewizja, w czasach, gdy kręcono te nieme filmy.

Kochamy się tak często, jak jestem w stanie. Czasami to się dzieje, kiedy razem czytamy, a Mary Lou powtarza po mnie kolejne zdania. Kiedyś zajęło nam całe popołudnie przeczytanie cienkiej książeczki „Budowanie latawców z papieru”, ponieważ ciągle przerywaliśmy.

Nie palimy marihuany ani nie zażywamy pigułek. Często jestem nerwowy, podekscytowany i nie mogę usiedzieć na miejscu. A chociaż jakaś część mnie gwałtownie sprzeciwia się intensywności, z jaką żyję, pracuję i kocham, wiem, że nigdy nie czułem się lepiej.

Kiedyś podczas spaceru poczuliśmy pożądanie i zaproponowałem, żebyśmy wstąpili do baru szybkiego seksu na Times Square. Tak zrobiliśmy i skorzystałem ze swojej uniwersyteckiej karty kredytowej, żeby wynająć najlepszy boks. W hallu znajdowały się zwyczajowe duże pornoholografy, a dwie kochanki-roboty z obnażonymi piersiami, ubrane w czarne buty, zaproponowały, że pomogą nam podczas orgii, ale Mary Lou na szczęście kazała im się odwalić. Odmówiłem barmanowi, który oferował mi podniecające pigułki. Udaliśmy się do boksu sami, zgasiliśmy światło i kochaliśmy się na wyściełanej podłodze. Ale nie było to dobre doświadczenie.

W ten sposób zawsze się kochano i tak miało to wyglądać. „Szybki seks zabezpiecza”, jak mawiał mój nauczyciel Relacji Międzyludzkich. Jednakże chciałem być z Mary Lou we własnym mieszkaniu, kochać się z nią w swoim łóżku, a potem z nią rozmawiać. Nie licząc seksu, chciałem być jak Matka i Ojciec w jednym ze starych filmów. Chciałem kupować jej kwiaty i z nią tańczyć.

Kiedy skończyliśmy, Mary Lou powiedziała:

– Wynośmy się z tej fabryki seksu.

A kiedy wychodziliśmy, dodała:

– Chyba właśnie to miał na myśli Simon, kiedy mówił o „chicagowskim burdelu”.

Potem naprawdę kupiłem jej kwiaty w automacie. Białe goździki, takie same, jakie nosiła Gloria Swanson w „Jedyniej królowej”.

Tamtego wieczoru, zanim się położyliśmy, poprosiłem ją do tańca. Przypiąłem kwiatek do jej synlonowej sukienki, puściłem muzykę z jednego z programów telewizyjnych i zaczęliśmy tańczyć. Mary Lou nigdy nie słyszała o tańcu, ale każdy poważny badacz filmów wie, co to takiego. Widziałem to wielokrotnie. Poruszaliśmy się niezdarnie i deptaliśmy sobie po nogach, ale dobrze się bawiliśmy.



Jednak, gdy się położyliśmy, coś nieokreślonego mnie wystraszyło. Przytulałem ją, dopóki nie zasnęła. Potem długo leżałem rozbudzony i rozmyślałem. Myślę, że zaniepokoiło mnie coś w tamtym barze szybkiego seksu.

Wstałem i dokończyłem pisanie tej relacji. Teraz jestem zmęczony, ale wciąż się boję. Czyżbym się obawiał, że ona odejdzie? Że ją stracę?

## **Dzień siedemdziesiąty szósty**

Jest tutaj już od osiemnastu dni, a przez ostatnie dziewięć niczego nie zapisałem.

Moje szczęście jest coraz większe! Nie myślę o tym, jak niemoralne jest wspólne mieszkanie, ani o tym, że zapewne łamiemy prawo. Myślę o Mary Lou, o tym, co oglądam w filmach, a także o tym, co oboje czytamy.

Wczoraj przez cały dzień czytała nowy rodzaj tekstów zwanych wierszami. Niektóre z nich odczytywała na głos. Miejscami przypominały szachy – były niezrozumiałe – a czasem odnajdywaliśmy w nich dziwne i ciekawe rzeczy. Jeden z wierszy odczytała dwukrotnie:

*Kiedyż zawiejesz, zachodni wietrze,  
By deszcz znów spadł z obłoków?  
Chryste! Bym objął swą ukochaną,  
W swym łóżu znalazł spokój!*

Musiałem sprawdzić słowo „kiedyż” w „Słowniku”. Gdy powtórnie czytała te wersy, czułem się tak samo, jak podczas oglądania najbardziej przejmujących scen w filmach. W mojej piersi wzbierała bolesna radość.

Kiedy skończyła, z jakiegoś niezrozumiałego powodu powiedziałem:

– Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu.

Podniosła wzrok znad książki.

– Słucham?

– Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu – powtórzyłem.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. To z pewnego filmu.

Zacisnęła usta.

– To zupełnie jak słowa, które właśnie przeczytałam, prawda? Sprawia, że coś czujesz, ale nie wiesz co.

– Właśnie – odpowiedziałem oszołomiony, niemal przestraszony tym, że powiedziała to, co sam chciałem powiedzieć. – Właśnie tak.

Potem przeczytała jeszcze kilka wierszy, ale żaden z nich nie wzbudził we mnie takich uczuć. Mimo wszystko wysłuchałem ich z przyjemnością. Patrzyłem na Mary Lou, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i wpatrywała się w książkę. Słuchałem jej poważnego i wyraźnego głosu, gdy czytała nam obojgu. Trzyma książkę znacznie bliżej twarzy niż ja i jest w niej coś bardzo wzruszającego, gdy czyta.

Codziennie razem spacerujemy i jadamy lunch w innym miejscu.

## **Dzień siedemdziesiąty siódmy**

Dziś rano Mary Lou jak zwykle wyszła z domu, żeby kupić dla nas trochę błyskawicznego jedzenia. W tym celu korzysta z mojej karty kredytowej. Kiedy wyszła, uruchomiłem projektor i zacząłem oglądać film z Lillian Gish i czytać dialogi do rejestratora, gdy nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Spofforth. Był tak wysoki i potężny, że samą swoją obecnością wypełniał przestrzeń. A jednak tym razem się go nie przestraszyłem. W końcu jest tylko robotem. Wyłączyłem projektor i zaprosiłem Spoffortha do środka. Wszedł i usiadł naprzeciwko mnie na białym plastikowym krześle pod przeciwległą ścianą. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki, sandały i biały t-shirt. Na jego twarzy nie było uśmiechu, ale nie był też surowy.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż wreszcie spytałem:

– Czy pan słucha mojego dziennika?

Nie widziałem go od dawna i nigdy wcześniej nie był w moim pokoju.  
Pokiwał głową.

– Kiedy mam czas.

Coś w jego odpowiedzi mnie rozdrażniło i poczułem się pewny siebie.

– Dlaczego pan chce wiedzieć, co robię? – spytałem. – Po co muszę nagrywać dziennik ze swojego życia?

Nie odpowiedział.

– Nauczanie czytania to przestępstwo – stwierdził w końcu. – Mógłby pan za to trafić do więzienia.

To mnie nie przstraszyło. Przypomniałem sobie, co Mary Lou mówiła o Wykrywaczach, o tym, że nikogo nie wykrywają.

– Dlaczego? – spytałem, łamiąc tym samym jedną z Zasad Postępowania: „O nic nie pytaj; odpręż się”. Jednak nic mnie to nie obchodziło. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego nauczanie czytania to przestępstwo. A także dlaczego Spofforth mi o tym nie powiedział wcześniej, kiedy zaproponowałem, że będę nauczał czytania na Uniwersytecie Nowojorskim. – Niby dlaczego nie powinienem uczyć Mary Lou czytać?

Spofforth pochylił się, oparł olbrzymie dłonie na kolanach i wbił we mnie wzrok. Jego spojrzenie było groźne, ale je wytrzymałem.

– Czytanie to zbyt intymna czynność – odrzekł. – Zbyttno nas zbliża do uczuć i idei innych ludzi. Zaburza myślenie i mąci w głowie.

Zaczynałem się bać. Nie było łatwo wytrzymać obecność Spoffortha, słuchać jego głębokiego, władczyego głosu i nie chcieć mu się bezwarunkowo podporządkować. Przypomniałem sobie jednak coś, co wyczytałem w jednej z książek.

– Inni też mogą się mylić. – Postanowiłem się tego trzymać. – Dlaczego zaburzone myślenie i mętlik w głowie miałyby stanowić przestępstwo? Albo poznawanie myśli i uczuć innych ludzi?

Spofforth się we mnie wpatrywał.

– Nie chce pan być szczęśliwy? – spytał.

To samo pytanie zadawały roboty-nauczyciele w internacie; zawsze wydawało się, że nie ma na nie odpowiedzi. Ale teraz, gdy w moim pokoju

leżały rzeczy Mary Lou, projektor i taśmy, a mój umysł był trzeźwy, niespodziewanie wprawiło mnie ono we wściekłość.

– Ludzie, którzy nie czytają, popełniają samobójstwa, spalając swoje ciała. Czy oni są szczęśliwi?

Spofforth wbijał we mnie wzrok. Nagle popatrzył na oparcie drugiego krzesła, na którym leżała pognieciona czerwona sukienka Mary Lou. Na siedzisku stały jej sandały.

– Mieszkanie z inną osobą przez ponad tydzień również jest przestępstwem – stwierdził, tym razem ciszej.

– Co to jest tydzień? – spytałem.

– Siedem dni.

– Dlaczego nie siedem dni? – odparłem. – Albo siedemset. Jestem szczęśliwy z Mary Lou. Szczęśliwszy niż w czasach marihuany i szybkiego seksu.

– Boi się pan – zauważył Spofforth. – Widzę, że w tej chwili jest pan wystraszony.

Gwałtownie wstałem.

– I co z tego? Co z tego? Lepiej być żywym niż... niż robotem.

Rzeczywiście się bałem. Zarówno Spoffortha, jak i przyszłości. Przerazał mnie mój własny gniew. Kiedy tak stałem w milczeniu, na chwilę ogarnęło mnie przemożne pragnienie, żeby zażyć sopory – połknąć całą garść i stać się spokojnym, pewnym siebie, nieczułym. Jednakże moja wściekłość sprawiała mi przyjemność i nie byłem gotowy z niej zrezygnować.

– Co to pana obchodzi, czy jestem szczęśliwy? – spytałem. – To nie pańska sprawa, co robię. Jest pan tylko maszyną.

Wtedy Spofforth zrobił coś zaskakującego. Odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem, głośnym i niskim. W chwili szaleństwa poczułem, że gniew mnie opuszcza, i zacząłem się śmiać razem z nim.

– No dobrze, Bentley – rzekł, kiedy wreszcie skończył się zaśmiewać. – No dobrze. – Wstał z krzesła. – Jest pan kimś więcej, niż się spodziewałem. Może pan dalej z nią mieszkać. – Podeszedł do drzwi i odwrócił się w moją stronę. – Na razie.

Popatrzyłem na niego w milczeniu. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy odszedł, ponownie usiadłem na łóżku i zauważyłem, że drżą mi ręce, a serce tłucze się w piersi. Nigdy nie odzywałem się do nikogo w taki sposób, a już na pewno nie do robota. Potwornie się bałem samego siebie, ale zarazem gdzieś w głębi odczuwałem euforię. Dziwne. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem.

Kiedy Mary Lou wróciła, nic jej nie powiedziałem o swoim gościu. Kiedy jednak chciała wrócić do czytania, postanowiłem się z nią kochać. Początkowo nie była zadowolona, ale tak bardzo jej pragnąłem i kochaliśmy się tak żywiołowo – leżąc na wykładzinie, gdzie mocno ją przytrzymałem i gwałtownie się w nią wbijałem – że już wkrótce ze śmiechem całowała mnie po całej twarzy.

Później czułem się tak zadowolony i odprężony, że zaproponowałem:

– Poczytajmy trochę.

Tak też zrobiliśmy. Nic więcej się nie wydarzyło. Spofforth nie wrócił.

\* \* \*

Mary Lou spisuje wspomnienia ze swojego życia w tym samym czasie, kiedy ja piszę ten dziennik. Siedzę przy biurku, a ona na drugim krześle, używając dużej książki jako podkładki. Pisze pięknie i metodycznie, niewielkimi, eleganckimi literami. Czuję się zażenowany, że tak szybko nauczyła się pisać lepiej ode mnie. A jednak jestem dumny, że byłem jej nauczycielem. Dochodzę do wniosku, że przez wszystkie lata pracy na uniwersytecie nie uczyłem nikogo interesującego. Nauczanie Mary Lou sprawia mi więcej przyjemności niż cała moja praca w Ohio.

## **Dzień siedemdziesiąty ósmy**

Dzisiaj widzieliśmy grupowe samospalenie.

Postanowiliśmy zrobić coś nowego i zjeść śniadanie w restauracji Burger Chef. Powiedziałem jej, że restauracja jest oddalona o siedem

przecznic, przy okazji wspominając, jak wyrobiłem w sobie nawyk liczenia. W internacie wszyscy uczą się liczyć do dziesięciu, ale wykorzystują tę umiejętność głównie do sumowania ośmiu różnych cen przedmiotów, które można kupić. Para spodni kosztuje dwie jednostki, algoburger jedną jednostkę i tak dalej. A kiedy zużyje się cały dzienny przydział jednostek, twoja karta kredytowa zmienia kolor na różowy i przestaje działać. Oczywiście większość rzeczy jest darmowa, na przykład przejazdy myślobusami, buty czy telewizory.

Mary Lou policzyła przecznice i zgodziła się, że jest ich siedem.

– Zawsze liczyłam swoje pięć kanapek w zoo – przyznała.

Przypomniałem sobie „Arytmetykę dla chłopców i dziewcząt”.

– Jeśli zjadłaś trzy kanapki, to ile ci zostało? – spytałem.

Roześmiała się.

– Dwie kanapki.

Nagle zatrzymała się na ulicy i upodobniła do durnego robota w zoo. Wyprostowała rękę, jakby trzymała w nich pięć kanapek. Popatrzyła na mnie niewidzącymi, bezmyślnymi oczyma, przekrzywiła głowę i lekko rozchyliła usta, zupełnie jak robot.

Początkowo byłem zaszokowany i nie wiedziałem, co robi, ale potem głośno się roześmiałem.

Grupka studentów w dzinsowych szatach popatrzyła na nią i szybko odwróciła wzrok. Byłem lekko zażenowany – w końcu robiła Scenę – ale nie mogłem powstrzymać śmiechu.

Kiedy weszliśmy do restauracji Burger Chef, okazało się, że w środku trwa samospalenie.

Doszło do niego w tym samym boksie co poprzednio. Chyba już dobiegało końca, ponieważ wewnątrz lokalu wypełniał ostry smród palonego mięsa i czuliśmy silny podmuch z wentylatorów, które próbowały oczyścić powietrze.

Ponownie zginęły trzy osoby – same kobiety. Miały zwęglone ciała, a niewielkie płomienie poruszane powietrzem tańczyły na resztkach ich ubrań i włosów. Twarze były uśmiechnięte.

Myślałem, że już nie żyją, ale nagle jedna z nich przemówiła, a raczej krzyknęła.

– Oto ostateczna refleksja, chwała Jezusowi Chrystusowi, naszemu Panu! – Wnętrze jej ust było czarne. Nawet zęby miały ten kolor.

Potem umilkła. Pewnie umarła.

– Mój Boże! – odezwała się Mary Lou. – Mój Boże!

Ująłem ją pod ramię, nie dbając o to, czy ktoś nas zobaczy, a następnie wyprowadziłem na zewnątrz. Podeszła do krawężnika i usiadła, zwrócona w stronę ulicy.

Nic nie mówiła. Obok nas przejechały dwa myślobusy oraz wóz Wykrywaczy, a ludzie mijali Mary Lou na chodniku, ignorując ją, tak jak ona ich ignorowała. Stałem obok, nie wiedząc, co powiedzieć albo zrobić.

W końcu się odezwała, wbijając wzrok w ulicę.

– Czy one same to sobie zrobiły?

– Tak. Sądzę, że to się często zdarza,

– Mój Boże. Ale po co? Po co ludzie to robią?

– Nie wiem – przyznałem. – Nie wiem także, dlaczego nie robią tego sami. Albo w odosobnionym miejscu.

– No właśnie. Może to skutek narkotyków.

Nie odzywałem się około minuty.

– Może po prostu tak żyją – stwierdziłem w końcu.

Wstała, posłała mi zaskoczone spojrzenie i ujęła mnie pod prawą rękę.

– Tak, pewnie masz rację.

### **Dzień osiemdziesiąty trzeci**

Jestem w więzieniu. Przebywam w nim od pięciu dni. Nawet zapisywanie słowa „więzienie” na tym szorstkim papierze sprawia mi ból. Nigdy nie czułem się bardziej samotny. Nie potrafię żyć bez Mary Lou.

W mojej celi znajduje się niewielkie okno, a kiedy przez nie wyglądam, w blasku popołudniowego słońca widzę długie i brudne zielone budynki

obożu o zardzewiałych metalowych dachach i solidnie zakratowanych oknach. Właśnie wróciłem po popołudniowej pracy na polach, pęcherze na moich dłoniach popękały, uwalniając wodę, a ciasne metalowe obrączki kajdan podrażniają obtartą skórę nadgarstków. Na boku mam niebieskawy siniak większy od dłoni; durny strażnik uderzył mnie pałką, gdy pierwszego dnia na polu potknąłem się i straciłem trochę czasu. Bolą mnie stopy w ciężkich czarnych butach, które wydano mi po przybyciu. Z trudem trzymam długopis, ponieważ łapią mnie kurcze dłoni.

Nie mam pojęcia, co się stało z Mary Lou. Potrafię wytrzymać ból, ponieważ wiem, że mógłby być gorszy, a z czasem zapewne złagodnieje, ale nie umiem znieść tego, że nie wiem, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę oraz co ją spotkało. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby umrzeć.

Początkowo, pozbawiony Mary Lou i zaszokowany tym, co się ze mną stało, nie chciałem pisać. Nigdy więcej. Pozwolono mi zatrzymać długopis i mój dziennik, które bezwiednie wepchnąłem do kieszeni kurtki, gdy mnie zabierali. Ale nie mam czystego papieru i nie staram się go znaleźć. Wiem, że kiedy zacząłem swój dziennik, nie myślałem o potencjalnych czytelnikach – ponieważ wtedy byłem jedynym człowiekiem, który potrafi czytać – lecz później uświadomiłem sobie, że Mary Lou stała się moją publicznością. Pisałem swój dziennik dla niej. Dlatego początkowo wydawało mi się, że dalsze pisanie w tym straszliwym miejscu, z dala od niej, mija się z celem.

Wiem, że teraz bym nie pisał, gdyby nie coś dziwnego, co spotkało mnie dziś w południe, kiedy skończyłem poranną zmianę w fabryce butów i poszedłem umyć twarz i ręce przed paskudnym drugim śniadaniem złożonym z chleba oraz zupy białkowej, które musimy spożywać w milczeniu. To się wydarzyło w małej stalowej łazience z trzema brudnymi umywalkami. Właśnie umyłem obolałe dłonie, najdokładniej, jak się dało w zimnej wodzie i bez mydła, po czym sięgnąłem po papierowy ręcznik. Kiedy dotknąłem dozownika – niezdarnie, ponieważ dłonie wciąż miałem zeszywniałe i przykurczone po wczorajszej pracy w polu – ten otworzył się i wysoka sterta poskładanych papierowych ręczników spadła mi na ręce. Instynktownie je złapałem i skrzywiłem się z bólu. Ale nie



wypuściłem ich z dłoni, tylko uważnie im się przyjrzałem i po chwili dotarło do mnie, że trzymam setki arkuszy wytrzymałego, szorstkiego papieru. Papieru, na którym można pisać.

Tak wiele ważnych rzeczy w moim życiu dzieje się przez przypadek. Przypadkowo natrafiłem na nieme filmy i książki, przypadkowo spotkałem Mary Lou i przypadkowo znalazłem „Słownik”. Także papier, na którym teraz piszę, wpadł mi w ręce przez przypadek. Nie wiem, co o tym myśleć, ale cieszę się, że znów mogę pisać, nawet jeśli nikt nie przeczyta tych słów i nawet jeśli jutro znajdę sposób na to, by umrzeć.

Na razie kończę. Zbyt wiele razy upuściłem długopis. Moja dłoń nie jest w stanie go utrzymać.

Mary Lou, Mary Lou. Nie mogę tego znieść.

## **Dzień osiemdziesiąty ósmy**

Minęło pięć dni, odkąd ostatnio pisałem. Dłonie mam już w lepszym stanie; nabrały siły i mogę sprawnie trzymać długopis. Jednakże plecy i bok wciąż mnie bolą.

Moje stopy nieco wydobrzały. Po kilku dniach pobytu zauważyłem, że wielu więźniów chodzi bosy, więc następnego dnia zgłosiłem się do pracy bez butów. Stopy wciąż mnie bolą, ale już się goją. A mięśnie mamy mocniejsze i twardsze.

Nie jestem szczęśliwy. Raczej bardzo nieszczęśliwy, ale już nie jestem przekonany, że pragnę umrzeć. Biorę pod uwagę utonięcie, ale jeszcze trochę odczekam, zanim podejmę decyzję.

Roboty-strażnicy są okropni. Jeden z nich mnie pobił; widziałem też, jak biją innych więźniów. Wiem, że to bardzo źle o mnie świadczy, ale zanim umrę, chciałbym zabić tego, który mnie pobił. Szokuje mnie to pragnienie, ale to jedna z rzeczy, które trzymają mnie przy życiu. On ma malutkie czerwone oczka, jak jakieś nienawistne i okrutne zwierzę, oraz masywne

mięśnie, które wybrzuszają się pod brązowym mundurem. Mógłbym roztrzaskać mu twarz cegłą.

Poza tym przed śmiercią chcę doprowadzić swój dziennik do chwili obecnej. Na zewnątrz wciąż jest jasno. Jeżeli będę pracował bez przerwy, chyba uda mi się przed zaśnięciem napisać o tym, jak zostałem tutaj zesłany.

Przez kilka dni razem z Mary Lou wielokrotnie wracaliśmy do tomiku wierszy. Czytaliśmy je sobie na głos, chociaż niewiele z nich rozumieliśmy. Jeden z wierszy, do których często powracaliśmy, nosił tytuł „Wydrążeni ludzie”. Pewnego wczesnego popołudnia czytałem go na głos, siedząc na podłodze obok Mary Lou. Oto jego początek:

*My, wydrążeni ludzie  
My, chochołowi ludzie  
Razem się kołyszemy  
Głowy napętnia nam słoma  
Nie znaczy nic nasza mowa  
Kiedy do siebie szepczemy  
Głos nasz jak suchej trawy  
Przez którą wiatr dmie...[1]*

Dotarłem tylko do tego miejsca. Potem drzwi się otworzyły i wszedł dziekan Spofforth. Staął, górując nad nami, i wbił w nas wzrok z rękami skrzyżowanymi na piersi. Byliśmy zaszokowani jego obecnością w moim pokoju. Mary Lou nigdy wcześniej go nie spotkała i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

Było coś dziwnego w jego wyglądzie i dopiero po chwili zrozumiałem, co to takiego. Spofforth miał na ręku szeroką czarną opaskę z nadrukowanym białym symbolem Prywatności. Pamiętałem jej wygląd z jakiejś dawnej lekcji; to była opaska Wykrywacza.

Mary Lou odezwała się jako pierwsza.

– Czego pan chce? – spytała. Wcale nie sprawiała wrażenia wystraszonej.

– Oboje państwo są aresztowani – odparł Spofforth. – Proszę wstać.  
Zatem wstaliśmy. Wciąż trzymałem książkę.

– No i co? – burknęła Mary Lou.

Spofforth spokojnie popatrzył jej w oczy.

– Jestem Wykrywaczem, a państwo zostali wykryci.

Widziałem, że jest zaszokowana i stara się tego nie okazywać. Chciałem ją objąć i jakoś ochronić, ale tylko stałem bez ruchu.

Spofforth był znacznie wyższy od nas obojga, a jego dostojeństwo i siła nas przytłaczały. Zawsze się go bałem, a wiadomość, że jest Wykrywaczem, odebrała mi mowę.

– Wykryci w związku z czym? – spytała Mary Lou. Głos lekko jej drżał.

Spofforth wpatrywał się w nią bez mrugnięcia okiem.

– W związku ze wspólnym zamieszkiwaniem. W związku z nauczaniem czytania oraz samym czytaniem.

– Ależ dziękuję Spofforth – wszedłem mu w słowo – przecież pan wiedział, że potrafię...

– Owszem, i wyraźnie zaznaczyłem, że na tym uniwersytecie nie będzie się nauczać czytania. Nauczanie czytania to przestępstwo.

Poczułem pustkę w swoim wnętrzu. Siła i podniecenie, które wypełniały moje życie w ostatnich dniach, gdzieś się ulotniły i stałem przed tym potężnym robotem jak małe dziecko.

– Przestępstwo? – spytałem.

– Tak, Bentley. Jutro odbędzie się pańskie przesłuchanie. Ma pan pozostać w swoim pokoju do rana, dopóki nie wrócę.

Potem chwycił Mary Lou za rękę.

– Pani pójdzie ze mną.

Usiłowała mu się wyrwać, a widząc, że nie zdoła się uwolnić, zawołała:

– Odwal się, robocie! Odwal się, na miłość boską!

Popatrzył na nią ze śmiechem.

– To nie zadziała – rzekł, ale jego głos nieco złagodniał. – Nic złego się pani nie stanie.

Kiedy podszedł do drzwi, obejrzał się i popatrzył na mnie.

– Niech pan nie będzie taki smutny, Bentley. To może panu wyjść na dobre.

Poszła z nim bez oporu, a on zamknął za sobą drzwi.

Nie stanie się jej nic złego? Co może być gorszego od tej rozłąki? Gdzie ona jest? Gdzie jest Mary Lou?

Płaczę, kiedy piszę te słowa. Nie potrafię teraz dokończyć. Zażyję kilka soporów i położę się spać.

### **Dzień osiemdziesiąty dziewiąty**

Mam więcej do opowiedzenia niż będę w stanie przekazać w dostępnym czasie. Mimo wszystko spróbuję.

Spofforth osobiście zabrał mnie do sądu. Zakuł mnie w kajdanki i zawiózł czarnym myślobusem do tak zwanego Domu Sprawiedliwości na terenie Central Parku. To był dwukondygnacyjny plastikowy budynek z brudnymi oknami.

Sala rozpraw miała pokaźne rozmiary. Na ścianach wisiało mnóstwo portretów dziwacznie wyglądających mężczyzn. Niektórzy mieli na sobie garnitury i krawaty, jakie widziałem w starych filmach. Jeden stał przed regałem z książkami, podobnie jak Douglas Fairbanks. Pod obrazem znajdował się napis: „Sydney Fairfax, przewodniczący Sądu Najwyższego”, a jeszcze niżej, mniejszym drukiem, liczby 1997-2014. Sądzę, że to tak zwane „daty”.

Sędzia-robot ubrany w czarną tunikę siedział na fotelu w głębi sali, naprzeciwko wejścia. Wzdrygnąłem się, kiedy go zobaczyłem; już kiedyś widziałem jego twarz. To było oblicze robota Marki Siedem, który pełnił funkcję dyrektora internatu w Ohio, gdzie odebrałem wykształcenie. Robot wyższego szczebla zarządzania. Pamiętam, że ktoś kiedyś stwierdził: „Wszystkie roboty Marki Siedem wyglądają tak samo”. Byłem tylko dzieckiem, więc spytałem: „Dlaczego?”, a dziecko, z którym rozmawiałem, odparło: „O nic nie pytaj; odpręż się”.

Kiedy weszliśmy, sędzia pozostawał w stanie uśpienia. To znaczy miał wyłączone zasilanie. Obok niego, również w uśpieniu, siedział na niższym i prostszym krześle robot-protokolant Marki Cztery.

Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem, że obu ich pokrywa żółtawy pył, podobny do tego w zamkniętej części biblioteki. Pył wypełniał zmarszczki, które nadawały twarzy sędziego inteligentny wygląd. Robot siedział z dłońmi złożonymi na kolanach, a między jego prawym przedramieniem a podbródkiem pająk rozpiął sieć. W pajęczynie ziały otwory i pokrywał ją kurz. Kilka małych owadzych ciał, przypominających wyschnięte gluty, wisiało na pozostałościach nitek. Nigdzie nie było pająka.

Za sędzią znajdowała się Wielka Pieczęć Ameryki Północnej, taka sama jak w Domu Pobożności w internacie dla Myślicieli. Ją również pokrywał pył, który grubą warstwą osiadł na wypukłych wizerunkach gołębic i serca, a także na plastikowych odlewach bliźniaczych Świętych Bogiń Indywidualizmu i Prywatności, które otaczały Wielką Pieczęć z obu stron.

Spofforth posadził mnie na krześle dla oskarżonego, które zostało wykonane z czegoś, co nazywano drewnem, i było niewygodne. Potem zaskakująco delikatnym ruchem zdjął mi kajdanki, a następnie kazał włożyć prawą dłoń do Otworu Prawdy, znajdującego się bezpośrednio przed moim miejscem.

– Za każde kłamstwo zostanie panu odcięty jeden palec – poinformował mnie cichym głosem. – Niech pan odpowiada sędziemu z rozwagą.

Oczywiście słyszałem o Otworach Prawdy i o sądach, na zajęciach z Podstaw Wychowania Obywatelskiego, ale nigdy wcześniej ich nie widziałem i zacząłem dygotać ze strachu. Być może ten lęk jeszcze bardziej spotęgowało podobieństwo wielu z otaczających mnie przedmiotów do wystroju internatów, przez co przypominałem sobie, jak w dzieciństwie zostałem ukarany za Zakłócenie Prywatności. Poprawiłem się na twardym krześle, próbując usiąść jak najwygodniej, i czekałem.

Spofforth rozejrzał się po sali, jakby badał dziury w gipsie, portrety dawnych ludzi albo puste drewniane ławki. Potem podszedł do sędziego, przesunął palcem po jego policzku i przyjrzał się pyłowi, który osadził mu się na opuszcze.

– Niewybaczalne – stwierdził.

Odwrócił się w stronę protokolanta i rzekł władcym głosem:

– Aktywuj się, protokolancie sądowy.

Protokolant poruszył tylko ustami.

– Kto zwołuje sąd? – spytał.

– Jestem rozumnym robotem Marki Dziewięć. Nakazuję ci się obudzić.

Protokolant natychmiast wstał. Jakies śmieci spadły mu z kolan na podłogę.

– Tak jest, Wysoki Sądzie. Jestem obudzony i aktywny.

– Wezwij ekipę sprzątającą i oczyść sędziego. Natychmiast. – Następnie Spofforth popatrzył na drobinki żółtego pyłu oraz śmieci, które przywarły do kolan protokolanta, i dodał: – Siebie także oczyść.

Protokolant odezwał się z szacunkiem.

– Sądowe serworoboty oraz ekipa sprzątająca już nie są dostępne, Wysoki Sądzie.

– Dlaczego?

– Wyczerpane baterie i awarie, Wysoki Sądzie.

– Dlaczego nie zostały naprawione?

– W Central Parku nie pojawiły się żadne ekipy naprawcze od sześćdziesięciu żółci, Wysoki Sądzie.

– No dobrze – odrzekł Spofforth. – W takim razie sam przynieś środki czystości i doprowadź was obu do porządku.

– Tak, Wysoki Sądzie. – Protokolant odwrócił się i powoli wyszedł z sali. Tak mocno kulał, że niemal ciągnął za sobą jedną nogę.

Kilka minut później wrócił z wiadrem wody i gąbką. Podeszedł do sędziego, zanurzył gąbkę w wodzie i zaczął mu ocierać twarz. Część żółtego pyłu się rozmasała, ale większość dała się usunąć. Potem zaczął powoli i niezdarnie czyścić dłonie sędziego.

Spofforth sprawiał wrażenie zniecierpliwionego. Nie wiedziałem, że roboty mogą się niecierpliwic, ale Spofforth głośno tupał nogą. Potem nagle podeszedł do siedzącego sędziego, nachylił się, chwycił krawędź togi i żywiolowo nią potrząsnął. Wszędzie posypał się pył. Kiedy opadł, zobaczyłem, że pajęczyna zniknęła.

Spofforth następnie cofnął się i stanął naprzeciwko sędziego. Polecił protokolantowi przerwać czyszczenie, a ten natychmiast go usłuchał, pozostawiając zielonkawą smugę na lewej dłoni sędziego, która wciąż spoczywała na jego kolanach.

– Twoje usługi nie będą konieczne podczas tego przesłuchania – poinformował protokolanta Spofforth. – Sam zarejestruję przebieg rozprawy. W tym czasie możesz zatelefonować do Głównego Serwisu, żeby natychmiast przysłali miejskiego robota sprzątającego oraz naprawczego.

Protokolant popatrzył na Spoffortha z bezmyślnym wyrazem twarzy. Podejrzewam, że był robotem Marki Trzy – miał zielone płatki uszu – a one są tylko odrobinę inteligentniejsze od durnych robotów.

– Telefony nie działają – oznajmił.

– Zatem przejdź się do Głównego Serwisu. To tylko pięć przecznic stąd.

– Przejsć się? – spytał robot.

– Widzę, że potrafisz chodzić. Wiesz, dokąd masz pójść?

– Tak jest. – Protokolant odwrócił się i zaczął kuśtykać w stronę drzwi.

– Zaczekaj! – zawołał Spofforth. – Podejdź tutaj.

Protokolant zawrócił, zbliżył się do Spoffortha i stanął naprzeciwko niego. Spofforth się pochylił, złapał robota za lewą nogę, przez chwilę badał ją dotykiem, aż w końcu gwałtownie nią szarpnął i skręcił. Coś wewnątrz głośno zachrząściło. Spofforth się wyprostował.

– Teraz idź – polecił.

Protokolant wyszedł z sądu całkowicie normalnym krokiem.

Spofforth ponownie obrócił się w stronę sędziego, który był już czystszy, ale czymś umazany i wymięty.

– Zwołuję posiedzenie sądu – oznajmił Spofforth.

Jak nauczono nas na zajęciach z Wychowania Obywatelskiego, może to zrobić każdy obywatel. Nikt jednak nie wspominał o robotach. Przekazano nam, jak ważną rolę odgrywają sądy w chronieniu naszych świętych praw do Prywatności i Indywidualności, a także jak bardzo pomocny może się okazać sędzia, ale mimo wszystko odnosiło się wrażenie, że lepiej trzymać się od sądów z daleka.

Głowa sędziego się zbudziła, chociaż reszta jego ciała pozostała nieruchoma.

– Kto zwołuje posiedzenie? – spytał niskim, ponurym głosem.

– Jestem robotem Marki Dziewięć – oznajmił cicho Spofforth – zaprogramowanym do Wykrywania i upoważnionym do tego celu przez Rząd Ameryki Północnej.

Reszta ciała sędziego zbudziła się na te słowa. Sędzia poprawił toge, przeczesał siwawe włosy palcami i oparł podbródek na dłoni.

– Rozpaczynam rozprawę. O co wnioskuje obywatel robot?

Obywatel robot? Nigdy wcześniej nie słyszałem tego określenia.

– O sprawę kryminalną, Wysoki Sądzie – odrzekł Spofforth. – Niech oskarżony się przedstawi. – Odwrócił się w moją stronę. – Proszę podać nazwisko, tytuł i adres zamieszkania. – Skinął głową w stronę Otworu Prawdy i dodał: – Tylko ostrożnie.

Niemal zapomniałem o Otworze Prawdy. Nie patrząc na niego, odpowiedziałem:

– Nazywam się Paul Bentley. Jestem wykładowcą Sztuk Umysłowych na Uniwersytecie Południowowschodniego Ohio, a rezyduję w Domu Profesorskim na terenie kampusu. Obecnie mieszkam w Bibliotece Humanistycznej Uniwersytetu Nowojorskiego, gdzie tymczasowo zatrudnia mnie dziekan do spraw wydziałów. – Nie wiedziałem, czy powinienem powiedzieć, że to Spofforth jest tym dziekanem, więc tego nie zrobiłem.

– Doskonale, synu – odrzekł sędzia. Popatrzył na Spoffortha. – Czego dotyczy oskarżenie?

– Są trzy zarzuty – wyjaśnił Spofforth. – Wspólne Zamieszkiwanie, Czytanie oraz Nauczanie Czytania.

Sędzia popatrzył na niego obojętnie.

– Co to jest Czytanie?

Spofforth przez chwilę nie odpowiadał.

– Wysoki Sąd jest robotem Marki Siedem, zaprojektowanym w Czwartym Wieku – rzekł w końcu. – Program Prawniczy Wysokiego Sądu nie zawiera takiego zarzutu. Proszę się skonsultować z archiwum.



– Tak – odparł sędzia. Pstryknął przełącznikiem na podłokietniku krzesła, a wtedy odezwał się głos:

– Tutaj Archiwum Prawa Ameryki Północnej.

– Czy istnieje takie przestępstwo jak Czytanie? – spytał sędzia. – I czy nauczanie tego przestępstwa stanowi osobne przestępstwo?

Archiwum długo nie odpowiadało. Nigdy nie słyszałem, żeby komputer tak długo zwlekał. W końcu głos ponownie się odezwał.

– Czytanie to subtelne i szczegółowe dzielenie się ideami oraz uczuciami za pomocą potajemnych środków. Stanowi poważne naruszenie Prywatności oraz bezpośrednie pogwałcenie Konstytucji Trzeciego, Czwartego oraz Piątego wieku. Nauczanie Czytania również stanowi naruszenie Prywatności oraz Osobowości. Oba czyny są zagrożone karą od roku do pięciu lat pozbawienia wolności.

Sędzia wyłączył komputer.

– Widzę, że to poważna sprawa, młodzieńcze. A jesteś także oskarżony o Wspólne Zamieszkiwanie. – Następnie zwrócił się do Spoffortha: – Z czym zamieszkiwał oskarżony? Z mężczyzną, kobietą, robotem czy zwierzęciem?

– Z kobietą. Mieszkali razem przez siedem tygodni.

Sędzia pokiwał głową i ponownie zwrócił się w moją stronę.

– To nie jest aż tak poważne przestępstwo jak poprzednie, młodzieńcze, ale również zagraża Indywidualności oraz Osobowości i często prowadzi do znacznie niebezpieczniejszych zachowań.

– Tak jest, Wysoki Sądzie – odrzekłem. Chciałem powiedzieć, że jest mi przykro, ale w porę zorientowałem się, że nie odczuwam skruchy, jedynie lęk. Mogłem stracić palec.

– Czy to wszystko? – spytał sędzia Spoffortha.

– Tak.

Sędzia na mnie popatrzył.

– Wyjmij dłoń z Regulatora Szczerości i stań przed obliczem sądu.

Wycofałem dłoń z Otworu Prawdy i wstałem.

– Czy przyznajesz się do winy? – spytał sędzia.

Wyjąłem rękę ze skrzynki, więc mógłbym skłamać, ale gdybym utrzymywał, że jestem niewinny, zapewne ponownie umieszczono by moją dłoń w otworze i przeprowadzono proces. Później dowiedziałem się od innego więźnia, że zawsze tak się dzieje. Dlatego niemal wszyscy przyznają się do winy.

Popatrzyłem na sędziego.

– Przyznaję się.

– Sąd docenia twoją szczerą – rzekł sędzia. – Skazuję cię na sześć lat pobytu w Północnoamerykańskim Zakładzie Karnym, w tym na ciężkie roboty przez pierwsze dwa lata. – Sędzia opuścił głowę i popatrzył na mnie surowo. – Zbliź się.

Podszedłem do jego krzesła. Wstał powoli, a następnie wyciągnął rękę. Jego duże dłonie – jedna wciąż poplamiona na zielono – chwyciły mnie za ramiona. Poczułem ukłucie, jakby ktoś wstrzyknął mi lekarstwo. Straciłem przytomność.

Obudziłem się w tym więzieniu.

\* \* \*

Dzisiaj tylko tyle mogę napisać. Boli mnie dłoń i cała ręka. Poza tym jest późno, a jutro czeka mnie praca fizyczna.

## **Dzień dziewięćdziesiąty**

Mój pokój – a raczej „cela” – w więzieniu jest niewiele większy od wnętrza małego myślobusu, ale wygodny i przytulny. Mam do dyspozycji łóżko, krzesło, lampę oraz ścianę telewizyjną z niewielką biblioteką nagrań. Jak dotąd jedynym nagraniem, które odtworzyłem, był program taneczno-treningowy, ale nie miałem ochoty tańczyć i przed końcem programu wyjąłem kulkę z uchwytu.

Okolo pięćdziesięciu innych więźniów jest zamkniętych w identycznych celach w tym samym budynku. Po śniadaniu wszyscy razem wychodzimy do pracy. Rano pracuję w więziennej fabryce butów, gdzie jestem jednym z czternastu kontrolerów. Obuwie oczywiście wyrabiają automaty; moje zadanie polega na sprawdzeniu co czternastego buta pod kątem wad produkcyjnych. Pilnuje nas durny robot i ostrzeżono mnie, że zostanę ukarany, jeśli nie będę brał buta do ręki zaraz po tym, jak zrobi to mężczyzna po mojej prawej stronie. Odkryłem, że niekoniecznie muszę patrzeć na buty, więc tego nie robię. Po prostu je podnoszę.

Ponieważ zostałem przeszkolony w panowaniu nad umysłem, przez dużą część czasu pracy pogrążam się w lekkich halucynacjach, czasami jednak zniechęca mnie fakt, że nie panuję nad jednym z aspektów swoich wizji. Do mojego umysłu napływają szokująco wyraźne obrazy Mary Lou. Próbuję zabawiać się abstrakcyjnymi halucynacjami – barwami i swobodnymi formami – gdy nagle, bez ostrzeżenia, widzę twarz Mary Lou, która wpatruje się we mnie z zaskoczeniem albo siedzi ze skrzyżowanymi nogami na podłodze w moim gabinecie, z książką na kolanach, pogrążona w lekturze.

Kiedy pracowałem na uczelni, podczas wykładów z osiągnięcia orgazmu na drodze halucynacji zawsze żartobliwie mówiłem studentom: „To użyteczna technika, jeśli kiedyś traficie do więzienia”. Nikogo to specjalnie nie bawiło, gdyż trzeba być dobrze zaznajomionym z Klasyką – na przykład filmami z Jamesem Cagneyem – żeby zrozumieć odwołanie do więzienia. Tak czy inaczej, lubiłem w ten sposób żartować. Teraz jednak staram się nie wykorzystywać tej techniki, chociaż jestem w niej specjalistą. Wieczorami onanizuję się w swojej celi – zapewne robią to także inni więźniowie. Zachowuję najbardziej intymne myśli o Mary Lou na samotne noce.

Do każdego wieczornego posiłku otrzymujemy po dwa skręty i dwa sopory, ale staram się je odkładać. Po kolacji czuję słodką woń marihuany dolatującą z dużej więziennej sali sypialnej, słyszę muzykę erotycznej telewizji dobiegającą z innych cel i wyobrażam sobie syntetyczną błogość na twarzach pozostałych więźniów. Myślenie o tym z jakiegoś powodu

przyprawia mnie o dreszcze. Chcę, żeby Mary Lou była tutaj ze mną, chcę słyszeć jej głos. Chcę się z nią śmiać. Chcę, żeby mnie pocieszyła.

Rok wcześniej nie wiedziałbym, co czuję. Jednakże po obejrzeniu tych wszystkich filmów już rozumiem: kocham Mary Lou.

To straszne uczucie. Miłość jest straszna.

Nie wiem, gdzie znajduje się to więzienie. Gdzieś nad oceanem. Kiedy mnie przywieziono, byłem nieprzytomny, a ocknąłem się dopiero, gdy robot wręczał mi niebieski uniform. Pierwszej nocy nie mogłem zasnąć, tak bardzo brakowało mi jej bliskości.

Pragnę jej. Nic innego nie jest prawdziwe.

## **Dzień dziewięćdziesiąty pierwszy**

Popołudniami pracuję na polu nad brzegiem oceanu. Pole jest rozległe, ciągnie się przez mniej więcej dwie mile wzdłuż brzegu; porastają je pospolite syntetyczne rośliny nazywane Białkiem 4. Są duże i brzydkie, wielkości oraz kształtu ludzkiej głowy, fioletowo-zielone i cuchnące. Nawet na nasłonecznionych polach ich woń czasami nas przytłacza. Moja praca polega na codziennym podawaniu poszczególnym roślinom substancji chemicznych przepisanych przez komputer. Mam do dyspozycji niewielki pistolet, do którego komputerowe terminale stojące na końcu każdego długiego zagonu ładują granulki. Przykładam lufę do niewielkich plastikowych otworów w żółtej glebie pod każdą z roślin i wstrzeliwuję do środka pojedyncze granulki.

To katorżnicza praca, ze względu na upał i konieczność utrzymywania szybkiego tempa narzucanego przez muzykę bezustannie rozbrzmiewającą na polu. Pracuje nas czterdziestu, co godzinę mamy pięciominutową przerwę. Wszyscy pocimy się nieustannie.

Tę samą pracę mogłoby wykonać dziesięć durnych robotów, ale musimy zostać poddani resocjalizacji.

Przynajmniej tak nam mówią w telewizji, którą musimy oglądać w ramach relaksu po drugim śniadaniu. Nie wolno nam wtedy rozmawiać, więc nie wiem, czy inni są równie wściekli i znużeni jak ja.

Podczas pracy nadzorują nas dwa roboty ubrane w brązowe mundury. Są niskie, ciężkie i brzydkie, a zawsze, kiedy spoglądam w stronę tego, który mnie pobił, mam wrażenie, że mnie obserwuje, bez mrugnięcia okiem, z lekko rozchylonymi ustami, jakby zaraz miał się zacząć ślinić.

Dłoń mam tak zmęczoną i obolałą od naciskania spustu pistoletu, że już nie jestem w stanie pisać.

Mary Lou. Mam tylko nadzieję, że nie jesteś tak nieszczęśliwa jak ja. Ufam także, że o mnie myślisz, chociaż czasami.

---

<sup>1</sup> T.S. Eliot, „Wydrążeni ludzie”, przełożył Czesław Miłosz.

# MARY LOU

## Jeden

Czytanie bywa nudne, ale od czasu do czasu znajduję coś, czego mam ochotę się dowiedzieć. Pisząc te słowa, siedzę w swoim fotelu przy oknie z tabliczką na kolanach. Zanim zaczęłam, długo wpatrywałam się w padający śnieg. Duże, ciężkie, posklejane płatki lecące z nieba. Bob kazał mi się oszczędzać, żebym nie nabawiła się bólu pleców od noszenia tego wystającego brzucha. Dlatego długo obserwowałam śnieg. Zaczęłam rozmyślać o czymś, co przeczytałam kilka dni temu o cyklu hydrologicznym, o działaniu całego tego złożonego systemu parowania, skraplania, wiatru i powietrza. Patrzyłam na padający śnieg i myślałam, że te białe grudki niedawno stanowiły powierzchnię Atlantyku, a potem zmieniły się w parę wodną pod wpływem ciepła słonecznego. Wyobrażałam sobie chmury sunące wysoko nad oceanem oraz zawartą w nich wodę krystalizującą się w płatki śniegu, które następnie zaczęły spadać, łączyć się i znów spadać, aż wreszcie zobaczyłam je za swoim oknem w Nowym Jorku.

Sprawia mi dużą przyjemność fakt, że wiem takie rzeczy.

Kiedy byłam małą dziewczynką, Simon opowiadał mi o takich sprawach, jak cykl hydrologiczny czy precesja równonocy. Miał starą tablicę i kredę; pamiętam, jak narysował na niej planetę Saturn z pierścieniami. Kiedy go spytałam, skąd to wszystko wie, odpowiedział, że nauczył się od swojego ojca. Jego dziadek w dzieciństwie obserwował

nocne niebo przez astronomiczny teleskop. Było to dawno temu, wkrótce po czasach, które Simon nazywał „śmiercią intelektualnej ciekawości”.

Chociaż nie umiał czytać ani pisać i nigdy nie chodził do szkoły, Simon sporo wiedział o przeszłości. Nie tylko o chicagowskich burdelach, ale także o Cesarstwie Rzymskim, Chinach, Grecji i Persji. Pamiętam, jak stał w naszej drewnianej chatce, z papierosem z marihuaną zwisającym z bezzębnych ust, mieszając gulasz z królika albo zupę fasolową przy kuchence opalanej drewnem, i mówił: „Kiedyś na świecie żyli wielcy ludzie, ludzie o potężnych umysłach, dysponujący mocą i wyobraźnią. Święty Paweł, Einstein i Szekspir...”. Miał kilka list nazwisk z przeszłości, które w takich chwilach wymieniał z namaszczeniem, co zawsze budziło mój podziw. „Juliusz Cezar, Tolstoj i Immanuel Kant. Ale teraz liczą się tylko roboty. Roboty i zasada przyjemności. W naszych głowach odbywa się pokaz tandetnych filmów”.

Jezu. Tęsknię za Simonem prawie tak bardzo jak za Paulem. Chciałabym, żeby był ze mną w Nowym Jorku, podczas tych porannych godzin, gdy Bob pracuje na uniwersytecie. Kiedy pisałam pierwszą część tego dziennika, starając się zapamiętać swoje życie, gdy Paul i ja jeszcze mieszkaliśmy razem, pragnęłam, by Simon opowiedział mi o czasach, gdy po raz pierwszy pojawiłam się w jego domu na pustyni. O tym, jak wyglądałam jako dziecko, czy byłam ładna i mądra i czy rzeczywiście tak szybko się uczyłam. Teraz brakuje mi jego poczucia humoru oraz dzikości. Był starym człowiekiem, ale znacznie zabawniejszym i dzikszym od obu mężczyzn, z którymi potem mieszkałam.

Paul był żałośnie poważny. Z rozbawieniem wspominam, jaką miał minę, gdy rzuciłam kamieniem w szybę gabloty z pytonem, albo z jaką śmiertelną powagą nauczał mnie czytania. Kiedy mieszkaliśmy w bibliotece, czytał pierwsze części tego dziennika z zaciśniętymi ustami i zmarszczonym czołem – nawet te fragmenty, które uważałam za zabawne.

Bob jest niewiele lepszy. Byłoby głupotą oczekiwać poczucia humoru od robota, ale i tak trudno znieść jego powagę i wrażliwość. Zwłaszcza gdy

opowiada mi o śnie, który towarzyszy mu od początku długiego życia. Początkowo mnie to ciekawiło, ale w końcu się znudziłam.

Podejrzewam, że właśnie przez ten sen mieszkamy razem w jego trzypokojowym mieszkaniu. Pragnienie Boba, by żyć i zachowywać się jak zwykły człowiek, niemal na pewno zaczęło się od próby naśladowania osoby, której ten sen pierwotnie się przyśnił.

Zatem jestem żoną albo kochanką, którą zapragnął mieć. Bawimy się w dom, ponieważ Bob tego potrzebuje.

Sądzę, że jest obłąkany.

Zresztą, skąd może wiedzieć, czy jego mózg nie został skopiowany od kawalera? Albo od kobiety?

Nie słucha moich protestów. Zawsze powtarza: „Naprawdę ci to przeszkadza, Mary?”.

Muszę przyznać, że nie. Tęsknię za Paulem. Myślę, że w jakimś niewielkim stopniu go kochałam. Ale kiedy dokładnie się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że życie towarzyszki brązowoskórego robota jest do zniesienia.

Co mi tam, w końcu kiedyś mieszkałam w zoo, na litość boską. Poradzę sobie.

Za oknem wciąż śnieży. Dokończę ten wpis w dzienniku, a potem przez godzinę sobie posiedzę, pijąc piwo, patrząc na śnieg i czekając, aż Bob wróci do domu.

Jasne, byłoby miło znów być z Paulem. Ale, jak mawiał Simon, nie da się wygrać wszystkich bitew. Poradzę sobie.

**Dwa**

Bob znów opowiadał mi o swoim śnie, a ja jak zwykle mogłam tylko grzecznie się uśmiechać i próbować okazywać współczucie. Śni o białej kobiecie, ale ona w ogóle mnie nie przypomina. Jestem ciemnowłosa i silna fizycznie, mam mocne biodra i uda. Ona jest wysoką szczupłą blondynką.



„Jest estetyczna”, wyjaśnia Bob, a ja taka nie jestem – chociaż to słowo dobrze pasowałoby do Paula. Kobieta we śnie Boba zawsze stoi obok zbiornika z czarną wodą, ubrana w szlafrok. Chyba nigdy w życiu nie miałam na sobie szlafroka i nie lubię długo stać obok jakichkolwiek zbiorników.

Chcę po prostu powiedzieć, że on jest zakochany w niej, a nie we mnie. Myślę także, że tak jest lepiej.

Z pewnością nie kocham Boba – szczerze mówiąc, czułam do niego tylko nienawiść, kiedy odebrał mi Paula i posłał go do więzienia. Kiedy otrząsnęłam się z początkowego szoku, długo płakałam i wiele razy go uderzyłam. Niezwykle trudno było mi przywyknąć do tego, że naprawdę jest Wykrywaczem – że rzeczywiście istnieją jacyś Wykrywacze. Nie przeszkadzało mi, że jest robotem ani że ma czarną skórę; główny problem stanowiła świadomość, że mogę zostać wykryta. To mnie pozbawiło czegoś, co przez całe życie dodawało mi sił: poczucia, że nie daję się nabrać temu społeczeństwu idiotów, w którym żyję. Nadwerężyło pewność siebie, którą zaszczerpił mi Simon – jedyny człowiek, jakiego kiedykolwiek kochałam i pokocham.

No cóż. Paul był miłym, słodkim mężczyzną i martwię się o niego. Próbowałam nakłonić Boba, żeby go uwolnił z więzienia, ale nie chce o tym słyszeć. Powtarza tylko: „Nikt go nie skrzywdzi”. Początkowo chciało mi się płakać, kiedy myślałam o Paulu; tęskniłam za jego słodyczą i naiwnością, za dziecinnym zwyczajem kupowania mi prezentów. Ale tak naprawdę nigdy nie uroniłam po nim łez.

Bob z kolei jest niezwykle konsekwentną istotą. Wiem, że jest bardzo stary – starszy niż byłby Simon, gdyby wciąż żył – ale to nie ma większego znaczenia; dzięki temu otacza go pociągająca aura zmęczenia światem. Fakt, że jest robotem, nic dla mnie nie znaczy, a jedynie upraszcza nasz związek, ponieważ nie może między nami dojść do seksu. Kiedy się o tym dowiedziałam, byłam rozczarowana, ale już zdążyłam się przyzwycząić.

Minęło pół roku, odkąd Paul i ja zostaliśmy rozdzieleni, a ja przywykłam do mieszkania z Bobem, nawet jeśli nie jestem w pełni szczęśliwa. Byłoby absurdem zarzucanie robotowi braku ludzkich uczuć, a jednak stanowi to pewien problem. Nie chodzi mi o to, że jest całkowicie nieczuły – nic z tych rzeczy. Zawsze muszę pamiętać, żeby zapraszać go do stołu, kiedy jem, w przeciwnym razie czuje się urażony. Kiedy jestem na niego rozgniewana, sprawia wrażenie szczerze zakłopotanego. Kiedyś z nudów złośliwie nazwałam go „Robotem”, a on wpadł w szal – wyglądał przerażająco – i wykrzyczał: „Nie wybierałem swojego wcielenia!”. Nie. Przypomina Paula pod tym względem, że stale muszę brać pod uwagę jego wrażliwość. To ja traktuję innych ze spokojem.

Bob jednak nie jest człowiekiem i nie mogę o tym zapominać. Zdarzyło mi się to kilka razy podczas pierwszych kilku miesięcy wspólnego życia. Kiedy w drugim miesiącu osłabł mój gniew spowodowany zabranieniem Paula, próbowałam uwieść Boba. Siedzieliśmy w milczeniu przy kuchennym stole, gdzie kończyłam jajecznicę i trzecią szklanekę piwa, a on zajmował miejsce tuż obok, nachylając ku mnie głowę i patrząc, jak jem. Wyglądał na wzruszająco nieśmiałego. Już dawno przywykłam do tego, że nie musi jeść, i całkowicie zapomniałam o skutkach tego prostego faktu. Może to wpływ piwa, w każdym razie po raz pierwszy zauważyłam, jak bardzo jest przystojny ze swoją miękką brązową młodzieńczą skórą, krótkimi, kręconymi, błyszczącymi czarnymi włosami i brązowymi oczami. A także zwróciłam uwagę na to, jaka silna i zarazem czuła jest jego twarz! Ogarnęła mnie fala uczuć, nie tyle seksualnych, ile matczynych, i położyłam dłoń na jego rękę, tuż nad nadgarstkiem. Jego skóra była ciepła.

Spuścił wzrok na blat i nic nie powiedział. Wtedy w ogóle niewiele rozmawialiśmy. Miał na sobie beżową synlonową koszulkę z krótkimi rękawami, a jego brązowa – pięknie brązowa – skóra była gładka, ciepła w dotyku i bezwłosa. Miał też na sobie spodnie w kolorze khaki. Odstawiłam szklanekę i powoli – jakby we śnie – wyciągnęłam rękę w stronę jego uda. Przez krótką chwilę, podczas której odstawiałam szklanekę, zawahałam się, a następnie ku niemu sięgnęłam, jednocześnie wciąż lekko

ściskając jego przedramię; cała sytuacja stała się jednoznacznie seksualna. Nagle poczułam podniecenie, od którego zakręciło mi się w głowie. Położyłam dłoń na wewnętrznej stronie jego uda.

Długo tak siedzieliśmy. Nie miałam pojęcia, co dalej zrobić. Mój umysł nie potrafił przeanalizować tej sytuacji; ani na chwilę nie dopuszczałam do siebie słowa „robot”. A jednak nie posunęłam się dalej, co mogłoby się wydarzyć z innymi... mężczyznami.

Wreszcie podniósł głowę i popatrzył na mnie. Jego twarz dziwnie wyglądała, ale nie dało się z niej wyczytać żadnych emocji.

– Co próbujesz zrobić? – spytał.

Patrzyłam na niego tępo.

Nachylił się w moją stronę.

– Co, u diabła, próbujesz zrobić?

Nic nie odpowiedziałam.

Potem zdjął moją dłoń ze swojego uda. Sama cofnęłam drugą rękę. Wstał i zaczął zdejmować spodnie. Wpatrywałam się w niego z pustką w głowie.

Nie spodziewałam się tego, co chciał mi udowodnić. A kiedy zobaczyłam to na własne oczy, byłam szczerze zaszokowana. Między jego nogami niczego nie było. Tylko prosta fałda na gładkim brązowym ciele.

Przez cały czas nie spuszczał ze mnie wzroku. Kiedy się upewnił, że przyjrzałam się jego nagości, wyjaśnił:

– Wyprodukowano mnie w fabryce w Cleveland w stanie Ohio, kobieto. Nie urodziłem się. Nie jestem człowiekiem.

Odwrociłam wzrok, a po chwili usłyszałam, że z powrotem włożył spodnie.

Pojechałam myślobusem do zoo. Kilka dni później odkryłam, że jestem w ciąży.

Wczoraj, zamiast opowiadać o swoim śnie, Bob zaczął mówić o sztucznych inteligencjach.

Twierdzi, że jego mózg wcale nie przypomina telepatycznych mózgów myślobusów. One odbierają polecenia i znajdują drogę za pomocą „odbiornika sygnałów intencji i poszukiwacza trasy”. Tymczasem ani Bob, ani żaden z pozostałych sześciu albo siedmiu Wykrywaczy pozostałych w Ameryce Północnej nie posiadają żadnych zdolności telepatycznych. Dla ich umysłów, wzorowanych na ludzkim modelu, telepatia stanowiłaby zbyt duże obciążenie.

Bob jest robotem Marki Dziewięć. Utrzymuje, że ta grupa robotów, której może być ostatnim przedstawicielem, dysponowała tak zwaną „skopiowaną inteligencją” i stanowiła ostatnią serię robotów, jakie wyprodukowano. Zaprojektowano je z myślą o kierowniczych stanowiskach w przemyśle i biznesie. Bob zarządzał monopolem w branży samochodowej, dopóki prywatne auta nie przestały istnieć. Twierdzi, że kiedyś ludzie nie tylko posiadali osobiste samochody, ale także latające maszyny, którymi podróżowali. Wydaje się to niemożliwe.

Moim sposobem na przyzwyczajenie się do bycia z Bobem, gdy zaproponował wspólne zamieszkanie, było zadawanie mu pytań o to, jak działają różne przedmioty. Miałam wrażenie, że lubi na nie odpowiadać.

Zapytałam go, dlaczego myślobusami nie kierują roboty.

– W tym przypadku chodziło o stworzenie maszyny idealnej – wyjaśnił.  
– To samo pragnienie doprowadziło do powstania mojej serii robotów.

– Co jest idealnego w myślobusach?

Sprawa miała wrażenie zwyczajnych, zawsze były w pobliżu, ze swoimi wygodnymi siedzeniami, na których nigdy nie podróżowało więcej niż troje albo czworo pasażerów. Wytrzymałe, szare, czterokołowe aluminiowe pojazdy – jedne z nielicznych mechanizmów, które zawsze działały i były dostępne bez karty kredytowej.

Bob siedział na zakurczonym pleksiglasowym fotelu w kuchni naszego mieszkania, podczas gdy ja gotowałam syntetyczną jajka na atomowej kuchence, na jedynym sprawnym palniku. Część ściennej osłony nad

kuchenką odpadła kilka lat wcześniej, odsłaniając książki w zielonej oprawie, które dawni lokatorzy przybili do ściany, żeby ją uszczelnić.

– Cóż, po pierwsze, zawsze działają – odrzekł ponuro. – Nie potrzebują zapasowych części. Mózg myślobusu tak sprawnie radzi sobie z odnajdywaniem zużytych i osłabionych elementów mechanizmu oraz ich regulowaniem, że nie trzeba produkować nowych części. – Wyglądał przez okno na padający śnieg. – Moje ciało działa w ten sam sposób – stwierdził. – Również nie potrzebuję zapasowych części. – Po tych słowach umilkł.

Wydawało się, że zboczył z tematu. Już wcześniej zauważyłam u niego takie zachowanie i zwróciłam na to jego uwagę.

– Starzeję się – odrzekł wtedy. – Mózgi robotów zużywają się tak samo jak ludzkie. – Jednakże wyglądało na to, że nie dotyczy to mózgów myślobusów.

Mam wrażenie, że Bob zbyt obsesyjnie podchodzi do swojego snu oraz do prób „wskrzeszenia swojego zagubionego ego”, co doprowadziło go do odesłania Paula i wzięcia mnie za żonę. Bob pragnie się dowiedzieć, czy mózg posiada, i odzyskać jego wspomnienia. Myślę, że to niemożliwe. Myślę też, że on o tym wie. Jego mózg to wymazana kopia mózgu bardzo inteligentnego człowieka. Wymazana całkowicie, nie licząc kilku dawnych snów.

Powiedziałam mu, że powinien o nich zapomnieć. „Jeśli masz wątpliwości, daj sobie spokój”, jak mawiał Paul. Bob jednak twierdzi, że to jedyna rzecz, która pozwala mu nie zwariować i która go interesuje. Podczas pierwszych kilku błękitów istnienia roboty Marki Dziewięć przepalały swoje obwody za pomocą domowych instalacji elektrycznych i transformatorów, rozbijały sobie głowy ciężkim sprzętem fabrycznym albo po prostu wariowały i zaczynały się ślinić jak idioci bądź zmieniały w chaotycznych, wrzeszczących szaleńców, a także topiły się w rzekach i zakopywały żywcem na polach uprawnych. Po Marce Dziewięć nie wyprodukowano już żadnych robotów. Nigdy.

Kiedy Bob rozmyśla, raz za razem przeczesuje sobie palcami czarne, kręcone włosy. To bardzo ludzki gest. Z pewnością nigdy nie widziałam, żeby jakikolwiek robot tak czynił. Poza tym czasami pogwizduje.

Kiedyś mi powiedział, że pamięta fragment jakiegoś wiersza pochodzącego z wymazanej pamięci jego mózgu. Oto on: „Wiem, czyj to...: znam właścicieli...”. Ale nie pamięta, o czym była mowa we wspomnianym wersie. Chodziło o krótkie słowo, jak „dom” czy „sen”. Czasami recytował go w następujący sposób:

„Wiem, czyj to sen: znam właścicieli...?”. Ale to go nie satysfakcjonowało.

Raz zapytałam go, czym różni się od pozostałych robotów Marki Dziewięć, gdy zdradził, że żaden z nich prawdopodobnie nie dzieli tych „wspomnień”. Odpowiedział: „Tylko ja jestem czarny”. To wszystko.

Kiedy tak odpłynął myślami w tamto śnieżne popołudnie w naszej kuchni, przywołałam go z powrotem, pytając:

– Czy samonaprawa to jedyna „idealna” rzecz w myślóbusach?

– Nie – odrzekł, przeczesał palcami włosy. – Nie. – Ale zamiast pociągnąć temat, poprosił: – Przynieś mi papierosa z marihuaną, Mary. – Zawsze nazywa mnie „Mary”, a nie Mary Lou.

– Dobrze – odrzekłam. – Ale jak trawka może działać na robota?

– Po prostu przynieś.

Wzięłam skręta z paczki w swojej sypialni. To była łagodna odmiana o nazwie „Trawa Newady”, którą dostarcza się dwa razy w tygodniu mieszkańcom naszego bloku, razem z pro-mlekiem i syntetycznymi jajami. Ludziom, którzy – jak większość z nas – używają żółtych kart kredytowych. Mówię „ludziom”, ponieważ Bob jest tutaj jedynym robotem. Podróżuje do pracy myślóbusem i nie ma go w domu sześć godzin dziennie. Przez większość tego czasu czytam książki albo dawne czasopisma na mikrofilmach. Bob niemal codziennie przywozi mi książki z pracy. Bierze je z jakiegoś archiwum, jeszcze starszego od tego, w którym mieszkałam razem z Paulem. Przyniósł mi także wyświetlacz mikrofilmów, gdy kiedyś spytałam, czy są tam inne rzeczy do czytania poza książkami. Bob potrafi być niezwykle pomocny, chociaż, prawdę mówiąc, wszystkie roboty pierwotnie zaprogramowano w taki sposób: żeby pomagały ludziom.

Próbuję dalej wcielać w życie plan zapamiętania całego swojego życia, ale wyraźnie gubię wątek. Może się starzeję – tak jak Bob.

Nie, nie jestem stara. Po prostu ta czynność bardzo mnie ekscytuje. Zanim zaczęłam to robić, byłam po prostu znudzona – tak samo znudzona jak w Nowym Meksyku po śmierci Simona, tak samo znudzona i spłoszona jak w ogrodzie zoologicznym w Bronksie, zanim pojawił się Paul, taki dziecinny i prosty, taki pociągający...

Lepiej będzie, jeśli przestanę myśleć o Paulu.

Przyniosłam Bobowi skręta, a on go zapalił i głęboko się zaciągnął. Potem powiedział, próbując zabrzmieć przyjacielsko:

– Ty nigdy nie palisz? Ani nie zażywasz pigułek?

– Nie – odparłam. – Źle się po nich czuję. Poza tym nie podoba mi się sama idea ich używania. Lubię być w pełni przytomna.

– Tak, to prawda – przyznał. – Zazdrościsz ci.

– Dlaczego mi zazdrościsz? Jestem człowiekiem, podatnym na choroby, starzenie i pęknięcie kości...

Zignorował moje słowa.

– Zaprogramowano mnie, żebym był w pełni przytomny i świadomy przez dwadzieścia trzy godziny na dobę. Dopiero od kilku lat, odkąd zacząłem rozmyślać o swoich snach, o swojej byłej osobowości i jej wymazanych uczuciach oraz wspomnieniach, potrafię... odprężyć umysł i pozwalać myślom swobodnie wędrować. – Ponownie zaciągnął się skrętem. – Nigdy nie podobała mi się pełna świadomość. Teraz tym bardziej jej nie cenię.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałam.

– Wątpię, żeby marihuana mogła wpływać na metalowy mózg. Dlaczego nie spróbujesz zaprogramować u siebie odlotu? Nie możesz dokonać zmiany w swoich obwodach, żeby wprowadzić się w stan euforii albo upojenia?

– Próbowałem, jeszcze w Dearborn. A potem ponownie, gdy Rząd po raz pierwszy przydzielił mi tę bzdurną funkcję dziekana na uniwersytecie. Za drugim razem próbowałem intensywniej, gdyż byłem wściekły, kiedy się dowiedziałem, że misja uniwersytetu nie polega na nauczaniu

czegokolwiek, a studenci tylko oddają się refleksji. Nie doznałem euforii, jedynie miałem kaca.

Wstał z krzesła, podszedł do okna i przez chwilę patrzył na śnieg. Zdjęłam garnek z jajkami z ognia i zaczęłam je obierać.

W końcu Bob znów się odezwał:

– Może to ukryte wspomnienie klasycznej edukacji sprawiło, że tak się wściekłem. A może zaważył na tym fakt, że zostałem doskonale przeszkolony do swojej roli. Znam i rozumiem inżynierię. Żaden z moich studentów nie ma pojęcia o zasadach termodynamiki, analizie wektorowej, geometrii przestrzennej ani analizie statystycznej. Znam wszystkie te dziedziny i wiele innych. Nie są to tylko magnetyczne wspomnienia zaszczone w moim mózgu. Sam zdobyłem tę wiedzę, wielokrotnie odtwarzając taśmy z biblioteki, ucząc się razem z pozostałymi robotami Marki Dziewięć w Cleveland. Poza tym nauczyłem się pracy Wykrywacza... – Pokręcił głową, a następnie odwrócił się od okna w moją stronę. – Ale to także już nie ma znaczenia. Twój ojciec miał rację. Nie pozostało wielu działających Wykrywaczy. Nie są potrzebni. Kiedy przestały się rodzić dzieci...

– Dzieci? – przerwałam mu.

– Tak. – Ponownie usiadł. – Opowiem ci o myślubusach.

– Ale co z dziećmi? Paul kiedyś mi powiedział...

Bob posłał mi dziwne spojrzenie.

– Mary, nie wiem, dlaczego dzieci się nie rodzą. To ma coś wspólnego ze sprzętem do kontroli urodzeń.

– Skoro nikt się nie rodzi, to w końcu ludzie znikną z Ziemi – stwierdziłam.

Przez chwilę milczał. Potem na mnie popatrzył.

– Czy to cię martwi? – spytał. – Czy to cię naprawdę martwi?

Odwzajemniłam jego spojrzenie. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie wiedziałam, czy mnie to martwi.



Wprowadziliśmy się do jego mieszkania tydzień po odesłaniu Paula i w ciągu kilku miesięcy bardzo polubiłam to miejsce. Bob próbował ściągnąć roboty naprawcze i serwisowe, żeby zajęły się obłazącą farbą na ścianach, nakleiły nową tapetę, naprawiły palniki w kuchence i wymieniły obicie kanapy, ale jak dotąd bezskutecznie. Dysponuje zapewne największą władzą w Nowym Jorku; przynajmniej ja nie znam nikogo potężniejszego, a mimo to niewiele może zdziałać. Kiedy byłam mała, Simon mawiał, że wszystko się sypie i bardzo dobrze. „Wiek Technologii zżera rdza”, powtarzał. Cóż, w ciągu czterdziestu zółci, które upłynęły od jego śmierci, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Jednakże tutaj nie jest najgorzej. Sama myję okna oraz podłogi i nie brakuje nam jedzenia.

W czasie ciąży polubiłam piwo, a Bob zna miejsce, które dysponuje nieograniczonym zapasem pochodzącym ze zautomatyzowanego browaru. Co trzecia albo co czwarta puszka jest zepsuta, ale wystarczy wylać ich zawartość do toalety. Zlew jest zbyt zapchany.

Któregoś dnia Bob przyniósł mi z archiwum ręcznie malowany dawny obraz, którym zasłoniłam dużą brzydką plamę na ścianie w salonie. Na ramie znajdowała się mała mosiężna plakietka, a na niej napis: „Pieter Bruegel. *Pejzaż z upadkiem Ikara*”. Obraz jest bardzo ładny. Widzę go, kiedy podnoszę wzrok znad stołu, przy którym teraz piszę. Na obrazie widać jakiś duży zbiornik – ocean albo duże jezioro – a z wody wystaje noga. Nie rozumiem go, ale podoba mi się nieruchomość pozostałej części kompozycji. Poza tą chlapiącą nogą. Może kiedyś zdobędę trochę niebieskiej farby i ją zamaluję.

Bob ma w zwyczaju wracać do rozmów, które zakończyliśmy przed wieloma dniami. To zapewne wynika ze sposobu, w jaki jego umysł przechowuje informacje. Twierdzi, że nie potrafi niczego zapomnieć. Ale jeśli to prawda, to po co musiał się tak dużo uczyć na początku swojego szkolenia?

Tamtego ranka, kiedy jadłam śniadanie, a on siedział obok mnie, znów zaczął mi opowiadać o myślubusach. Pewnie rozmyślał o nich, kiedy spałam. Czasami aż mnie przechodzą ciarki, gdy rano wstaję z łóżka, a on siedzi w salonie z dłońmi splecionymi pod brodą albo krąży po kuchni.

Kiedyś zaproponowałam, że nauczę go czytać, żeby miał co robić nocami, ale odparł: „Już i tak za dużo wiem, Mary”. Nie drążyłam tematu.

Właśnie jadłam niesmaczne syntetyczne płatki białkowe z miseczki, gdy Bob się odezwał, zupełnie bez związku:

– Mózg myślobusu nie jest stale świadomy. On tylko odbiera informacje. Może to wcale nie jest złe, mieć taki mózg. Tylko chłonność i ograniczone poczucie celu.

– Znam takich ludzi – odparłam, żując twarde płatki.

Nie patrzyłam na niego; wciąż byłam zaspana i wbijałam wzrok w kolorową etykietę na boku pudełka. Widniała na niej twarz człowieka, któremu wszyscy podobno ufali – ale którego nazwiska niemal nikt nie znał – twarz uśmiechająca się nad ogromną miską pełną syntetycznych płatków białkowych. Zdjęcie potrawy oczywiście było konieczne, żeby ludzie wiedzieli, co się znajduje w pudełku, ale zastanawiałam się nad znaczeniem wizerunku mężczyzny. Paul zawsze zachęcał mnie do myślenia o takich sprawach. Ma w sobie więcej ciekawości dotyczącej znaczenia różnych spraw i ich wpływu na nasze odczucia niż ktokolwiek, kogo znam. Pewnie trochę udzieliła mi się jego postawa.

Paul wyjaśnił mi, że twarz na pudełku należy do Jezusa Chrystusa. Wykorzystywano ją do sprzedawania wielu produktów. Paul wyczytał gdzieś termin „szczątkowa nabożność”, który rzekomo tłumaczył ten mechanizm, zaplanowany zapewne co najmniej sto błękitów temu.

– Mózg myślobusu jedynie odczytuje myśli pasażera, który zna cel swojej podróży, a następnie znajduje sposób na zawiezenie go tam bez żadnych wypadków – tłumaczył Bob. – Poza tym stara się dopasować trasę do potrzeb wszystkich pasażerów. To chyba niezły sposób na życie.

Podniosłam na niego wzrok.

– Jeśli ktoś lubi krążyć na kółkach po mieście – odparłam.

– Pierwsze modele myślobusów, które produkowano w fabrykach Forda, wykorzystywały obustronną telepatię. Przekazywały do umysłów pasażerów muzykę lub przyjemne myśli. Podczas niektórych nocnych kursów także erotyczne wizje.

– Dlaczego już tego nie robią? Sprzęt się popsuł?

– Nie – odrzekł Bob. – Jak już mówiłem, myślobusy różnią się od reszty złomu. One się nie psują. Po prostu nikt nie chciał z nich wysiadać.

Pokiwałam głową.

– Ja bym wysiadła.

– Ale ty jesteś inna. Jesteś jedyną niezaprogramowaną kobietą w Ameryce Północnej. No i z pewnością jedyną ciężarną.

– Dlaczego tak się stało, skoro nikt inny nie zachodzi w ciążę? – spytałam.

– Ponieważ nie używasz pigułek ani marihuany. Większość leków stosowanych przez ostatnie trzydzieści lat zawiera jakiś czynnik blokujący płodność. Po jednej z naszych rozmów sprawdziłem kilka taśm kontrolnych w bibliotece. Wydano rozporządzenie, które miało na celu zmniejszenie populacji przez jeden rok. Tę decyzję podjął komputer. Coś jednak poszło nie tak i rozporządzenia nigdy nie cofnięto.

To mnie zaszokowało. Przez chwilę siedziałam pogrążona w myślach. Kolejna awaria sprzętu, kolejny spalony komputer i koniec z dziećmi. Na zawsze.

– Czy mógłbyś coś z tym zrobić? Jakoś to naprawić?

– Być może – odparł. – Ale nie zostałem zaprogramowany do naprawiania.

– Och, daj spokój, Bob – odparłam z irytacją. – Założę się, że gdybyś naprawę chciał, mógłbyś pomalować te ściany i naprawić zlew.

Nic nie odpowiedział.

Czułam się dziwnie rozdrażniona. Coś mnie dręczyło w związku z naszą rozmową o braku dzieci na świecie – coś, czego nigdy nie zauważyłam, dopóki Paul mi tego nie wskazał.

Wbiłam w niego wzrok – Paul nazywa to spojrzenie mistycznym i twierdzi, że mnie za nie kocha.

– Czy roboty mogą kłamać?

Nie odpowiedział.

Wczoraj po południu Bob wcześniej wrócił z uniwersytetu. Jestem już w siódmym miesiącu ciąży i dużo odpoczywam, pozwalając, żeby czas przeciekał mi przez palce, i obserwując padający śnieg. Czasami trochę czytam, a czasami po prostu siedzę. Wczoraj, kiedy przyszedł Bob, byłam znudzona i niespokojna.

– Gdybym miała porządną płaszcz, mogłabym pójść na spacer.

Przez chwilę dziwnie mi się przyglądał.

– Przyniosę ci płaszcz – powiedział w końcu, a następnie odwrócił się i wyszedł.

Wrócił dopiero po dwóch godzinach. Byłam już wtedy bardzo znudzona i zniecierpliwiona tym, że tak długo go nie ma.

Miał ze sobą paczkę; przez chwilę trzymał ją w dłoniach, stojąc przede mną, zanim mi ją podał. Miał dziwny wyraz twarzy. Sprawiał wrażenie bardzo poważnego i – jak to ująć? – bezbronego. Chociaż jest potężny i silny, wyglądał jak dziecko, gdy wręczał mi pudełko.

Otworzyłam je. To był jaskrawoczerwony płaszcz z czarnym aksamitnym kołnierzem. Wyjęłam go i przymierzyłam. Był niewątpliwie czerwony. Poza tym nie podobał mi się kołnierze. Ale na pewno był ciepły.

– Skąd go masz? – spytałam. – I dlaczego to tak długo trwało?

– Przeszukałem pięć magazynów, zanim go znalazłem – wyjaśnił, patrząc na mnie.

Uniosłam brwi, ale nic nie odpowiedziałam. Płaszcz doskonale na mnie leżał, jeśli nie próbowałam zapinać guzików na brzuchu.

– Jak ci się podoba? – spytałam, obracając się przed nim.

Nic nie powiedział, ale długo mi się przypatrywał z namysłem.

– W porządku – rzekł w końcu. – Wyglądałby lepiej, gdybyś miała czarne włosy.

To był dziwny komentarz jak na niego. Nigdy wcześniej nie dawał po sobie poznać, że zwraca uwagę na mój wygląd.

– Powinnam je przefarbować? – Mam brązowe włosy. To pospolity kolor, pozbawiony charakteru. Moim atutem jest figura. Oraz oczy. Lubię swoje oczy.

– Nie, nie chcę, żebyś je farbowała. – Było coś smutnego w tym, w jaki sposób to powiedział. A potem znów rzekł coś dziwnego: – Masz ochotę się ze mną przespacerować?

Podniosłam na niego wzrok; powieki nawet mi nie drgnęły.

– Jasne – odpowiedziałam.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, wziął mnie za rękę. Zaskoczył mnie jak diabli. Zaczął pogwizdywać. Szliśmy tak około godziny niemal pustymi ulicami zasypanymi śniegiem, a potem przez plac Waszyngtona, gdzie nie było nikogo poza kilkoma odurzonymi staruszkami, które w milczeniu siedziały i paliły skręty. Bob starał się iść powoli, żebym mogła za nim nadążyć – naprawdę jest olbrzymi – ale w ogóle się nie odzywał. Od czasu do czasu przestawał gwizdać i spoglądał na mnie z góry, jakby badał moją twarz, ale nie powiedział ani słowa.

To było dziwne. Mimo wszystko czułam się zadowolona. Miałam wrażenie, że ten czerwony płaszcz jest dla niego ważny, podobnie jak nasz spacer i trzymanie się za rękę, ale nie czułam potrzeby, żeby poznać dokładne powody. Gdyby chciał, żebym to wiedziała, toby mi powiedział. Czułam, że mnie potrzebuje, i na chwilę stałam się bardzo ważna. To było miłe uczucie. Pragnęłam, żeby objął mnie ramieniem.

Czasami myśl o tym, że wkrótce będę matką, przeraża mnie i sprawia, że czuję się samotna. Nigdy nie rozmawiam o tym z Bobem, nawet bym nie wiedziała jak to zrobić; jest tak pochłonięty własnymi dążeniami.

Czytałam książkę o rodzeniu dzieci i opiece nad nimi. Mimo to nie mam pojęcia, jakie to będzie uczucie zostać matką. Nigdy żadnej nie widziałam.

## Siedem

Kiedy spaceruję samotnie po zaśnieżonym Nowym Jorku, obserwuję twarze. Nie zawsze są pozbawione wyrazu, puste i bezmyślne. Czasami sprawiają wrażenie skupionych, jakby jakieś skomplikowane myśli w ludzkich głowach chciały się wyrwać na wolność za pośrednictwem

mowy. Widzę mężczyzn w średnim wieku o smukłych ciałach, siwych włosach i jaskrawych strojach, ze szklanymi spojrzeniami, zatopionych w myślach. W mieście dochodzi do wielu samospaleń. Czy ci mężczyźni myślą o śmierci? Nigdy ich o to nie pytam. Tak się nie robi.

Dlaczego ze sobą nie rozmawiamy? Dlaczego nie tulimy się na lodowatym wietrze, który wieje pustymi ulicami tego miasta? Kiedyś, dawno temu, mieszkańcy Nowego Jorku mieli prywatne telefony. Wtedy ludzie ze sobą rozmawiali – być może z rezerwą, dziwnie, sztucznymi głosami spłaszczonymi przez elektronikę, ale rozmawiali. O cenach jedzenia, wyborach prezydenckich, seksualnych zachowaniach ich nastoletnich dzieci, strachu przed pogodą i strachu przed śmiercią. Oprócz tego czytali – słyszeli głosy żywych i umarłych przemawiające do nich w wymownej ciszy, obok ludzkiej paplaniny, która zapewne wypełniała ich umysły, przypominając: „Jestem człowiekiem. Mówię, słucham i czytam”.

Dlaczego nikt nie umie czytać? Co się stało?

Mam egzemplarz ostatniej książki opublikowanej przez Random House, niegdyś potężną firmę wydającą i sprzedającą miliony książek. Nosi tytuł „Ciężki gwałt” i pochodzi z 2189 roku. Na obwolucie widnieje opis, rozpoczynający się od słów: „Niniejszą powieścią, piątą w serii, Random House zamyka wydawnicze podwoje. Częściowo odpowiada za to rezygnacja z programów czytelniczych w szkołach w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Z wielkim żalem...”. I tak dalej.

Wydaje się, że Bob wie niemal wszystko, a jednak nie ma pojęcia, kiedy i dlaczego ludzie przestali czytać.

– Większość ludzi jest zbyt leniwa – twierdzi. – Szukają tylko rozrywek.

Może ma rację, ale czuję, że to nieprawda. W piwnicy bloku, w którym mieszkamy, bardzo starego budynku, który wielokrotnie remontowano, na ścianie obok reaktora widnieje koślawo nabazgrany napis: „Pisanie jest do dupy”. Ścianę pomalowano na surowy zielony kolor, a na farbie wyskrobano prymitywne wizerunki penisów, kobiecych biustów oraz ludzi uprawiających seks oralny bądź uderzających się nawzajem, jednak znajdują się tam tylko te słowa: „Pisanie jest do dupy”. W tym stwierdzeniu nie ma żadnego lenistwa, podobnie jak w impulsie, który pchnął kogoś do

jego napisania czubkiem gwoźdźcia albo noża na twardej farbie. Kiedy czytam tę deklarację, wyczuwam w niej czystą nienawiść.

\* \* \*

Może ponurość i zimno, które wszędzie dostrzegam, mają związek z nieobecnością dzieci. Nikt już nie jest młody. Przez całe życie nie widziałam nikogo młodszego ode mnie. Dzieciństwo znam tylko ze wspomnień oraz z obscenicznej farsy odgrywanej przez roboty w zoo.

Zapewne mam co najmniej trzydzieści lat. Kiedy moje dziecko się urodzi, nie będzie miało towarzyszy zabaw. Będzie samo na świecie pełnym starych, zmęczonych ludzi, którzy stracili zapał do życia.

## **Osiem**

W dawnym świecie z pewnością był taki okres, gdy wciąż istnieli scenarzyści piszący kwestie dla aktorów niepotrafiących ich przeczytać. I chociaż niektórzy autorzy korzystali z magnetofonów – zwłaszcza w przypadku programów z gatunku „seks-i-ból”, które były wtedy popularne – wielu się temu sprzeciwiało i wciąż zapisywało swoje teksty, kierując się swoistym snobizmem. Mimo że wiele lat wcześniej zaprzestano produkcji maszyn do pisania i zdobycie zapasowych części oraz taśm niemal graniczyło z cudem, dalej tworzone scenopisy na papierze. Dlatego w każdym studiu musiał być zatrudniony tak zwany „czytający” – osoba, której zadanie polegało na odczytywaniu na głos scenopisów i ich rejestrowaniu, by reżyser mógł je zrozumieć, a aktorzy nauczyli się swoich ról. Alfred Fain, którego książki użyto do ocieplenia ścian w naszym mieszkaniu po Śmierci Ropy Naftowej, był zarówno scenarzystą, jak i czytającym w ostatnich dniach telewizji fabularnej. Jego książka nosi tytuł „Ostatnia autobiografia” i zaczyna się następująco:

Kiedy byłem młodzieńcem, czytania wciąż nauczano w państwowych szkołach jako przedmiotu nieobowiązkowego. Wyraźnie pamiętam grupę dwunastolatków na lekcjach czytania u panny Warburton w St Louis. Było nas siedemnaścioro i uważaliśmy się za intelektualną elitę. Pozostałe tysiące uczniów, którzy potrafili napisać jedynie takie słowa jak „kurwa” czy „dupa” – i bazgrali je na ścianach sportowych aren, sal gimnastycznych oraz świetlic, które zajmowały większość miejsca w naszej szkole – traktowały nas z urażonym podziwem. Mimo że czasami nam dokuczali – wciąż drzę, gdy wspominam hokeistę, który regularnie rozkrwawiał mi nos po zajęciach z Panowania nad Umysłem – w tajemnicy nam zazdrościli. Poza tym dosyć dobrze rozumieli, na czym polega czytanie.

Było to jednak dawno temu, a dziś mam pięćdziesiąt lat. Młodzi ludzie, z którymi pracuję – gwiazdy porno, rozchwytywani reżyserzy teleturniejów, specjaliści od przyjemności, manipulatorzy emocji, ludzie z branży reklamowej – nie wiedzą i nie dbają o to, czym jest czytanie. Pewnego dnia na planie korzystaliśmy ze scenopisu stworzonego przez jednego z konserwatystów, który wymyślił, by młoda dziewczyna rzuciła w staruszkę książkę. Cała scena stanowiła część historii o Religii Dobrego Samopoczucia, zaadaptowanej z jakiegoś zapomnianego starego dzieła, i rozgrywała się w poczekalni kliniki. Ekipa zbudowała całkiem przekonującą scenografię z plastikowymi krzesłami i wytartym dywanem, ale kiedy pojawił się reżyser, rekwizytor odbył z nim szybką naradę, twierdząc, że „nie do końca rozumie, o co chodzi z tą książką”. Reżyser, który także nie był pewien, czym jest książka, ale nie chciał się do tego przyznać, spytał mnie, jakie znaczenie ma ten gest. Odpowiedziałem, że wskazuje on na to, że czytająca dziewczyna jest intelektualistką o antyspołecznej postawie. Udał, że się nad tym zastanawia, chociaż prawdopodobnie nie zrozumiał także słowa „intelektualistka”, a następnie polecił: „Użyjmy szklanej popielniczki. A także sztucznej



krwi, gdy popielniczka skaleczy staruszkę. Ta scena i tak była zbyt miąka”.

Byłem zbyt oszołomiony, żeby się z nim kłócić. Do tamtej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak daleko zaszliśmy.

To zaś prowadzi mnie do pytania: po co to piszę? A jedyna odpowiedź jest taka: to, że zawsze chciałem. Jeszcze w szkole, kiedy uczyliśmy się czytać, wszyscy myśleliśmy, że pewnego dnia będziemy pisali książki, które ktoś będzie czytał. Teraz wiem, że zbyt długo zwlekałem, jednak i tak zamierzam to zrobić.

Tamten scenopis, o ironio, zapewnił reżyserowi nagrodę. Opowiadał o zamężnej kobiecie, która przyprowadza swojego męża, Claude'a, do kliniki leczenia bezpłodności. Czekając, aż lekarze zbadają Claude'a, zostaje trafiona w twarz popielniczką przez wyposzczoną seksualnie młodą lesbijkę i zapada w śpiączkę, podczas której przeżywa religijne przebudzenie i doświadcza wizji.

Pamiętam, jak podczas przyjęcia po ceremonii wręczenia nagród odurzyłem się meskaliną i ginem, a następnie próbowałem wytłumaczyć aktorce o obnażonych piersiach, która siedziała obok mnie na sofie, że w branży telewizyjnej obowiązują monetarne standardy i liczy się tylko zarabianie pieniędzy. Uśmiechała się do mnie i od czasu do czasu muskała opuszkami palców swoje sutki. Kiedy skończyłem, stwierdziła: „Ale pieniądze również dają spełnienie”.

Upiłem się i zabrałem ją do motelu.

Pisząc książkę, czuję się jak badacz Talmudu albo egiptolog w dwudziestowiecznym Disneylandzie. Tylko że nie muszę się zastanawiać, czy ktokolwiek zechce wysłuchać tego, co mam do powiedzenia; wiem, że nikogo takiego nie ma. Mogę tylko szacować, ilu pozostało ludzi, którzy potrafią czytać. Zapewne kilka tysięcy. Jeden z moich znajomych, który pracuje na pół etatu jako redaktor naczelny wydawnictwa, twierdzi, że przeciętna książka znajduje około ośmiuset czytelników. Spytałem go, dlaczego w ogóle nie zrezygnują z wydawania książek. Odrzekł, że naprawdę nie wie, ale

wydawnictwo stanowi tak drobną część korporacji rozrywkowej, do której należy, że pewnie wszyscy zapomnieli o jego istnieniu. Sam nie umie czytać, ale szanuje książki, ponieważ jego matka była odludkiem i ciągle oddawała się lekturze, a on bardzo ją kochał. Przy okazji należy wspomnieć, że jest jednym z niewielu znanych mi ludzi, którzy wychowali się w rodzinie. Większość moich znajomych wywodzi się z internatów. Mnie wychowano w kibucu w Nebrasce. Ale w końcu jestem Żydem, a to obecnie również rzadkość: być Żydem i o tym wiedzieć. Byłem jednym z ostatnich członków swojego kibucu; kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, przekształcono go w państwowy internat dla Myślicieli.

Urodziłem się w 2137 roku...

Kiedy przeczytałam tę datę, od razu zaciekawiło mnie, jak dawno żył Alfred Fain, więc spytałam o to Boba.

– Około dwustu lat temu – odpowiedział.

– Czy teraz mamy jakąś datę? Czy ten rok ma numer?

Popatrzył na mnie chłodno.

– Nie. Nie ma żadnej daty.

Chciałabym poznać dzisiejszą datę. Chciałabym, żeby moje dziecko miało datę urodzin.

# BENTLEY

## Dzień dziewięćdziesiąty piąty

Już nie jestem taki zmęczony. Praca stała się łatwiejsza, a ja czuję się silniejszy.

Odkąd postanowiłem zażywać sopory, lepiej sypiam nocami. Jedzenie także jest znośne, więc sobie go nie odmawiam. Jadam więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Nie do końca podobają mi się skutki zażywania soporów, ale potrzebuję ich, żeby się wysypiać. Powstrzymują część bólu w moim umyśle.

Dzisiaj potknąłem się i przewróciłem pomiędzy zagony z roślinami, a inny więzień, który był w pobliżu, podbiegł i pomógł mi wstać. To był wysoki, siwowłosy mężczyzna, na którego już wcześniej zwróciłem uwagę, ponieważ czasami pogwizduje.

Pomógł mi się otrzepać, a następnie uważnie mi się przyjrzał.

– Nic się nie stało, kolego? – spytał.

To wszystko było straszliwie intymne – niemal obsceniczne – ale nie miałem mu tego za złe.

– Wszystko w porządku – odparłem, ale wtedy przerwał nam jeden z robotów.

– Żadnych rozmów! – zawołał. – Naruszenie Prywatności!

Mężczyzna popatrzył na mnie z szerokim uśmiechem i wzruszył ramionami. Wróciliśmy do pracy. Ale kiedy odchodził, mruknął pod

nosem: „Głupie cholerne roboty!”, a mnie zaszokowały bezwstydnne emocje w jego głosie.

Widziałem, jak inni więźniowie szepczą między sobą na polu. Często mija kilka minut, zanim roboty to zauważą i ich powstrzymają.

Roboty chodzą między zagonami tak jak my, ale zatrzymują się w pewnej odległości od niskiego urwiska na końcu pola. Być może tak je zaprogramowano, żeby nie spadły albo nie zostały zepchnięte. Tak czy inaczej, zostają na tyle daleko, że kiedy docieram do skraju pola od strony wody, przez chwilę mnie nie widzą, ze względu na obniżony grunt przed krawędzią urwiska.

Nauczyłem się przyspieszać pod koniec każdego zagonu i do każdego taktu muzyki dwukrotnie naciskam spust pistoletu. Dzięki temu na skraju pola mogę przystanąć na szesnaście taktów. Cieszę się, że potrafię to obliczyć, a wszystko dzięki „Arytmetyce dla chłopców i dziewcząt”. Zatrzymuję się i spoglądam na ocean. Jest cudowny – rozległy, potężny i spokojny. Mam wrażenie, że coś głęboko w moim wnętrzu reaguje na ten widok uczuciem, którego nie potrafię nazwać. Uczę się na nowo cieszyć nieznanymi odczuciami. Czasami nad oceanem unoszą się ptaki z rozpostartymi zakrzywionymi skrzydłami. Szybują w powietrzu po gładkich, szerokich łukach, ponad światem ludzi i maszyn, nieodgadnione i oszałamiające. Kiedy na nie patrzę, czasami szepczę słowo, którego nauczyłem się z jednego z filmów: „Wyborne!”.

Wspomniałem, że uczę się cieszyć nieznanymi odczuciami, i to prawda. Jakże się zmieniłem od chwili, gdy, niecałą żółć temu, po raz pierwszy doznałem tych uczuć podczas oglądania niemych filmów przy swoim biurku. Wiem, że sprzeciwiam się wszystkiemu, czego mnie nauczono o uczuciach, gdy byłem dzieckiem, ale o to nie dbam. Prawdę mówiąc, sprawia mi przyjemność robienie czegoś, co niegdyś było zakazane.

Nie mam niczego do stracenia.

Mam wrażenie, że ocean jest dla mnie najważniejszy w deszczowe dni, gdy woda i niebo są szare. Poniżej urwiska znajduje się piaszczysta plaża; jej jasnobrązowy kolor pięknie wygląda obok szarej wody. Do tego białe

ptaki na szarym niebie! Moje serce przyśpiesza, nawet gdy sobie to wyobrażam w swojej celi. To smutne, tak jak koń w kapeluszu w tamtym starym filmie, jak spadający King Kong – który leci tak powoli, tak spokojnie, tak daleko – i jak słowa, które teraz wypowiadam na głos: „Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu”. Jak wspomnienie o Mary Lou, siedzącej ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i wbijającej wzrok w książkę.

Smutek. Smutek. Ale przyjmę go i uczynię częścią życia, które zapamiętuję.

Nie mam nic do stracenia.

## **Dzień dziewięćdziesiąty siódmy**

Dzisiaj na polu wydarzyło się coś zdumiewającego.

Pracowałem od około dwóch godzin; zbliżała się druga przerwa. Usłyszałem jakiś szelest za sobą, w miejscu, w którym zazwyczaj stoi robot-nadzorca, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, jak robot chwieje się i zatacza w zagonie. Na moich oczach postawił ciężką stopę na jednej z białkowych roślin, a ta pękła z ohydny odgłosem, obryzgując mu nogę fioletowym sokiem.

Usta robota wykrzywił ponury grymas, a oczy wpatrywały się w górę. Jeszcze przez chwilę się zataczał, nadepnął na kolejną roślinę, a potem znieruchomiał, jakby wszedł w stan uśpienia. Następnie ciężko runął na ziemię. Drugi robot podszedł do niego i popatrzył na nieruchome ciało.

– Powstań! – powiedział, ale tamten ani drgnął. Wtedy pochylił się, podniósł leżącego towarzysza i poniósł go w stronę budynków więzienia.

Wkrótce usłyszałem donośne wołanie:

– Awaria, chłopcy!

Rozległ się odgłos biegnących stóp. Patrzyłem zdumiony, jak grupa więźniów w niebieskich uniformach biegnie pomiędzy zagonami. Nagle ktoś objął mnie ramieniem – coś takiego jeszcze nigdy mi się nie

przydarzyło: obcy człowiek mnie objął! – a ja zobaczyłem, że to tamten siwowłoso mężczyzna.

– Dalej, kolego! Na plażę! – zawołał, a ja za nim pobiegłem.

Byłem przerażony. Przerażony, ale szczęśliwy.

W jednym miejscu urwisko było niższe; w skale ziała rozpadlina, którą można było zejść po starych zniszczonych skalnych stopniach. Kiedy schodziłem razem z innymi, oszołomiony poklepywaniem po plecach i przyjacielskimi okrzykami – nigdy nie spotkałem się z czymś takim, nawet w dzieciństwie – zauważyłem coś dziwnego na jednej ze skał obok stopni. Widniał tam wyblakły napis wykonany białą farbą: „John kocha Julie, rocznik 94”.

Wszystko było takie dziwne, że czułem się niemal zahipnotyzowany. Mężczyźni rozmawiali i śmiali się, zupełnie jak w filmach o piratach. Albo raczej w niektórych filmach o więźniach. Jednak czym innym jest oglądanie filmu, a czym innym zobaczenie tego na własne oczy.

Kiedy jednak teraz myślę o tym w swojej celi, dochodzę do wniosku, że nie zbiło mnie to całkowicie z tropu właśnie dlatego, że widziałem taką intymność w filmach.

Grupa mężczyzn zebrała trochę drewna wyrzuconego przez fale i ułożyła ognisko na plaży. Nigdy wcześniej nie widziałem ogniska i bardzo mi się spodobało. Potem niektórzy z więźniów rozebrali się i ze śmiechem wbiegli do wody. Część ochlapywała się i bawiła na płyciźnie; inni weszli głębiej i zaczęli pływać, zupełnie jakby byli na basenie w Ośrodku Zdrowia i Sprawności. Zauważyłem, że zarówno ci, którzy się bawili, jak i pływacy, łączyli się w niewielkie grupki i najwyraźniej im to odpowiadało.

Razem z pozostałymi usiadłem w kręgu wokół ogniska. Siwowłoso mężczyzna wyjął skręta z kieszeni koszuli i zapalił go gałązką wyciągniętą z płomieni. Wyglądało na to, że przywykł do ognia – prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że oni wszyscy robili to już wielokrotnie.

Jeden z mężczyzn odezwał się z uśmiechem do swojego sąsiada:

– Charlie, ile czasu minęło od ostatniej awarii?

– Sporo – odrzekł Charlie. – Za długo.

– Właśnie! – Pierwszy z mężczyzn roześmiał się.

Siwowłosy podszedł i usiadł obok mnie. zaproponował mi skręta, ale pokręciłem głową, więc wzruszył ramionami i poczęstował mężczyznę po swojej drugiej stronie.

– Mamy co najmniej godzinę – stwierdził. – Tutejsze roboty naprawcze są powolne.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem.

– Nie jestem pewien. Wszystkich usypiają w sędzie i cucą dopiero na miejscu. Ale pewien facet powiedział mi kiedyś, że według niego jesteśmy w Północnej Karolinie. – Zwrócił się do mężczyzny, któremu podał skręta, a który teraz przekazywał go dalej. – Prawda, Foreman? W Północnej Karolinie?

Foreman się odwrócił.

– Słyszałem, że w Południowej – odparł. – W Południowej Karolinie.

– Cóż, w każdym razie gdzieś tam – dodał siwowłosy.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na płomienie poruszane popołudniowym wiatrem, słuchając odgłosów fal rozbijających się o plażę i mew, które od czasu do czasu odzywały się nad naszymi głowami. Wreszcie jeden ze starszych mężczyzn odezwał się do mnie:

– Za co cię wsadzili? Zabiłeś kogoś?

Zawstydzilem się i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie zrozumiałby, gdybym opowiedział mu o czytaniu.

– Mieszkałem z kimś – odrzekłem w końcu. – Z kobietą...

Twarz mężczyzny na chwilę się rozpromieniła, ale niemal natychmiast posmutniała.

– Też kiedyś mieszkałem z kobietą. Przez ponad błękit.

– Naprawdę? – spytałem.

– Tak. Błękit i żółć. Co najmniej. Ale nie za to mnie tutaj wsadzili. Cholera, jestem złodziejem. Jednak doskonale pamiętam... – Był pomarszczony, chudy i przygarbiony; na głowie miał tylko kilka włosów, a dłonie wyraźnie mu drżały, kiedy brał skręta, zaciągał się i podawał go młodszemu mężczyźnie siedzącemu obok.

– Kobiety – rzekł siwowłosy, przerywając ciszę.

Coś w tym pojedynczym słowie sprawiło, że staruszek się otworzył.

– Parzyłem dla niej kawę i piliśmy ją w łóżku – zaczął wspominać. – Prawdziwą kawę z prawdziwym mlekiem, a czasami udawało mi się zdobyć jakiś owoc. Na przykład pomarańczę. Piła z szarego kubka, a ja siedziałem naprzeciwko niej po drugiej stronie łóżka i udawałem, że skupiam się na swojej kawie, ale tak naprawdę się jej przyglądałem. Boże, nie mogłem od niej oderwać wzroku. – Pokręcił głową.

Wyczuwałem jego smutek. Słuchając go, miałem gęsią skórę na rękach i nogach. Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby ktoś mówił dokładnie to, co czuję. Mówił jakby w moim imieniu, i chociaż się zasmuciłem, odczułem także ulgę.

– Co się z nią stało? – spytał ktoś cicho.

Staruszek przez chwilę nie odpowiadał.

– Nie wiem – rzekł w końcu. – Pewnego dnia wróciłem do domu z walcowni, a jej już nie było. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Zapadła cisza, aż wreszcie odezwał się jeden z młodszych więźniów. Zapewne chciał powiedzieć coś pocieszającego.

– Cóż, szybki seks jest najlepszy – stwierdził filozoficznie.

Staruszek powoli odwrócił głowę i wbił wzrok w mężczyznę, który to powiedział. Następnie odparł stanowczym głosem:

– A ja ci mówię, że pierdolisz.

Młodszy mężczyzna sprawiał wrażenie zbitego z tropu i odwrócił twarz.

– Nie miałem na myśli...

– Pierdolić to – rzekł staruszek. – Pierdolić twój szybki seks. Wiem, jak wygląda moje życie. – Potem odwrócił się w stronę oceanu i cicho powtórzył: – Wiem, jak wygląda moje życie.

Słyszając te słowa i widząc, jak staruszek patrzy na ocean i prostuje plecy pod wyblakłą błękitną więzienną koszulą, jak bryza rozwiewa mu nieliczne kosmyki włosów na starej głowie pokrytej naprężoną skórą, czułem smutek, którego nie mogły wyrazić nawet łzy. Myślałem o Mary Lou i o tym, jak czasami wyglądała rano, gdy piła herbatę. Albo o dotyku jej dłoni na moim karku oraz o tym, jak czasem na mnie patrzyła, a potem się uśmiechała...



Długo tak siedziałem i wspominałem Mary Lou, pogrążony we własnym smutku, spoglądając na ocean za staruszką. Nagle usłyszałem cichy głos siwego mężczyzny, który siedział obok mnie.

– Chcesz popływać?

Podniosłem wzrok, lekko wystraszony.

– Nie – odpowiedziałem, może nieco za szybko. Jednak myśl o rozebraniu się do naga pośród tylu nieznanym od razu przywróciła mnie do rzeczywistości.

Mimo wszystko uwielbiam pływać.

W internatach dla Myślicieli każde dziecko może samotnie korzystać z basenu przez dziesięć minut. Bardzo przestrzega się tam zasad Indywidualizmu.

Właśnie o tym rozmyślałem, kiedy siwowłosa mężczyzna niespodziewanie powiedział:

– Nazywam się Belasco.

Spuściłem wzrok na piasek u moich stóp.

– Witaj – odrzekłem.

Przez chwilę milczał.

– A jak ty się nazywasz, kolego? – spytał w końcu.

– Och – zreflektowałem się, wciąż patrząc na piasek. – Bentley.

Poczułem jego dłoń na swoim ramieniu i z niepokojem popatrzyłem mu w oczy. Uśmiechał się do mnie.

– Miło cię poznać, Bentley.

Po chwili wstałem i podszedłem do samego brzegu, ale z dala od pływających. Wiem, że bardzo się zmieniłem, odkąd opuściłem Ohio, mimo to nie byłem w stanie znieść aż takiej intymności i uczuć. Poza tym chciałem zostać sam na sam z myślami o Mary Lou.

Nad wodą znalazłem kraba pustelnika w małej spiralnej muszli. Wiem, że to był krab pustelnik, ponieważ oglądałem ilustracje w książce, którą przyniosła Mary Lou: „Nadmorskie stworzenia Ameryki Północnej”.

Wzdłuż brzegu unosił się silny słony, czysty zapach. Fale delikatnie obmywały mokry piasek, z odgłosem, jakiego nigdy nie słyszałem. Stałem

w blasku słońca, obserwując, węsząc i nasłuchując, dopóki Belasco mnie nie zawołał.

– Czas iść, Bentley. Wkrótce go naprawią.

Wszyscy w milczeniu wspięliśmy się po schodach, wróciliśmy na nasze miejsca na polu i czekaliśmy.

Po jakimś czasie roboty wróciły. Nie zauważyły, że pod ich nieobecność nie poczyniliśmy żadnych postępów. Głupie maszyny.

Pochyliłem się i znów zacząłem pracować w rytm muzyki.

Kiedy dotarłem do krańca zagonu, zerknąłem w stronę plaży. Nasze ognisko wciąż płonęło.

Właśnie sobie uświadomiłem, że napisałem „nasze” ognisko. Jakie to dziwne, że uznałem, że należało do nas wszystkich – do nas jako grupy!

Kiedy wracaliśmy na pole z plaży, szedłem obok siwowłosego mężczyzny. Przez chwilę chciałem mu powiedzieć coś miłego, podziękować za to, że uczynił mój smutek bardziej znośnym, albo nawet otoczyć ręką jego delikatne ramiona. Ale nie zrobiłem nic takiego. Nie potrafię się tak zachowywać. Szczerze tego żałuję, ale nie potrafię.

## **Dzień dziewięćdziesiąty dziewiąty**

Podczas samotnych nocy w swojej celi często romyślałem. Czasami o tym, co wyczytałem w książkach, o swoim dzieciństwie albo o trzech błękitach, które przepracowałem jako wykładowca w Ohio. Myślę też o czasach, kiedy nauczyłem się czytać, ponad dwie zółcie temu, gdy znalazłem pudło z taśmą, kartami dydaktycznymi oraz ilustrowanymi książeczkami. Na pudle widniał napis: „Zestaw początkującego czytelnika”. Były to pierwsze wydrukowane słowa, jakie zobaczyłem, i oczywiście nie wiedziałem, co znaczą. Skąd wzięłem cierpliwość, żeby nauczyć się odczytywać słowa z książek?

Gdybym nie nauczył się czytać w Ohio, a następnie nie przybył do Nowego Jorku, żeby zostać nauczycielem czytania, teraz nie siedziałbym

w więzieniu. A także nie spotkałbym Mary Lou. Nie przepełniałby mnie ten smutek.

Myślę o niej częściej niż o czymkolwiek innym. Widzę, jak stara się nie okazywać strachu, gdy Spofforth wyprowadza ją z mojego pokoju w bibliotece. Wtedy widziałem ją po raz ostatni. Nie wiem, dokąd ją zabrał ani co się z nią stało. Pewnie przebywa w więzieniu dla kobiet, ale nie mogę mieć pewności.

Próbowałem nakłonić Spoffortha, żeby zdradził mi, co ją spotka, kiedy jechaliśmy myślobusem na moją rozprawę, ale nie chciał odpowiedzieć.

Usiłowałem narysować jej twarz na arkuszach papieru, używając kolorowych kredek świecowych, ale bez powodzenia. Nigdy nie potrafiłem rysować.

Wiele żółci i błękitów temu w moim internacie był chłopiec, który umiał pięknie rysować. Pewnego dnia położył kilka swoich prac na mojej ławce w klasie, a ja przyglądałem się im z podziwem. Były tam ptaki, krowy, ludzie, drzewa, a także robot patrolujący korytarz. Wyjątkowe rysunki o wyraźnej kresce, zadziwiająco dokładne.

Nie wiedziałem, co z nimi zrobić. Zabieranie bądź dawanie osobistych przedmiotów to straszliwy czyn, za który grozi surowa kara. Dlatego zostawiłem rysunki na ławce, a następnego dnia już ich nie było. Kilka dni później chłopiec, który je narysował, również zniknął. Nie wiem, co się z nim stało. Nikt więcej o nim nic nie mówił.

Czy taki sam los spotka Mary Lou? Czy to już koniec i świat więcej o niej nie wspomni?

Dzisiaj w nocy zażyłem cztery sopory. Nie chcę aż tyle pamiętać.

## **Dzień sto czwarty**

Tego wieczoru po kolacji Belasco przyszedł do mojej celi! Przyniósł ze sobą małe szaro-białe zwierzę.

Siedziałem na swoim krześle, rozmyślając o Mary Lou i wspominając brzmienie jej głosu podczas czytania, kiedy nagle zobaczyłem, że otwierają się moje drzwi. Stał w nich Belasco, wyszczerzony i ze zwierzakiem pod pachą.

– Jak...? – zacząłem.

Unióś palec do ust, a następnie cicho się odezwał:

– Dzisiaj w nocy wszystkie drzwi są otwarte, Bentley. Możesz to nazwać kolejną awarią.

Zamknął drzwi, a następnie postawił zwierzę na podłodze. Usiadło i popatrzyło na mnie ze znudzonym zaciekawieniem; potem zaczęło się drapać po uchu tylną łapą. Przypominało psa, ale było mniejsze.

– Nocami komputer zamyka drzwi, ale czasami zapomina to zrobić.

– Aha – powiedziałem, wciąż przyglądając się zwierzątku. – Co to jest?

– O czym mówisz? – spytał Belasco.

– O tym zwierzęciu.

Popatrzył na mnie, bardzo zaskoczony.

– Nie wiesz, jak wygląda kot, Bentley?

– Nigdy żadnego nie widziałem.

Pokręcił głową. Następnie pochylił się i kilka razy pogłaskał zwierzaka.

– To jest kot. Oswojone zwierzę.

– Oswojone?

Belasco z uśmiechem pokręcił głową.

– Chłopcze! Nie wiesz niczego poza tym, czego uczą w szkole, prawda? Oswojone zwierzęta trzyma się w domu dla przyjemności. To przyjaciel człowieka.

Oczywiście, pomyślałem. Tak jak Roberto, Consuela i ich pies Biff w książce, z której uczyłem się czytać. Biff był oswojonym zwierzęciem Roberta i Consueli, a w książce użyto sformułowania „Roberto jest przyjacielem Consueli”, zatem właśnie tym jest przyjaciel. Kimś, z kim łączą cię nadmiernie bliskie więzi. Najwyraźniej zwierzę również może być przyjacielem.

Miałem ochotę pochylić się i dotknąć kota, ale bałem się to zrobić.

– Czy ma jakieś imię?

– Nie – odparł Belasco. Zbliżył się i usiadł na skraju mojego łóżka; cały czas mówił tylko nieco głośniejszym szeptem. – To samiczka, nazywam ją po prostu „kotką”.

Wyjął skręta z kieszeni koszuli i włożył go do ust. Rękawy błękitnej więziennej koszuli nosił podwinięte, a na obu przedramionach, tuż nad bransoletami, miał jakieś dekoracje, które wyglądały, jakby wykonał je niebieskim atramentem. Na prawej ręce widniało serce, a na lewej postać nagiej kobiety.

Zapalił skręta.

– Jeśli chcesz, możesz jej nadać imię, Bentley.

– Czyli mogę sam zdecydować, jak będę ją nazywał?

– Zgadza się.

Podał mi skręta, a ja go przyjąłem bardzo swobodnym gestem – biorąc pod uwagę fakt, że dzielenie się jest nielegalne – po czym zaciągnąłem się i oddałem narkotyk.

Wypuściłem dym i stwierdziłem:

– Dobrze. Kotka będzie miała na imię Biff.

Belasco się uśmiechnął.

– Niech będzie. Zwierzę potrzebowało imienia. Teraz już je ma. – Popatrzył na kota, który powoli krążył po celi, dokładnie ją badając. – Prawda, Biff?

„Bentley, Belasco i ich kotka Biff”, pomyślałem.

## **Dzień sto piąty**

Mam wrażenie, że budynki więzienia to najstarsze budowle, jakie kiedykolwiek widziałem. Jest ich pięć, wybudowanych z dużych pomalowanych na zielono kamiennych brył, z brudnymi oknami, w których tkwią zardzewiałe kraty. Byłem tylko w dwóch – budynku sypialnym z zakratowanymi celami, w którym nocuję, oraz w fabryce butów, gdzie pracuję porankami. Nie wiem, co się znajduje w pozostałych

trzech budynkach. Wydaje się, że jeden z nich, który stoi nieco na uboczu, jest jeszcze starszy od pozostałych. Ma okna zabite deskami, jak letni dom w „Aniele na sznurku” z Glorią Swanson. Pewnego dnia podczas przerwy na ćwiczenia po drugim śniadaniu podszedłem do tego budynku, żeby mu się bliżej przyjrzeć. Jego kamienne ściany pokrywa gładki, wilgotny mech, a duże metalowe drzwi zawsze są zamknięte.

Wszystkie budynki otacza bardzo wysokie podwójne ogrodzenie z grubej drucianej siatki, niegdyś czerwonej, ale obecnie wyblakłej do różu. W ogrodzeniu znajduje się brama, przez którą wychodzimy do pracy na polu. Przez cały czas pilnują jej cztery durne roboty. Kiedy idziemy na pole, sprawdzają metalowe opaski, które są na stałe przymocowane do naszych nadgarstków.

Musiałem wysłuchać pięciominutowego wykładu naczelnika więzienia – potężnego, mięsistego robota Marki Sześć – kiedy po przybyciu otrzymałem uniform. Naczelnik między innymi wyjaśnił mi, że jeśli więzień opuści teren bez wyłączonych opasek, te rozpalą się do białości i pozbawią go dłoni, jeżeli natychmiast nie wróci do więzienia.

Opaski są wąskie i ciasne; wykonano je z niezwykle twardego, matowego, srebrzystego metalu. Nie wiem, w jaki sposób je nam założono. Otaczały moje nadgarstki, kiedy obudziłem się w więzieniu.

\* \* \*

Podejrzewam, że zbliża się zima, ponieważ na dworze panuje chłód. Jednakże pole wokół roślin jest w jakiś sposób podgrzewane, a słońce nie przestaje świecić. Ziemia pod moimi stopami jest ciepła, gdy nawożę ohydne rośliny, ale powietrze ziębi mi ciało. Idiotyczna muzyka nigdy nie ustaje, nigdy się nie psuje, a roboty cały czas się w nas wpatrują. Zupełnie jak we śnie.

**Dzień sto szesnasty**

Minęło jedenaście dni, odkąd napisałem cokolwiek o swoim życiu. Straciłbym rachubę, gdybym każdego wieczoru po kolacji nie robił kredką znaków na ścianie. Znajdują się pod olbrzymim ekranem telewizora, który wypełnia większą część ściany w głębi mojej celi i naprzeciwko którego stoi moje krzesło, przybite do podłogi. Teraz widzę te znaki, gdy podnoszę głowę znad tabliczki do rysowania, którą trzymam na kolanach; wyglądają jak równy wzór z szarych pasków.

Tracę zainteresowanie pisaniem. Czasami czuję, że jeśli nie odzyskam swoich książek albo nie obejrzę kolejnych niemych filmów, to zapomnę, jak się czyta, i nie będę chciał pisać.

Belasco nie pojawił się ponownie od czasu tamtej pierwszej nocy. Zapewne dlatego, że komputer już nie zapomina zamykać drzwi po kolacji. Po wykonaniu znaku na ścianie zawsze sprawdzam drzwi i zawsze są zamknięte.

Nie myślę bezustannie o Mary Lou jak kiedyś. W ogóle o niewielu sprawach myślę. Zażywam sopory, palę marihuanę, oglądam erotyczne fantazje oraz wizje śmierci, które wyświetlają się w naturalnych rozmiarach na trójwymiarowym ekranie, i wcześniej chodzę spać.

Te same programy powtarzają się w telewizji co osiem albo dziewięć dni. Mogę także oglądać materiały dotyczące samodoskonalenia oraz resocjalizacji zarejestrowane na trzydziestu kulkach, jakie każdy więzień otrzymuje po przybyciu do zakładu. Ale ich nie odtwarzam. Oglądam to, co akurat jest nadawane. Nie interesują mnie konkretne programy; po prostu chcę oglądać telewizję.

Wystarczy tego pisania. Mam dosyć.

## **Dzień sto dziewiętnasty**

Dziś po południu, kiedy pracowaliśmy na polu, rozpętała się burza. Roboty długo sprawiały wrażenie zaskoczonych wiatrem i ulewą, tak że nie wołały nas, gdy w strugach deszczu stanęliśmy na skraju urwiska, wpatrując się

w niebo i ocean. Niebo szybko zmieniało barwę z szarej na czarną i z powrotem. Niemal bezustannie rozświecłały je błyskawice. Pod nami ocean huczał i ryczał. Fale zalewały plażę i mocno uderzały w podstawę urwiska, cofały się na chwilę i znów powracały – ciemne, niemal czarne, spienione, głośnie.

Wszyscy patrzyliśmy, ale nikt się nie odzywał. Ogłuszał nas huk grzmotów i oceanu.

Kiedy pogoda trochę się uspokoiła, zawróciliśmy i ruszyliśmy z powrotem do budynku sypialnego. Szedłem przez pole z Białkiem 4, a deszcz, już nieco łagodniejszy, padał mi na twarz i przemoczone ubranie. Drżąc z zimna, nagle przypomniałem sobie te słowa:

*Kiedyż zawiejesz, zachodni wietrze,  
By deszcz znów spadł z obłoków?  
Chryste! Bym objął swą ukochaną  
W swym łóżu znalazł spokój!*

Padłem na kolana na polu i zapłakałem z głupiej tęsknoty za Mary Lou i życiem, które przez jakiś czas wiodłem, gdy mój umysł i wyobrażenia na chwilę ożyły.

W pobliżu nie było żadnych strażników. Belasco po mnie wrócił. W milczeniu pomógł mi wstać, otoczył mnie ramieniem i odprowadził do budynku. Nie odzywaliśmy się do siebie, dopóki nie stanąłem w otwartych drzwiach swojej celi. Wtedy cofnął rękę i popatrzył mi w oczy z poważną i pocieszającą miną.

– Cholera, Bentley – rzekł – chyba wiem, jak się czujesz. – Potem lekko poklepał mnie po ramieniu i odszedł do swojej celi.

Stałem, opierając się o zimne stalowe pręty, i patrzyłem, jak pozostali więźniowie, z mokrymi włosami i ubraniami, wracają do swoich cel. Chciałem objąć każdego z nich. Niezależnie od tego, czy znałem ich imiona, wszyscy byli moimi przyjaciółmi.



## Dzień sto dwudziesty pierwszy

Dzisiaj dostałem się do wnętrza budynku zabitego deskami.

Nie było to trudne. Podczas ćwiczeń po drugim śniadaniu przebywałem na żwirowym dziedzińcu pomiędzy budynkami. Zobaczyłem, jak dwa roboty-strażnicy wspinają się po schodach prowadzących do budynku, otwierają drzwi kluczem i wchodzi. Po chwili znów się pojawiły, dźwigając pudła, w jakich dostarcza się nam papier toaletowy. Poniosły je w stronę budynku sypialnego. Zostawiły otwarte drzwi. Wślizgnąłem się do środka.

Podłogi w budynku wykonano z permoplastiku, a ściany z jakiegoś innego materiału, brudnego i kruchego. Wewnątrz było bardzo mało światła, ponieważ okna zabito deskami. Szybko ruszyłem korytarzem, otwierając kolejne drzwi.

Niektóre pomieszczenia były puste; w innych na półkach piętrzyły się takie przedmioty, jak mydło, papierowe ręczniki, papier toaletowy czy tace na jedzenie. Zabrałem stertę papierowych ręczników, z myślą o swoim dzienniku. A potem zauważyłem niewyraźny, wyblakły napis zawieszony nad podwójnymi drzwiami na końcu korytarza. Była to jedyna tabliczka ze słowami, jaką widziałem, nie licząc tych w piwnicy biblioteki w Nowym Jorku.

Początkowo nie potrafiłem jej odczytać, gdyż słowa wyblakły i pokrył je brud. Ponadto w korytarzu było ciemno. Ale kiedy się zbliżyłem i wyteżyłem wzrok, udało mi się odszyfrować napis: „Biblioteka w lewym skrzydle”.

Niemal podskoczyłem, widząc słowo „biblioteka”. Wpatrywałem się nieruchomo w tabliczkę, czując, jak serce tłucze mi się w piersi.

W końcu przekręciłem gałkę i stwierdziłem, że drzwi są zamknięte. Szarpałem je, popychałem, wykręcałem gałkę na wszystkie strony, ale bezskutecznie. To było straszne.

Ogarnął mnie przytłaczający gniew i zacząłem walić w drzwi pięściami. Te jednak ani drgnęły i tylko rozboleły mnie ręce.

Wymknąłem się z budynku, kiedy usłyszałem, że strażnicy wracają i wchodzi do jednego ze składzików.

Muszę się dostać do tej biblioteki! Muszę znów zdobyć książki. Jeżeli nie będę mógł czytać, uczyć się i mieć dostępu do spraw, o których warto myśleć, to wolę dokonać samospalenia niż dalej żyć.

Niektóre z maszyn rolniczych są napędzane syntetyczną benzyną. Wiem, że mógłbym ją zdobyć i się podpalić.

Teraz przerwę pisanie i pooglądam telewizję.

## **Dzień sto trzydziesty drugi**

Od jedenastu dni jestem przygnębiony. Popołudniami, kiedy docieram do końca swojego zagonu, nie mam ochoty patrzeć na ocean, a wieczorami nie próbuję pisać. Podczas pracy staram się mieć pustkę w głowie – skupiam się na zjełczałym, gęstym smrodzie Białka 4.

Strażnicy nic nie mówią, ale nadal ich nienawidzę. To jedyne uczucie, jakie mi towarzyszy. Ich grube, powolne ciała i obwisłe twarze przypominają syntetyczne, gumiate rośliny, które odżywiam. Cytując „Nietolerancję”: „są obrzydliwością w moich oczach”.

Kiedy zażyję cztery albo pięć soporów, mogę z przyjemnością oglądać telewizję. Mam dobrej jakości teleścianę, która nigdy się nie psuje.

Już nie czuję się obolały. Mam silne i twarde mięśnie. Jestem opalony i mam jasne spojrzenie. Nabawiłem się odcisków na dłoniach i podeszwach, pracuję solidnie i nigdy więcej nie zostałem pobity. Jednakże powrócił smutek, który czuję w sercu. Napływał do mnie stopniowo, dzień po dniu, i teraz jestem bardziej zrozpaczony niż podczas pierwszych dni uwięzienia. Mam wrażenie, że wszystko nie ma sensu.

Zdarza się, że przez cały dzień nie myślę o Mary Lou. To bez sensu.

## **Dzień sto trzydziesty trzeci**

Widziałem, gdzie przechowują syntetyczną benzynę. W szopie z komputerami na skraju pola.

Wszyscy więźniowie mają elektroniczne zapalniczki do papierosów, żeby móc palić marihuanę.

## **Dzień sto trzydziesty szósty**

Zeszłej nocy Belasco znów przyszedł do mojej celi, a ja początkowo nie chciałem się z nim spotkać. Kiedy odkryłem, że drzwi celi są otwarte, ogarnęła mnie nerwowość. Nie chciałem wychodzić i nie chciałem, żeby ktokolwiek mnie odwiedzał.

Ale on i tak wszedł.

– Miło cię widzieć, Bentley.

Wbijałem wzrok w podłogę u swoich stóp. Telewizor był wyłączony, a ja od kilku godzin siedziałem nieruchomo na krawędzi łóżka.

Belasco przez chwilę milczał. Usłyszałem, że usiadł na moim krześle, ale nie podniosłem wzroku. Miałem wrażenie, że nie zdołam dźwignąć głowy.

W końcu Belasco znów się odezwał:

– Przez ostatnie kilka dni patrzyłem na ciebie na polu, Bentley. Wyglądasz jak robot. – Mówił cicho, łagodnie, ze współczuciem.

– Pewnie tak – zmusiłem się do odpowiedzi.

Znów zamilkliśmy.

– Wiem, jak to jest, Bentley. Zaczyna się myśleć o śmierci. Tak jak ludzie w miastach, z benzyną i zapalniczką. Tutaj mamy jeszcze ocean. Widziałem, jak niektórzy idą na całość. Do diabła, kiedyś sam się nad tym zastanawiałem: popłynąć jak najdalej i się nie oglądać...

Podniosłem na niego wzrok.

– Ty też się tak czułeś? – spytałem, zdumiony. – Wydajesz się taki silny.

Roześmiał się gorzko, a ja popatrzyłem na jego twarz.

– Cholera, jestem taki sam jak inni. Takie życie jest niewiele lepsze od śmierci. – Ponownie się zaśmiał, kręcąc głową. – A prawdę mówiąc, na

zewnątrz jest niewiele lepiej. Nie ma żadnej prawdziwej pracy, tylko te same bzdury, jakimi zajmujemy się tutaj. W internacie dla Robotników powiedzieli nam, że „praca uszlachetnia”. Gówno prawda. – Wyjął skręta z kieszeni i zapalił. – Przez pierwszy błękit po ukończeniu szkolenia kradłem karty kredytowe. Pół życia spędziłem za kratami. Podczas odsiadki pierwszych dwóch albo trzech wyroków chciałem się zabić, ale tego nie zrobiłem. Dzisiaj mam swoje koty i czasami się wymykam... – Nagle urwał. – Hej! Chcesz dostać Biff?

Wbiłem w niego wzrok.

– Jako moje własne... oswojone zwierzę?

– Jasne. Dlaczego nie? Mam jeszcze cztery inne. Czasami ciężko znaleźć dla nich żarcie, ale wszystkiego cię nauczę.

– Dziękuję, bardzo chętnie. Chciałbym mieć kota.

– Możemy teraz po nią pójść – zaproponował.

Bez trudu wyszedłem z celi. Kiedy znalazłem się za otwartymi drzwiami, odwróciłem się w stronę Belasca i stwierdziłem:

– Już czuję się lepiej.

Poklepał mnie po plecach.

– Od czego mamy przyjaciół?

Przez chwilę stałem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Aż w końcu złapałem go za przedramię. Coś mi przyszło do głowy.

– Chciałbym się dostać do pewnego budynku. Myślisz, że może być otwarty?

Wyszczrzył się.

– To mi się podoba – odparł. – Chodźmy sprawdzić.

Wyszliśmy z budynku. Poszło nam łatwo i nigdzie nie widzieliśmy strażników.

Bez problemu dostaliśmy się do opuszczonego budynku, ale wewnątrz było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć i potknęliśmy się o pudła stojące na korytarzu.

– Czasami w tych starych budynkach jest włącznik na ścianie – odezwał się Belasco.

Usłyszałem, jak go szuka po omacku, potyka się i klnie, aż wreszcie rozległo się pstryknięcie i w korytarzu zapaliła się duża lampa na suficie. Przez chwilę bałem się, że strażnicy coś zauważą, ale potem z ulgą przypomniałem sobie, że okna są zabite deskami.

Jednakże, kiedy znalazłem drzwi biblioteki, okazało się, że wciąż są zamknięte! Byłem już tak napięty, że miałem ochotę krzyknąć.

Belasco na mnie popatrzył.

– To tam chcesz się dostać? – spytał.

– Tak.

Nie dopytując, po co chcę wejść do zamkniętego pomieszczenia, zaczął się przyglądać zamkowi. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem; nawet nie wyglądał na elektroniczny.

Belasco cicho zagwizdał.

– Ojej! Ale starość.

Zaczął grzebać w kieszeniach i w końcu znalazł więzienną zapalniczkę. Położył ją na podłodze i kilka razy mocno uderzył obcasem, aż się rozpadła. Podniósł płataninę drutów, szkła i plastiku, a następnie wydobyl z niej kawałek sztywnego drutu długości mniej więcej mojego kciuka. Obserwowałem go w milczeniu, nie mając pojęcia, po co to robi.

Nachylił się nad zamkiem w drzwiach, wsunął końcówkę drutu do jakiejś szpary i zaczął nim poruszać. W zamku od czasu do czasu rozlegały się ciche kliknięcia. Belasco kilka razy zaklął pod nosem, ale nie przerywał. Kiedy miałem go zapytać, co próbuje zrobić, w zamku rozległ się jakiś cichszy dźwięk, a Belasco wyszczerzył się, chwycił gałkę i otworzył drzwi!

W środku było ciemno, ale Belasco znalazł przełącznik na ścianie i po chwili zapaliły się dwa słabe światła na suficie.

Rozejrzałem się z zapalem, mając nadzieję, że na ścianach znajdę półki pełne książek. Ale niczego tam nie było. Długo patrzyłem, czując, że robi mi się niedobrze. W pomieszczeniu stały stare drewniane stoły i krzesła, a pod jedną ze ścian spoczywało kilka niewielkich skrzynek; nigdzie nie widziałem półek, a na podziurawionych ścianach nawet nie wisały obrazy.

– Co się stało? – spytał Belasco.

Popatrzyłem na niego.

– Miałem nadzieję, że znajdę... książki.

– Książki? – Najwyraźniej nie znał tego słowa. – A co jest w tamtych skrzynkach?

Pokiwałem głową, bez wielkich nadziei, po czym poszedłem sprawdzić. W pierwszych dwóch skrzynkach, które otworzyłem, było pełno zardzewiałych łyżek – tak bardzo zardzewiałych, że połączyły się w jedną czerwonawą masę. Jednakże w trzeciej skrzynce znalazłem książki! Zacząłem je łapczywie wyjmować. Było ich dwanaście. A na dnie skrzynki leżały czyste arkusze papieru, który tylko lekko pożółkł.

Podniecony, zacząłem odczytywać tytuły. Największa z książek nazywała się „Prawo Karoliny Północnej, wydanie zaktualizowane: 1992”. Inna nosiła tytuł: „Stolarka dla przyjemności i zysku”, a trzecia, również bardzo gruba: „Przeminęło z wiatrem”. Czułem się cudownie, trzymając je w rękach, i myślałem o tym, co jest napisane w środku.

Belasco przypatrywał mi się z zaciekawieniem. W końcu przerwał ciszę:

– To właśnie są książki?

– Tak.

Wyjął jedną ze skrzynki i przesunął palcem po zakurzonej okładce.

– Nigdy nie słyszałem o czymś takim – przyznał.

Popatrzyłem na niego.

– Chodźmy po kota i zanieśmy je do mojej celi – zaproponowałem.

– Jasne, pomogę ci.

Zabraliśmy Biff i przenieśliśmy książki bez żadnych kłopotów.

Jest już bardzo późno i Belasco wrócił do swojej celi. Przerwę pisanie i przejrzę swoje książki. Schowałem je pomiędzy łóżkiem wodnym a ścianą, niedaleko pośłania Biff.

## **Dzień sto strzydziesty dziewięty**

Jestem bardzo zmęczony, ponieważ czytałem przez prawie całą noc, a w dzień musiałem pracować. Ale doświadczyłem niezwykłych emocji!

Mój zmęczony umysł przez cały dzień był zajęty. Mam tyle nowych tematów do rozmyślań.

Oto lista moich nowych książek:

Prawo Karoliny Północnej, wydanie poprawione: 1992

Stolarka dla przyjemności i zysku

Przeminęło z wiatrem

Biblia

Obsługa i naprawa robotów według Audela

Słownik języka angielskiego

Przyczyny spadku liczebności populacji

Europa w osiemnastym i dziewiętnastym wieku

Przewodnik po wybrzeżu Karoliny

Krótką historia Stanów Zjednoczonych

Potrawy z ryb i owoców morza: Urządzamy przyjęcie!

Sztuka tańca

Czytałem na zmianę książki historyczne, sprawdzając nieznanne wyrazy w słowniku. Odkąd znam alfabet, korzystanie ze słownika jest przyjemnością.

Nie rozumiem wielu rzeczy w książkach historycznych i trudno jest mi przyjąć fakt, że kiedyś na świecie żyło tak wielu ludzi. W książce o Europie znajdują się zdjęcia Paryża, Berlina i Londynu, a rozmiary budynków i liczba ludzi wprawiają mnie w osłupienie.

Biff czasami wskakuje mi na kolana, kiedy czytam, i tam zasypia. Lubię, kiedy to robi.

## **Dzień sto czterdziesty dziewiąty**

Od dziesięciu dni spędzam każdą wolną chwilę na czytaniu. Nikt mnie nie niepokoi; strażnikom albo to nie przeszkadza, albo – co bardziej

prawdopodobne – ich programowanie nie uwzględnia takiego zjawiska. Zabieram ze sobą książki nawet na grupowe spotkania społeczności i nikt nie zwraca uwagi na to, że czytam podczas projekcji filmów.

Moja więzienna koszula – już nieco wyblakła – ma duże kieszenie, więc zawsze noszę w niej mniejsze książki. „Krótka historia Stanów Zjednoczonych” oraz „Przyczyny spadku liczebności populacji” mają niewielkie rozmiary, więc wygodnie się tam mieszczą. Czytam także podczas pięciominutowych przerw w fabryce butów.

Pierwsze zdanie „Przyczyn spadku liczebności populacji” brzmi: „W ciągu pierwszych trzydziestu lat XXI wieku liczebność populacji Ziemi zmniejszyła się o połowę i wciąż maleje”. Czytanie takich rzeczy, dotyczących natury ludzkiego życia i dawnych czasów, fascynuje mnie z powodów, których sam dobrze nie rozumiem.

Nie wiem, jak dawno temu był dwudziesty pierwszy wiek, chociaż rozumiem, że to nie tak odległe czasy jak wiek osiemnasty i dziewiętnasty, o których opowiada moja książka historyczna. W internacie nigdy nie uczono nas o „wiekach”; znam znaczenie tego słowa tylko ze słownika: to sposób podziału ludzkiej historii na okresy o długości stu lat, czyli dwustu żółci.

Podaję, że dwudziesty pierwszy wiek był dawno temu. W książce na przykład w ogóle nie wspomina się o robotach.

W „Obsłudze i naprawie robotów według Audela” znajduje się data 2135, a na podstawie swoich lektur wiem, że to w dwudziestym drugim wieku.

„Biblia” zaczyna się słowami: „Na początku Bóg stworzył Niebo i Ziemię”. Nie podaje, w którym wieku był ten „początek” ani kim jest bądź był „Bóg”. Nie jestem pewien, czy „Biblia” to książka historyczna, poradnik czy poezja. Opisuje wielu dziwnych ludzi, którzy nie wydają się prawdziwi.

Roboty w książce Audela zostały pokazane na ilustracjach i wykresach. Wszystkie są bardzo proste, przeznaczone do podstawowych zadań, takich jak praca w polu czy protokołowanie.

„Przeminęło z wiatrem” przypomina niektóre filmy, jakie oglądałem. Sądzę, że to zmyślona historia. Opowiada o śmiesznych ludziach



w wielkich domach oraz o wojnie. Wątpię, żebym przeczytał ją do końca, ponieważ jest bardzo długa.

Wiele z pozostałych książek wydaje mi się całkowicie pozbawionych sensu. A jednak najwyraźniej pasują do jakiegoś większego, niejasno nakreślonego schematu.

Najbardziej mi się podoba dziwne uczucie włosów stających na karku, pojawiające się, gdy czytam niektóre zdania. Co ciekawe, często dotyczy to zdań dla mnie niejasnych bądź wywołujących smutek. Wciąż pamiętam następujące wersy, które przeczytałem w Nowym Jorku:

*Moje życie bez wagi czeka na wiatr śmierci,  
Jak ptasie piórko na wierzchu mej dłoni*[2].

Teraz przerwę pisanie i wrócę do czytania. Moje życie jest bardzo dziwne.

## **Dzień sto sześćdziesiąty dziewiąty**

Czytam bez przerwy, nie zażywam soporów ani nie palę marihuany. Czytam, dopóki nie padnę ze zmęczenia na łóżko i nie zalegnę z umysłem pełnym wirujących twarzy, ludzi i idei z przeszłości, które osaczają mnie i mącą mi w głowie, aż w końcu zasypiam wyczerpany.

Poza tym uczę się nowych słów. Trzydziestu albo czterdziestu dziennie.

Na długo przed pojawieniem się robotów i zasad Prywatności historia ludzkości miała brutalny i oszałamiający przebieg. Nie jestem pewien, co myśleć o niektórych nieżyjących ludziach i wielkich wydarzeniach z przeszłości. O Rewolucjach w Rosji i Francji, o Wielkiej Powodzi Ognia, Trzeciej Wojnie Światowej i Incydencie w Denver. W dzieciństwie uczono mnie, że wszystkie działania człowieka przed Drugim Wiekiem były brutalne i niszczycielskie, ponieważ ludzie nie szanowali praw jednostki, nigdy jednak nie zdradzono nam szczegółów. Nie znaleźmy historii;

jedyne, co wiedzieliśmy, jeśli w ogóle zaprzętało to nasze myśli, to że przed nami żyli inni ludzie, a my jesteśmy od nich lepsi. Ale nikogo nie zachęcano do myślenia o czymkolwiek poza własną osobą. „O nic nie pytaj; odpręż się”.

Z niedowierzaniem myślę o tych wszystkich ludziach, którzy wrzeszczeli i ginęli na polach bitew, żeby zaspokoić ambicje prezydentów i cesarzy. Albo o skupieniu w rękach niektórych dużych społeczności, takich jak Stany Zjednoczone Ameryki, olbrzymich bogactw i władzy, brakujących większości pozostałych ludzi.

A jednak, mimo wszystko, istnieli także dobrzy i szlachetni mężczyźni oraz kobiety. A wielu ludzi było szczęśliwych.

## **Dzień sto siedemdziesiąty drugi**

Tylna część „Biblii” opowiada o Jezusie Chrystusie. Jeden z poprzednich czytelników podkreślił niektóre zdania.

Jezus Chrystus zginął brutalną śmiercią, gdy był jeszcze młody, ale zanim umarł, powiedział i zrobił wiele niezwykłych rzeczy. Uzdrowił mnóstwo chorych ludzi, a do wielu innych dziwnie przemawiał. Niektóre z podkreślonych powiedzeń przypominają to, czego mnie nauczano na zajęciach z Pobożności. „Oto bowiem królestwo Boże pośród was jest” przypomina naukę poszukiwania spełnienia wyłącznie w swoim wnętrzu, poprzez narkotyki i Prywatność. Jednakże kolejne stwierdzenia brzmią zgoła inaczej. Jednym z przykładów są słowa: „Abyście się wzajemnie miłowali”. Innym, niezwykle mocnym: „Ja jestem drogą i prawdą i życiem”; kolejnym zaś: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię”.

Gdyby ktoś przyszedł do mnie i stwierdził: „Ja jestem drogą i prawdą i życiem”, z całych sił chciałbym mu uwierzyć. Pragnę tych trzech rzeczy: drogi, prawdy i życia.

Z tego, co zrozumiałem, Jezus twierdził, że jest synem Boga, który podobno stworzył Niebo i Ziemię. To mnie wprawia w zakłopotanie i czyni Jezusa mało wiarygodnym. Chociaż wygląda na to, że wiedział rzeczy, których inni nie wiedzieli, i nie był głupawą postacią, jak te w „Przeminęło z wiatrem”, ani morderczo ambitną, jak amerykańscy prezydenci.

Kimkolwiek Jezus był, można go nazwać „wielkim człowiekiem”. Nie jestem pewien, czy podoba mi się idea „wielkich ludzi”. Napełnia mnie niepokojem, gdyż „wielcy ludzie” często miewają krwawe plany dla ludzkości.

Mam wrażenie, że moje umiejętności pisania rosną. Znam coraz więcej słów, a budowanie zdań przychodzi mi z większą łatwością.

## **Dzień sto siedemdziesiąty siódmy**

Przeczytałem wszystkie swoje książki poza „Przeminęło z wiatrem” oraz „Sztuką tańca”, i chcę więcej. Pięć nocy temu drzwi znów stanęły otworem, więc razem z Belasco wróciliśmy do opuszczonego budynku i dokładnie go przeszukaliśmy, ale nie znaleźliśmy kolejnych książek.

Muszę zdobyć coś nowego do czytania! Kiedy myślę o tych wszystkich książkach w piwnicy biblioteki w Nowym Jorku, pragnę tam wrócić.

W Nowym Jorku oglądałem kilka filmów, w których pokazywano ucieczkę z więzienia. Strażnicy zawsze byli w nich ludźmi, i to bardzo czujnymi, podczas gdy nas pilnują tylko durne roboty.

Jednakże nosimy te metalowe bransolety, których nie da się wyłączyć na dłużej niż pół dnia. Poza tym, nawet gdybym uciekł, jak miałbym się dostać do Nowego Jorku?

W przewodniku po wybrzeżu Karoliny znajduje się mapa tak zwanego Wschodniego Wybrzeża; widnieją na niej Karolina Północna i Południowa, a także Nowy Jork. Gdybym powędrował plażą, mając ocean po prawej stronie, dotarłbym do Nowego Jorku. Ale nie mam pojęcia, jak to daleko.

„Potrawy z ryb i owoców morza” uczą znajdowania nad morzem małży i innych jadalnych stworzeń. Mógłbym się żywić w ten sposób, gdybym uciekł.

Mógłbym także przepisać ten dziennik drobniejszym pismem na cienki papier, który znalazłem w skrzynce z książkami, i zabrać go ze sobą w kieszeni. Ale nie zdołałbym wziąć wszystkich książek.

Poza tym nie znam sposobu na usunięcie bransolet. Chyba że dałoby się je jakoś przeciąć.

### **Dzień sto siedemdziesiąty ósmy**

W fabryce butów stoi bardzo duża maszyna do przecinania arkuszy plastiku, z których wyrabia się buty. Ma lśniące ostrze z mocnej stali, jednym uderzeniem przecinające około dwudziestu arkuszy wytrzymałego plastiku. Maszynę pilnuje robot-strażnik, a żadnemu człowiekowi nie wolno się do niej zbliżać. Zauważyłem jednak, że strażnik czasami sprawia wrażenie uśpionego; możliwe, że to stary robot, któremu przydzielono proste zadanie stania obok maszyny.

Gdybym wykorzystał chwilę, kiedy robot jest uśpiony, podszedł do maszyny i ustawił dłonie we właściwym miejscu, nóż być może zdołałby przeciąć bransolety.

Gdybym jednak popełnił błąd, straciłbym dłonie. Albo ostrze nie zdołałoby przeciąć metalu, zaczepiło o niego i wykręciło mi ręce ze stawów.

To zbyt przerażające. Nie będę więcej o tym myślał.

### **Dzień sto osiemdziesiąty**

W „Przyczynach spadku liczebności populacji” znalazłem następującą ciekawą informację dotyczącą liczby ludzi na świecie:

Współcześni demografowie nie są zgodni co do przyczyn zmniejszenia liczby mieszkańców planety. Najczęściej wymienia się poniższe czynniki:

1. lęk przed przeludnieniem
2. udoskonalenie technik sterylizacji
3. zaniknięcie instytucji rodziny
4. powszechne zatroskanie „wewnętrznymi” doświadczeniami
5. strata zainteresowania dziećmi
6. powszechne pragnienie unikania odpowiedzialności.

Książka następnie analizuje każdy z tych czynników.

Nigdzie jednak nie wspomina się o sytuacji, w której w ogóle nie ma dzieci, a wszystko wskazuje na to, że właśnie tak wygląda świat. Podejrzewam, że dzieci całkowicie z niego zniknęły.

Kiedy wszyscy umrzemy, nikt nas nie zastąpi.

Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Mimo wszystko uważam, że pod wieloma względami byłoby czymś dobrym zostać ojcem dziecka Mary Lou. Chciałbym z nią mieszkać i założyć rodzinę – nawet jeśli zagroziłoby to mojej Indywidualności.

A zresztą, po co mi moja Indywidualność? Czy rzeczywiście jest święta, czy tylko tak mi wpojono, ponieważ ktoś w ten sposób zaprogramował roboty, które mnie nauczały?

## **Dzień sto osiemdziesiąty czwarty**

Dzisiaj zebrano Białko 4. Kiedy wyszliśmy na pole, znajdowały się tam dwie olbrzymie żółte maszyny, które hałaśliwie jeździły wzdłuż zagonów niczym gigantyczne myślobusy, wzbijając w powietrze kłęby pyłu. Zbierały dojrzałe rośliny po dwadzieścia albo trzydzieści sztuk naraz i wrzucały je do zsypani, gdzie miały zostać zmiażdżone, by następnie zrobić z nich sojowe batoniki i syntetyczne płatki białkowe.

Trzymaliśmy się z daleka ze względu na smród, znacznie gorszy niż zazwyczaj, w milczeniu obserwując maszyny.

Wreszcie ktoś przerwał ciszę. To był Belasco, który stwierdził ponuro:

– Minął kolejny sezon pracy, chłopcy.

Nikt nic więcej nie powiedział. „Kolejny sezon pracy”. Rozejrzałem się, po raz pierwszy od tygodni dokładnie się wszystkiemu przyglądając. Drzewa na wzgórzach za więzieniem straciły liście. Na skórze czułem chłód oraz mrowienie, gdy wznosiłem wzrok ku blademu błękitowi nieba. Na skraju wzgórz krążyło zgodnie ogromne stado ptaków.

Wtedy postanowiłem, że muszę uciec z więzienia.

---

2 T.S. Eliot, „Pieśń dla Symeona”, przełożył Krzysztof Boczkowski.

## SPOFFORTH

Nie miała ładnej twarzy, ale jak zwykle przyciągała jego wystraszony wzrok. Równie wysoka jak on, stała na mokrym błocie nad brzegiem stawu, ale jej białe stopy wcale się nie zapadały, miała zaskoczoną minę i napięte ręce, które lekko drżały pod długą suknią, gdy podawała mu przedmiot. Nigdy nie potrafił dostrzec, co to takiego, niezależnie od tego, jak bardzo wyteżał wzrok z odległości czterech albo pięciu stóp. Wpatrywał się w to, co trzymała w wyciągniętej ręce, aż w końcu ze smutkiem i poczuciem porażki opuszczał wzrok. Błoto pokrywało mu białe kostki i nie mógł się ruszyć. Czuł, że ona także tkwi w miejscu. Spojrzał na nią. Wciąż trzymała przedmiot, na którym nie potrafił skupić wzroku. Próbował się do niej odezwać, spytać, co chce mu dać, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Coraz bardziej się bał. Aż w końcu się obudził.

Tak naprawdę od początku wiedział, że to sen. Zawsze tak było. A później, kiedy siedział na krawędzi wąskiego łóżka w swoim mieszkaniu, jak zwykle rozmyślał o kobiecie ze snu, a potem o czarnowłosej dziewczynie w czerwonym płaszczu. Nigdy w swoim długim życiu o niej nie śnił; zawsze widział tylko kobietę w sukni – sen z drugiej ręki przez pomyłkę zaczerpnięty z życia, którego nie przeżył i o którym niemal nic nie wiedział.

Widział kilka prawdziwych kobiet, które ją przypominały. Jedną z nich była Mary Borne o jasnym, silnym spojrzeniu i solidnej postawie, chociaż sprawiała wrażenie znacznie silniejszej i bardziej dostojnej niż kobieta we śnie.

Przez lata czuł, że jeśli uda mu się znaleźć kobietę taką jak ona i z nią zamieszkać, być może zdoła odnaleźć klucz do innego życia, które wiodła zawarta w nim świadomość – życia osoby, której tożsamość skopiowano, żeby stworzyć jego mózg. Ale kiedy wreszcie do tego doprowadził, nie znalazł żadnego klucza.

Sen, który nawiedzał go co osiem albo dziesięć dni, zawsze wywoływał niepokój, a Spofforth nigdy nie przywykł do lęku, jaki wtedy odczuwał, chociaż zaakceptował go jako część swojego życia. Czasami miewał też inne sny, odnoszące się do jego własnych wspomnień. Pojawiały się także takie, których tematyki nie rozpoznawał – jedne dotyczyły łowienia ryb, a inne jakiegoś zniszczonego pianina.

Wstał z łóżka i ciężkim krokiem podszedł do okna. W oddali, wyraźnie widoczny w bladym świetle wczesnego poranka i wyższy od wszystkiego, wznosił się Empire State Building, nagrobek miasta Nowy Jork.



## BENTLEY

Bez trudu znalazłem celę Belasco, gdyż wcześniej widziałem, jak do niej idzie, żeby przynieść Biff. Kiedy pchnąłem otwarte drzwi i wszedłem, Belasco leżał na swoim pościeliu, głaszcząc pomarańczowego kota. Miał wyłączony telewizor. Trzy kolejne koty spały jeden na drugim w kącie. Jedną ze ścian pokrywały fotografie nagich kobiet, a na pozostałych wisiały zdjęcia drzew, pól i oceanu.

W celi stał fotel obity zielonym materiałem oraz lampa – jedno i drugie z pewnością zdobyte nielegalnie. Gdyby Belasco potrafił czytać, miałby ku temu lepsze warunki ode mnie.

Nie usiadłem. Byłem zbyt pobudzony.

Belasco podniósł na mnie zaskoczone spojrzenie.

– Dlaczego wyszedłeś ze swojej celi, Bentley?

– Znów drzwi były otwarte. – Zignorowałem zasady Przymusowej Grzeczności i popatrzyłem mu w oczy. – Chciałem się z tobą zobaczyć.

Usiadł na łóżku i delikatnie upuścił kota na podłogę. Zwierzak się przeciągnął, a następnie dołączył do swoich towarzyszy w kącie celi.

– Wyglądasz na zmartwionego – stwierdził Belasco.

Nie spuszczałem z niego wzroku.

– Boję się, postanowiłem uciec.

Popatrzył na mnie i chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał.

– Jak? – spytał wreszcie.

– Tamto wielkie ostrze w fabryce butów. Myślę, że może to przeciąć. – Pokazałem mu bransolety.

Pokręcił głową i cicho zagwizdał.

– Jezu! A jeśli nie trafisz?

– Muszę się stąd wydostać. Chcesz iść ze mną?

Przyglądał mi się przez długą chwilę.

– Nie – odparł w końcu, po czym wstał z łóżka. – Bycie na zewnątrz nie jest dla mnie ważne. Już nie. Poza tym nie odważyłbym się podłożyć rąk pod tamto ostrze. – Zaczął szukać skřęta w kieszeni. – Jesteś pewien, że tobie wystarczy odwagi?

Westchnąłem, a potem usiadłem w fotelu i przez chwilę wpatrywałem się w swoje kajdany. Były teraz nieco luźniejsze. Wyszczuplałem od pracy na polu.

– Nie wiem. Nie dowiem się, dopóki nie spróbuję.

Zapalił skřęta i pokiwał głową.

– Jeżeli się wydostaniesz, to co będziesz jadł? Więzienie jest bardzo oddalone od jakiejkolwiek cywilizacji.

– Będę zbierał małże na plaży. Może napotkam pola, na których rośnie coś jadalnego...

– Daj spokój, Bentley. Tak się nie da żyć. A jeśli nie znajdziesz żadnych małży? Przecież jest zima. Lepiej zaczekać do wiosny.

Popatrzyłem na niego. Mówił z sensem. Ale wiedziałem, że nie mogę czekać do wiosny.

– Nie – odparłem. – Uciekam jutro.

Pokręcił głową.

– No dobrze, dobrze. – Potem wstał, ściągnął narzutę i sięgnął pod łóżko. Wysunął duże kartonowe pudełko i je otworzył. Wewnątrz znajdowały się opakowania z ciastkami i chlebem oraz sojowe batony, wszystko owinięte w przezroczystą folię. – Zabierz tyle, ile zdołasz.

– Nie chcę...

– Zabierz – przerwał mi w pół słowa. – Mogę zdobyć więcej. Ale w czymś musisz to wszystko nieść. – Przez chwilę się zastanawiał, aż wreszcie podszedł do drzwi i zawołał: – Larsen! Chodź tutaj!

Wkrótce do celi wszedł niski mężczyzna, którego znałem z pola.

– Larsen, potrzebuję plecaka – oznajmił Belasco.

Larsen zmierzył go wzrokiem.

– To mnóstwo roboty – odrzekł w końcu. – Dużo szycia. Poza tym trzeba zdobyć płótno i rurki na ramę...

– Masz już plecak w swojej celi, ten, który zrobiłeś ze spodni. Widziałem go, kiedy graliśmy w pokera podczas awarii robotów.

– Do diabła, nie mogę ci go oddać – zaprotestował Larsen. – Będę go potrzebował podczas ucieczki.

– Gówny prawda – odparł Belasco. – Nigdzie się nie wybierasz. Graliśmy w pokera trzy albo cztery zółcie temu. Zresztą, jak zamierzasz się pozbyć bransolet? Zębami?

– Mógłbym użyć pilnika...

– To też gówny prawda. Może i roboty nieskutecznie zarządzają tym więzieniem, ale nie są aż takie głupie. Nie ma tutaj żadnych podręcznych narzędzi, którymi można by przeciąć bransolety, i doskonale o tym wiesz.

– Więc jak ty się wydostaniesz?

– Nie ja, tylko Bentley. – Belasco położył mi dłoń na ramieniu. – Spróbuje użyć wielkiego ostrza w fabryce butów.

Larsen wbił we mnie wzrok.

– Co za kretyński pomysł.

– To jego sprawa, Larsen – odparł Belasco. – Dasz mu plecak?

Larsen przez chwilę się zastanawiał.

– Co za niego dostanę? – spytał w końcu.

– Dwa obrazki z mojej ściany. Dowolne, które wybierzesz.

Larsen popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

– I kota?

Belasco zmarszczył czoło.

– Cholera... No dobrze. Czarnego.

– Pomarańczowego – odparł Larsen.

Belasco pokręcił głową ze znużeniem.

– Przynieś plecak.

Larsen tak zrobił, a Belasco nappełnił plecak jedzeniem oraz pokazał mi, jak mogę w nim przenosić Biff, gdyby okazało się to konieczne.

\* \* \*

Bez soporów nie mogłem zasnąć w nocy, ale nie chciałem odczuwać rano następstw ich zażycia. Nie dawały mi spokoju myśli, że to, co planuję zrobić w fabryce butów, nie tylko narazi mnie na poważne zranienie, ale także zmusi do surowej walki o przetrwanie podczas zimowej wędrówki przez nieznanymi miejsca. Nie byłem gotowy na te wyzwania, nie licząc lektury cienkiej książeczki o przyrządzaniu owoców morza. Nic w mojej dotychczasowej edukacji – głupiej edukacji nastawionej na nienawiść do życia – nie przygotowało mnie na to, co zamierzałem zrobić.

Jakaś część mnie podpowiadała, że powinienem poczekać. Poczekać do wiosny, poczekać, aż mi powiedzą, że odsiedziałem cały wyrok. Życie w więzieniu tak naprawdę nie było gorsze od życia w internacie dla Myślicieli, a gdybym nauczył się być taki jak Belasco, mógłbym się tutaj nieźle urządzać. Kiedy już zrozumiałem, jak uniknąć pobicia przez strażników, po prostu schodząc im z drogi, okazało się, że w zakładzie nie obowiązuje prawie żadna dyscyplina. Po wynalezieniu metalowych bransoletek, do prowadzenia więzienia zaczęto podchodzić ze znacznie większą swobodą. Wszędzie było pełno marihuany, a do jedzenia i pracy można było przywyknąć. Oprócz tego miałem telewizję, a także Biff, swoją kotkę...

Ale to była tylko część mnie. Inny, głębiej ukryty głos, podpowiadał: „Musisz się stąd wydostać”, a ja wiedziałem, że powinienem go posłuchać, chociaż mnie to przerażało.

Zaszczepiono mi zasadę: „Jeśli masz wątpliwości, daj sobie spokój”, ale musiałem ją odrzucić. Jeżeli moje dalsze życie miało być cokolwiek warte, musiałem uciec.

Za każdym razem, gdy w wyobraźni widziałem potężny nóż albo lodowate, puste plaże, przypominałem sobie, jak Mary Lou rzuciła kamieniem w terrarium pytona. Dzięki temu jakoś zniosłem samotną noc w swojej celi.

Rano założyłem plecak i poszedłem na śniadanie. Zjadłem płatki białkowe oraz czarne pieczywo, cały czas mając go na plecach. Żaden ze

strażników nie zwrócił na to uwagi.

Po śniadaniu zobaczyłem, że Belasco podchodzi do mojego stolika, chociaż nie wolno nam rozmawiać podczas posiłków.

– Proszę, Bentley – rzekł. – Zjedz to w drodze do fabryki. – Podał mi swój kawałek pieczywa, znacznie większy od mojego.

– Naruszenie Prywatności! – zawołał jeden ze strażników z drugiej strony sali, ale go zignorowałem.

– Dziękuję – odpowiedziałem, a następnie wyciągnąłem do niego rękę, tak jak robili to mężczyźni w filmach. – Żegnaj, Belasco.

Zrozumiał ten gest i mocno uściśnął moją dłoń, patrząc mi w oczy.

– Żegnaj, Bentley. Myślę, że dobrze robisz.

Pokiwałem głową, odwzajemniłem uścisk, a potem odwróciłem się i odszedłem.

Kiedy wszedłem do fabryki razem z resztą swojej zmiany, nóż już pracował. Przystanąłem, czekając, aż pozostali mnie ominą, po czym przez chwilę mu się przypatrywałem. Wyglądał przerażająco i od samego patrzenia poczułem skurcz w żołądku, a ręce zaczęły mi się trząść.

Nóż miał długość nogi człowieka i był od niej szerszy. Wykonano go ze srebrzystoszarej twardej stali; miał zakrzywione ostrze, tak ostre, że niemal bezgłośnie przecinało jak gilotyna dwadzieścia warstw grubego polimerycznego materiału, z którego wyrabiano buty. Materiał był podawany za pomocą transportera taśmowego, a następnie przytrzymywany przez metalowe uchwyty na czymś w rodzaju kowadła. Ostrze opadało na stertę materiału z wysokości pięciu stóp i bezszelestnie się w niej zagłębiało, a następnie cofało. Widziałem błysk na krawędzi ostrza, gdy znajdowało się w najwyższej pozycji, i zastanawiałem się, co by się stało, gdyby dotknęło moich nadgarstków. Skąd miałem wiedzieć, gdzie ułożyć ręce? A nawet jeśli uda mi się z jedną, będę musiał to powtórzyć z drugą. Miałem wrażenie, że to niemożliwe. Kiedy tak stałem, czułem, jak zalewa mnie fala myśli: „Wykrwawię się na śmierć. Krew tryśnie mi z nadgarstków jak fontanna...”.

A potem powiedziałem na głos:

– I co z tego? Nie mam niczego do stracenia.

Przepchnąłem się pomiędzy pozostałymi mężczyznami, którzy zajmowali miejsca przy linii produkcyjnej, i podszedłem do maszyny. Jedyne robot w pomieszczeniu pilnował ostrza. Stał z rękami skrzyżowanymi na potężnej piersi i pustym spojrzeniem. Zbliżyłem się do niego. Przeniósł na mnie wzrok, ale wciąż się nie ruszał i się nie odzywał.

Lśniące ostrze opadło ze straszliwą szybkością. Patrzyłem na nie jak zahipnotyzowany. Tym razem usłyszałem cichy syk, z jakim przecięło materiał. Włożyłem ręce do kieszeni, żeby powstrzymać ich drzenie.

Popatrzyłem na transporter, gdzie automatyczne chwytaki wpychały pokrojony materiał do zsypani, żeby mógł zostać zabrany do dalszego przycięcia. Nagle zobaczyłem coś, od czego serce jeszcze szybciej mi zabiło: ciemną kreskę na kowadle w miejscu, w którym dotykała go krawędź ostrza, zapewne od wielu błękitów i żółci. Pokazywała dokładnie, gdzie opadnie ostrze!

Wtedy wymyśliłem, jak to zrobię. Nie tracąc czasu i nie ryzykując, że powstrzyma mnie strach, ruszyłem naprzód.

Kolejna sterta materiału została przekrojona, ale zanim mechaniczne chwytaki zepchnęły ją z kowadła, zabrałem garść przyciętych fragmentów, zrównując ich krawędzie. Chwytnak zabrał pozostałe kawałki i na miejscu znalazła się nowa sterta materiału. Miałem kilka chwil, zanim ostrze opadnie. Nie podnosząc na nie wzroku, zepchnąłem nowy materiał na podłogę.

Kątem oka natychmiast zauważyłem, że robot się poruszył. Opuścił ręce. Zignorowałem go i położyłem stertę już przyciętych kawałków na kowadle, dopasowując ich krawędzie do cienkiej kreski. Następnie zaczepiłem druczany hak, który sam wykonałem, o bransoletkę na lewym nadgarstku, zacisnąłem dłoń i dopiero wtedy podniosłem wzrok. Ciężkie ostrze wisiało nade mną nieruchomo. Od dołu jego krawędź była cienka jak włos.

Powstrzymałem drzenie i postarałem się wyzbyć wszelkich myśli. Jak najszybciej oparłem knykcie na przenośniku taśmowym, mniej więcej cal od cienkiej kreski, a następnie pociągnąłem bransoletkę za pomocą haka utrzymanego w prawej dłoni, opierając ją o stertę materiału. Pomiędzy

moim nadgarstkiem a metalem bransoletki powstała półcalowa luka. Odchyliłem głowę do tyłu, odsuwając ją od ostrza. Moje ciało było jak z kamienia.

Nagle robot krzyknął mi do ucha:

– Naruszenie przepisów! Naruszenie przepisów!

Nawet nie drgnąłem.

Ostrze opadło jak anioł zniszczenia albo pocisk, a ja poczułem powiew na twarzy. Wrzasnąłem z bólu.

Miałem zamknięte oczy, więc teraz zmusiłem się, żeby je otworzyć. Nie zobaczyłem krwi! Przecięty kawałek bransoletki leżał przede mną na przenośniku. Chwytaaki kierowane przez komputer już spychały go do pojemnika. Robot nie przestawał nawoływać. Popatrzyłem na niego i powiedziałem:

– Odwal się, robocie.

Wbił we mnie wzrok i znieruchomiał z opuszczonymi rękami.

Popatrzyłem na swój lewy nadgarstek. Bransoletka, w której pojawiła się luka, skręciła się i zacisnęła na ciele. Poluzowałem ją prawą ręką, ignorując wpatrującego się we mnie robota, a następnie napiąłem nadgarstek. Czuję ból, ale żadna kość nie była złamana. Zaczepiłem jedną krawędź przeciętej bransoletki o brzeg kowadła i rozwarłem ją, używając haka. Bransoletka powoli się otworzyła, tak że mogłem z niej wysunąć dłoń. Kiedy to robiłem, ostrze ponownie opadło, mijając mnie o niecałą stopę.

Wziąłem głęboki oddech, a następnie zaczepiłem hak o bransoletkę na prawym nadgarstku.

Zaczekałem na pojawienie się i przecięcie kolejnej sterty, a następnie znów zebrałem garść kawałków. Kiedy chciałem położyć prawą pięść na przenośniku, poczułem, że ktoś mocno chwyta mnie rękę. To był robot.

Bez zastanowienia opuściłem głowę i z całej siły uderzyłem robota w pierś. Rozluźnił chwyt i zatoczył się na pas, ale zaraz ponownie ruszył do przodu. Wziąłem zamach i kopnąłem go w brzuch. Miałem na nogach ciężkie więzienne buty i włożyłem w to uderzenie całą siłę, jaką dał moim nogom sezon pracy na polu. Robot bezgłośnie runął na ziemię, ale już po chwili zaczął się niezgrabnie podnosić.

Odwróciłem się do niego plecami i podniosłem wzrok. Ostrze właśnie wracało do pozycji oczekiwania. Za sobą usłyszałem głosy więźniów, a następnie wołanie robota:

– Naruszenie przepisów! Naruszenie przepisów!

Nie odwracając się, położyłem prawy nadgarstek pod ostrzem, odchyliłem do tyłu głowę, starając się nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby robot chwycił mnie za rękę w chwili opadania ostrza.

Miałem wrażenie, że czekam całe wieki.

Aż wreszcie to się stało. Zobaczyłem błysk stali i poczułem podmuch. A także ból. Zanim wrzasnąłem, usłyszałem odgłos, który brzmiał jak trzask pękającego suchego patyka.

Otworzyłem oczy i spuściłem wzrok. Bransoletka została przecięta, ale moja dłoń była dziwnie wygięta i od razu zrozumiałem, co się stało. Złamałem nadgarstek.

Mimo wszystko nie czułem bólu. Dzwoniło mi w uszach i wciąż pamiętałem ból towarzyszący uderzeniu, ale teraz nic mi nie dokuczało. A mój umysł jeszcze nigdy nie pracował na tak wysokich obrotach.

Nagle przypomniałem sobie o robocie i popatrzyłem w stronę miejsca, w którym go przewróciłem.

Wciąż leżał na podłodze. Larsen i białowłosa mężczyzna siedzieli na nim, a Belasco stał z ciężkim kluczem francuskim w jednej dłoni i kotką Biff w drugiej.

Wbiłem w nich wzrok.

– Proszę – odezwał się z uśmiechem Belasco. – Zapomniałeś swojego kota.

Za pomocą haka zdjąłem drugą bransoletkę i schowałem ją do kieszeni. Potem podszedłem do Belasca i sprawną ręką wzięłem od niego Biff.

– Wiesz, co to jest temblak? – spytał Belasco.

Kiedy zabrałem kotkę, zaczął zdejmować koszulę, przekładając przy tym klucz z ręki do ręki, i nie spuszczał wzroku z nieruchomego robota.

– Temblak?

– Zaczekaj chwilę. – Zdjął koszulę i rozdarł ją na pół. Zawiązał supeł pomiędzy rękawem a połą i założył mi tak powstały pas materiału na szyję,



tuż powyżej uprząży plecaka, a następnie pokazał, jak umieścić prawą rękę w szerszej części koszuli. – Kiedy już się trochę oddalisz, zamocz nadgarstek w oceanie. Powtarzaj to od czasu do czasu. – Ścisnął mnie za ramię. – Odważny z ciebie sukinsyn.

– Dziękuję! – odpowiedziałem. – Dziękuję.

– Rusz dupę, Bentley – dodał.

Tak też zrobiłem.

\* \* \*

Oddaliłem się o kilka mil od więzienia; najpierw biegłem, a potem maszerowałem na północ, cały czas mając ocean po prawej stronie. Wkrótce nadgarstek porządnie mnie rozbolał. Zatrzymałem się i postawiłem na ziemi Biff, która kilka razy mnie zadrapała i głośno zamiauczała, ale w końcu się uspokoiła. Następnie położyłem się na plecach na skraju wody, ciężko oddychając ze zmęczenia i emocji, po czym umieściłem uszkodzony nadgarstek w płytkiej i lodowatej wodzie. Niektóre z zimowych fal obmywały mi bok. Biff zaczęła żałośnie miauczeć. Nic nie mówiłem ani się nie poruszałem, aż zimne wody przyplywu zbliżyły się i mnie zalały, w końcu zmuszając mnie do wstania. Nie pozbyłem się bólu, ale zimna woda go stłumiła. Nie wyzbyłem się także strachu przed czekającą mnie wędrówką. Jednak mimo wszystko moje serce przepelniała radość. Byłem wolnym człowiekiem.

Po raz pierwszy w całym swoim życiu byłem wolnym człowiekiem.

Podszedłem do brzegu, nabrałem nieco wody lewą dłonią, uniosłem ją do ust i się napiłem. Od razu zacisnęło mi się gardło, zakrztusiłem się i wyplułem resztę wody. Nie wiedziałem, że morska woda nie nadaje się do picia. Nikt mnie nie uprzedził.

Coś we mnie pękło i nagle się poddałem. Upadłem na piasek i zapłakałem, ogarnięty bólem oraz pragnieniem. To za wiele. To wszystko mnie przerosło.

Leżałem na zimnej, mokrej plaży, targany przejmującym wiatrem, moja prawa ręka pulsowała bólem, a w gardle paliło mnie od morskiej soli. Nie

miałem pojęcia, gdzie mogę znaleźć wodę. Nie wiedziałem nawet, gdzie zacząć jej szukać, a także jak znaleźć małże czy cokolwiek innego do jedzenia, gdy już skończą mi się skromne zapasy w plecaku.

Nagle się wyprostowałem. Miałem coś do picia! Przecież Belasco dał mi trzy puszki płynnego białka.

Zdjąłem plecak, odpiąłem guziki, które przyszył Larson, znalazłem jedną z puszek i ostrożnie ją otworzyłem. Wypiłem tylko kilka łyków, dałem trochę Biff, a potem zatkałem otwór w puszcze chustką. Odzyskałem nieco dobrego samopoczucia. Miałem co pić przez kilka dni; a do tej pory jakoś znajdę wodę. Wstałem i ruszyłem na północ. Biff trzymała się obok mnie, przede mną albo za mną. Po piasku na skraju wody było łatwo iść, więc utrzymywałem szybkie tempo, wymachując zdrową ręką.

Wkrótce zza chmur wyłoniło się słońce. Na plaży pojawiły się biegusy, nade mną zaczęły krążyć mewy, a w powietrzu unosiła się przyjemna, czysta woń oceanu. Było mi wygodnie z ręką na temblaku i chociaż ból wciąż mi dokuczał, gdy się na nim skupiałem, wiedziałem, że mogę go znieść. Czułem się gorzej podczas pierwszych dni w więzieniu, a przecież wytrzymałem – nawet stałem się dzięki temu silniejszy. Byłem pewien, że przetrwam.

Tamtej nocy spałem na piasku obok starego pnia, który leżał na wpół zakopany w miejscu, gdzie plażę zaczęła porastać trawa. Zbudowałem ognisko z kilku patyków wyrzuconych przez ocean i rozpałem je za pomocą więziennej zapalniczki, jak podpatrzyłem u Belasca, tamtego dnia, który wydawał mi się tak odległy. Siedziałem przy ogniu, opierając się o pień, i trzymałem Biff na kolanach, dopóki niebo nie pociemniało i nie pojawiły się niezwykle jasne gwiazdy. Wtedy położyłem się na piasku w swoim błękitnym więziennym swetrze, nakryłem kurtką i smacznie zasnąłem.

Obudziłem się o świcie. Ognisko zgasło, a ja byłem zmarznięty i zeszywniały. Złamany nadgarstek pulsował bólem, a drugi był obolały i sztywny w miejscu, w którym zacisnęła się na nim bransoletka. Jednakże długi sen pozwolił mi wypocząć, pomimo bólu dręczącego moje ciało. Poza tym, nie czułem strachu.

Biff zwinęła się w kłębek przy moim boku. Obudziła się razem ze mną.

A potem znalazłem małże na śniadanie! Nie miałem grabi, jakie widziałem na ilustracjach w książce, ale użyłem długiego kija, którym szukałem niewielkich pęcherzy na mokrym piasku w miejscach, gdzie małże wychylają szyje. Siedem albo osiem sztuk mi uciekło, zanim nabrałem takiej wprawy, że potrafiłem wyłuskać je z ubitego piasku, zanim zakopały się głębiej. Ale w końcu złapałem cztery – same duże okazy.

Przez chwilę miałem wrażenie, że nie da się ich otworzyć. Wyjąłem z kieszeni książkę – „Potrawy z ryb i owoców morza: Urządzamy przyjęcie!” – i poszukałem wskazówek, ale okazały się niezbyt pomocne. Na ilustracji przedstawiono specjalny nóż, którego używano do „wydobycia malucha z jego kryjówki”, ale ja go nie miałem. W więzieniu nie było żadnych ostrych noży. W końcu coś mi przyszło do głowy. Przypomniałem sobie, że po zdjęciu drugiej bransoletki schowałem do kieszeni jej dwa kawałki. Teraz wyjąłem większy z nich i na oczach Biff, która patrzyła na mnie bez zbytniego zainteresowania, za pomocą ostrej metalowej krawędzi otworzyłem swojego pierwszego małża. Trochę to trwało i kilkakrotnie niemal się skaleczyłem, ale w końcu mi się udało!

Zjadłem małża na surowo. Jeszcze nigdy wcześniej nie kosztowałem czegoś takiego. Był pyszny. Poza tym można się nim było nie tylko najeść, ale także napić, ponieważ w każdym małżu znajdowała się spora porcja płynu.

Tamtego dnia pokonałem wiele mil wzdłuż wybrzeża, wciąż nieco się obawiając pościgu. Jednakże nie widziałem ani nie słyszałem nikogo, kto by za mną podążał. Nie napotkałem także żadnych śladów ludzkiej obecności. Było zimno, a po południu przez chwilę padał drobny śnieg, ale moje więzienne ubranie było wystarczająco ciepłe, tak że nie musiałem się przejmować pogodą. Znalazłem kolejne małże, które zjadłem na drugie śniadanie razem z batonem sojowym, popijając całość płynnym białkiem. Biff bardzo polubiła mięczaki i z wielkim entuzjazmem wylizywała oraz wyjadała je z muszli. Ja sam wkrótce stałem się specjalistą od znajdowania ich i otwierania.

Od czasu do czasu oddalałem się od oceanu i szukałem wyżej położonego punktu, żeby rozejrzeć się za słodką wodą – jeziorem, rzeką albo rowem nawadniającym – ale niczego nie wypatrzyłem. Wiedziałem, że małe i płynne białko wkrótce przestaną mi wystarczać.

Tak to trwało całymi dniami; straciłem rachubę czasu. Nadgarstek stopniowo zaczął się goić, a pewnego wieczoru przy ognisku przeprowadziłem doświadczenie, którego udany wynik sprawił, że z większą pewnością siebie zacząłem patrzeć w przyszłość. Pod jedną ze skalnych półek niedaleko plaży znajdowała się znaczna ilość lodu i zmrożonego śniegu. Miałem w plecaku metalową więzienną miskę, którą zabrałem w celu przyrządzania posiłków z ryb i owoców morza. Podszedłem do lodu i za pomocą kawałka bransoletki odłupałem nieco do miski. Następnie ułożyłem niewielkie ognisko, czekałem, aż się wypali i postawiłem miskę na gorących węglach. Kiedy lód się rozpuścił, okazało się, że mam wodę do picia! Podzieliłem się nią z Biff. Następnie dołożyłem kilka patyków do ogniska, wkruszyłem więcej lodu do miski i wykopałem dwie garście mały. Wrzuciłem je do wrzącej wody, a po kilku minutach otrzymałem wyborną gorącą potrawkę.

Żyłem w ten sposób przez miesiąc, codziennie szukając schronienia na nocleg i racjonując jedzenie, które dał mi Belasco. W końcu jednak zapasy pożywienia się wyczerpały i musiałem się żywić samymi małżami – nie wiem, przez ile dni, gdyż nie prowadziłem wtedy dziennika – dopóki nie znalazłem na plaży zamrożonej ryby, którą ugotowałem. To zapewniło mi zmianę jadłospisu na dwa dni, ale ryba szybko się skończyła.

Biff złapała kilka nadmorskich ptaszków, a ja zdołałem jednego jej odebrać, ale od tamtej pory polowała w innym miejscu plaży. Byłoby miło zmienić ją w łownego kota, ja jednak nie miałem pojęcia, jak to zrobić.

Wiedziałem także, że w oceanie aż roi się od ryb, skorupiaków i innych smacznych jadalnych stworzeń, nie wiedziałem jednak, jak je wydobyć. W „Potrawach z ryb i owoców morza” wspominało o jagodach, korzeniach i ziemniakach, ale nie miałem do nich dostępu. Regularnie zapuszczałem się w głąb lądu w poszukiwaniu wody oraz pól takich, jakie znajdowały się w pobliżu więzienia, ale nie znalazłem niczego poza dziką, wyschniętą

trawą i chwastami. Nie wyglądało na to, by ta ziemia kiedykolwiek była uprawiana, i nie napotkałem żadnych śladów życia. Zastanawiałem się, czy to Incydent w Denver sprawił, że te tereny zostały „zdławione”, jak to opisano w moich książkach historycznych, czy może coś się wydarzyło podczas którejś z późniejszych wojen, po tym, jak ludzie utracili umiejętność czytania i pisania – coś, o czym nie wspominało w literaturze. Kiedy czytelnictwo i piśmiennictwo umarły, taki sam los spotkał historię.

Pod koniec tego okresu przetrwałem co najmniej dwadzieścia dni na samych małżach, a czasami nawet one okazywały się trudne do zdobycia. Budziłem się rano z metalicznym posmakiem w ustach i ściśniętym żołądkiem, a już po krótkim marszu musiałem się kłaść na piasku i odpoczywać. Swędziała mnie wysuszona skóra. Wiedziałem, że potrzebuję czegoś więcej w swoim jadłospisie, ale niczego nie miałem. Próbowałem podkraść się do śpiących albo odpoczywających mew, nigdy jednak nie udało mi się wystarczająco do nich zbliżyć. Kiedyś na polu porośniętym brązową trawą zauważyłem węża i rzuciłem się za nim w pogoń, ale miałem zbyt zmęczone nogi i zdołał odpełznąć. Padłem wycieńczony na ziemię; z węża mógłbym przyrządzić treściwą potrawkę. Czasami widziałem króliki, ale były dla mnie zdecydowanie za szybkie.

Czułem się coraz gorzej. Mój nadgarstek już się zagoił, chociaż wciąż był nieco wykrzywiony i sztywny, a podnoszenie Biff prawą ręką sprawiało mi ból. Teraz jednak zacząłem odczuwać potworne bóle głowy i dręczyło mnie silne pragnienie. Musiałem się często zatrzymywać, żeby rozpuścić nieco lodu, a czasami od razu wymiotowałem wypitą wodą. Pewnego wieczoru zwróciłem kolację i byłem zbyt słaby, żeby ugotować coś więcej. Zasnąłem z twarzą na piasku obok resztek ogniska, nawet nie chroniąc się przed niesprzyjającą pogodą.

Po przebudzeniu straszliwie dygotałem i miałem głowę mokłą od potu. Pokrywała mnie cienka warstwa śniegu, który wciąż na mnie padał. Niebo było ciemnoszare, a piasek wokół mnie zamarzał. Bolały mnie wszystkie stawy.

Próbowałem wstać, ale nie potrafiłem utrzymać się na nogach. W końcu udało mi się usiąść na plaży. Zacząłem się rozglądać w poszukiwaniu

drewna na ognisko, ale bezskutecznie. Poprzedniego wieczoru zebrałem wszystkie patyki w okolicy. Koniecznie potrzebowałem ognia.

Biff otarła się o moje biodro, cicho popiskując.

W internacie albo w więzieniu robot dałby mi Pigułkę Leczniczą i wkrótce bym wydobrzył, ale tutaj nie miałem żadnych lekarstw.

Siedziałem tak ponad godzinę, czekając, aż niebo pojaśnieje i zrobi się cieplej, lecz tak się nie stało. Niebo wciąż było bardzo ciemne i zerwał się lodowaty wiatr, który dmuchał mi śniegiem w twarz oraz sprawiał, że szczypały mnie policzki i oczy.

Wiedziałem, że jeśli będę dalej tak siedział albo się położę, to poczuję się jeszcze gorzej. Nie mogłem przestać myśleć o fragmencie wiersza T.S. Eliota:

*Moje życie bez wagi czeka na wiatr śmierci,  
Jak ptasie piórko na wierzchu mej dłoni.*

W końcu wypowiedziałem te wersy na głos, prosto w wiatr, najdonośniej jak potrafiłem. Wiedziałem, że jeśli nie wstanę, to zapewne umrę, moje wychudzone ciało objedzą mewy, a kości będą się toczyć po plaży, poruszane wiatrem i wodą. Nie miałem zamiaru do tego dopuścić.

Jęcząc cicho, dźwignąłem się na nogi, po czym upadłem na jedno kolano.

– Wstawaj! – zawołałem i ponownie się podniosłem.

Przez chwilę chwiałem się na nogach, ze zwieszoną głową, zbyt słaby, żeby utrzymać ją prosto. Zmagalem się z potężnym bólem i zawrotami głowy. Mimo wszystko wyprostowałem się i ruszyłem z miejsca. Kilka razy zatoczyłem się w fale i z powrotem na plażę.

Wreszcie znalazłem trochę drewna i, straszliwie dygocząc, rozpałem ognisko. Zachowałem jeden mocny i długi kij, żeby się nim podpierać.

W plecaku nie miałem już niczego poza miską. Wysunąłem z niego lekkie metalowe rurki, a następnie zdjąłem płaszcz oraz sweter i, trzęsąc się z zimna, zapiąłem na sobie dżinsowy materiał plecaka jak kamizelkę. Potem szybko włożyłem sweter oraz płaszcz i ogrzałem się przy ogniu.

Byłem teraz jeszcze lepiej osłonięty przed zimnem. Przydałyby mi się szal i czapka, ale urosła mi broda, dzięki czemu było mi cieplej w twarz i szyję. Mógłbym zabić i zjeść Biff, a z jej skóry zrobić nakrycie głowy, ale nie chciałem jej krzywdzić. Nie byłem już tą samą osobą, na jaką mnie wyszkolono. Już nie pragnąłem samotności, prywatności czy nawet niezależności. Potrzebowałem Biff. Niezależność nie była jedynie kwestią narkotyków i milczenia.

Udało mi się przywiązać miskę sznurkiem do ramy plecaka. Założyłem sobie ramę na plecy, wziąłem kij do podpierania i – wciąż trawiony gorączką i zawrotami głowy, ale już silniejszy – ruszyłem w dalszą wędrówkę pustą plażą na północ.

Wciąż padał śnieg i wraz z upływem dnia robiło się coraz zimniej. Dwukrotnie się zatrzymałem, żeby spróbować rozpalić ognisko, ale drewno było zbyt mokre, a wiatr zdmuchiwał płomień zapalniczki. Kiedy chciało mi się pić, mogłem tylko połykać śnieg. Piasek był zbyt zmrożony, żeby wykopywać małże. Powoli brnąłem naprzód, usiłując się nie przejmować.

Przed wieczorem dotarłem do miejsca, w którym plaża zakręcała, i na niskim urwisku oddalonym od brzegu zobaczyłem duży stary budynek o rozświetlonych oknach. Śnieg padał coraz szybciej. Perspektywa ciepłego schronienia dodała mi sił i pośpiesznie ruszyłem w stronę budynku, na wpół biegnąc, na wpół kuśtykając, aż wreszcie dotarłem do podnóża urwiska. Wtedy mój zapal zgasł. W górę nie prowadziły żadne schody – zbocze otaczały tylko sterty głazów, które stanowiły osłonę przed falami.

Przez chwilę zastanawiałem się, co zrobić, aż w końcu doszedłem do wniosku, że muszę się wspiąć na górę. Nie mogłem ryzykować noclegu na plaży, gdyż rano mógłbym być zbyt słaby i rozpalony, żeby się podnieść.

Zacząłem się wspinać, gramoląc się na jeden głaz, po czym odpoczywałem, a następnie powoli wciągałem się na kolejny. Biff najwyraźniej sądziła, że to zabawa, i z łatwością skakała po kamieniach, podczas gdy ja zmagalem się z bólem prawego nadgarstka, dotkliwym pragnieniem oraz szorstkimi głazami, które obcierały mi nogi i kolana. Niewątpliwie sprawiało mi to ogromny ból, ale o nim nie myślałem, tylko

wdrapywałem się po skałach, wiedząc, że na zaśnieżonej plaży może mnie czekać śmierć.

Dotarłem na szczyt i położyłem się tam, ciężko dysząc, a Biff się do mnie przytuliła. Pogłaskałem ją po łebku. Krwawiła mi podrapana dłoń, a na rękawie kurtki miałem długie rozcięcie. Jednak byłem cały.

Nie udało mi się wnieść na górę swojej laski, musiałem więc niemal doczołgać się do drzwi budynku. Dzięki Bogu, były otwarte. Otworzyłem je pchnięciem, po czym wpadłem w światło i ciepło.

Długo siedziałem na twardej podłodze, opierając się o drzwi, którymi wszedłem, i obejmując głowę dłońmi. Kręciło mi się w głowie i było mi niedobrze, ale nie marzłem.

Kiedy zawroty głowy osłabły, zacząłem się rozglądać.

Znajdowałem się w rozległym, jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu o wysokim suficie. Przede mną oraz po obu moich bokach stały ciężkie szare maszyny, a także ciągnął się przenośnik taśmowy, wszystko to obsługiwane przez odwrócone do mnie plecami roboty. Urządzenia prawie w ogóle nie hałasowały.

Pokrzepiony ciepłem panującym w olbrzymiej sali, zacząłem się rozglądać za wodą. Znalazłem ją niemal natychmiast. Jedna z maszyn była wyposażona w wiertło, które chłodzono drobną mgiełką rozpylaną z węża. Zużyta woda spływała cienką rynienką przed przenośnikiem i trafiała do odpływu w podłodze.

Robot, który beczynnie stał obok maszyny, zignorował mnie i ja również go zignorowałem. Uklęknąłem obok przenośnika, przytrzymałem złożone dłonie nad odpływem i łapałem ściekającą wodę. Była ciepła i nieco oleista, ale nadawała się do picia.

Kiedy już zaspokoilem pragnienie – Biff wciąż zlizywała wilgoć obok odpływu – jak najdokładniej umyłem ręce i twarz. Olej w wodzie złagodził podrażnienia skóry.

Poczułem się znacznie lepiej. Wstałem i zacząłem się uważniej rozglądać.

Zauważyłem, że w pomieszczeniu znajdują się trzy przenośniki taśmowe, biegnące wzdłuż wszystkich ścian pomieszczenia. Przesuwały



się na nich w równomiernym tempie jaskrawe stalowe tostery. Ostatnio widziałem takie urządzenia, gdy jako małe dziecko pełniłem dyżury kuchenne w internacie.

Tostery przesuwwały się na taśmociągach, gdzie maszyny składały je i podłączały kable. Zadanie niektórych maszyn polegało jedynie na przyspawaniu pojedynczej części. Każdą z maszyn obsługiwał robot Marki Dwa – powłóczący nogami android-imbecyl – który stał obok i obserwował jej działanie. Z olbrzymiej rolki na początku taśmy wysuwał się stalowy arkusz, a na drugim końcu pojawiały się gotowe tostery. Produkcja w nadmiernie oświetlonej, ogromnej sali toczyła się w błyskawicznym tempie. Maszyna niemal bezgłośnie wyginała i kształtowała metal, tworząc podstawową formę, do której dodawano kolejne wyprodukowane elementy. Kiedy tak stałem, wreszcie nieco rozgrzany, lecz zarazem na wpół zagłodzony, zacząłem się zastanawiać, co się stało z tosterami i dlaczego nie widziałem ich od trzydziestu lat. Za każdym razem, gdy miałem ochotę na tosta, nabijałem kromkę chleba na widelec i trzymałem nad otwartym ogniem. Chyba wszyscy tak robili.

Kiedy zbliżyłem się do końca taśmy, zauważyłem, co się dzieje. Stał tam robot Marki Trzy, ubrany w szary uniform. W odróżnieniu od pozostałych, poruszał się raczej zwinnie. Gdy docierał do niego ukończony toster, pstrykał przełącznikiem z boku urządzenia, tuż ponad niewielką baterią jądrową, a gdy nic się nie działo – żaden element grzewczy nie rozpalał się do czerwoności – wrzucał toster do dużego pojemnika na kółkach.

Tak jak wszystkie pozostałe roboty, całkowicie nie zwracał na mnie uwagi. Stałem, wciąż nieco oszołomiony ciepłem panującym w sali, i dość długo mu się przyglądałem. Zdejmował każdy zbliżający się toster z automatycznej linii produkcyjnej, pstrykał przełącznikiem, zaglądał do środka, stwierdzał, że urządzenie nie działa, a następnie wrzucał je do pojemnika, który stał tuż obok.

Robot miał okrągłą twarz i lekko wylupiaste oczy; nieco przypominał Petera Lorre'a, ale nie wyglądał tak inteligentnie. Podczas gdy stałem obok niego, pojemnik wypełnił się błyszczącymi nowymi tosterami, a robot,

widząc to, zawołał niskim, mechanicznym głosem: „Utylizacja!”, a następnie sięgnął pod taśmociąg i pociągnął za jakąś dźwignię.

Taśma się zatrzymała i roboty w szarych uniformach stanęły na baczność. Wszystkie, które widziałem, miały twarz Petera Lorre’a.

Pojemnik pełen wyrzuconych tosterów ruszył po podłodze. Musiałem pośpiesznie usunąć mu się z drogi. Szybko dotarł na drugą stronę sali, gdzie zaczynała się taśma produkcyjna, i zatrzymał się przed niewielkimi drzwiami. Drzwi się otworzyły i wyszedł przez nie robot, który zaczął wyjmować tostery z pojemnika i niezdarnie je przenosić. Zabierał je do małego pomieszczenia za drzwiami i wrzucał do zsydni, prowadzącej do maszyny podobnej do tej, jaką mieliśmy w więzieniu. Służyła ona do przetwarzania złomu w nową stal. Tostery ponownie zmieniano w arkusze metalu.

Fabryka stanowiła zamknięty układ. Niczego do niej nie dostarczano i nic jej nie opuszczało. Możliwe, że produkowała i utylizowała wadliwe tostery od stuleci. Jeżeli w pobliżu znajdowała się stacja naprawy robotów, głupie maszyny mogły tak trwać niemal w nieskończoność. Najwyraźniej nie potrzebowały żadnych nowych surowców.

Spędziłem tam noc, siedząc pod ścianą i starając się wyspać. Kiedy obudziłem się rano, światło dnia wpadało przez okna, a lampy przygasły. Tostery wciąż przesuwwały się po taśmie produkcyjnej w szarym blasku poranka, a roboty stały w tych samych miejscach co wieczorem. Byłem zeszywniały i umierałem z głodu.

Dobrze było znów przebywać w cieple, dlatego postanowiłem, że pozostanę w fabryce do końca zimy, pod warunkiem, że uda mi się znaleźć jedzenie. Wkrótce tak się stało. Tutejsze roboty były bardzo prymitywne, nieco przypominały te, które przedstawiono na wykresach w „Obsłudze i naprawie robotów według Audela”. Stworzono je na drodze selektywnego klonowania z żywej tkanki, potrzebowały więc pożywienia. Wkrótce po tym, jak się obudziłem, linia produkcyjna automatycznie się wyłączyła, a wszystkie roboty zgromadziły się jak stado owiec przed drzwiami pomieszczenia utylizacyjnego. Robot-inspektor, który zajmował miejsce na końcu taśmociągu, otworzył drzwi. Wewnątrz znajdowała się duża

szafa z trzema półkami. Na dwóch z nich stały wysokie sterty kartoników niewiele większych od pudełek z papierosami. Na trzeciej półce znajdowały się puszki z jakimś napojem.

Skręcało mnie z głodu, więc dopchnąłem się do szafy razem z robotami i dostałem karton z jedzeniem oraz puszkę.

Posiłek składał się z pozbawionego smaku batona sojowego, a napój był przeraźliwie słodki, jednak łapczywie je pochłonałem. Następnie, nieco lękliwie, otworzyłem szafę i zabrałem kolejne dziesięć kartoników i cztery puszki z napojem. Żaden z robotów nie zwrócił na to uwagi. Poczułem ogromną ulgę; zrozumiałem, że nie umrę z głodu.

Później odkryłem ogromną stertę nieużywanych kartonów do pakowania, pod taśmociągiem przy przeciwległej ścianie. Zabrałem cztery z nich i rozplaszczyłem je na podłodze w miejscu, w którym spędziłem noc. Uzyskałem całkiem wygodne posłanie – znacznie lepsze od zmrożonych plaż, na których dotychczas sypiałem.

Zatem miałem zapewnione utrzymanie. „Oto mój zimowy dom”, powtarzałem sobie, ale od początku w to nie wierzyłem, ponieważ, mimo że byłem chory, ta fabryka nie była moim domem. Nigdy w życiu nie mieszkałem w równie okropnym miejscu. Otaczała mnie bezustanna bezmyślna aktywność, marnotrawstwo czasu i energii, jakim były produkcja i utylizacja zasilanych bateriami tosterów. Durne roboty w szarych uniformach, parodia ludzkości, bezgłośnie snuły się wokół, nie zajmując się niczym konstruktywnym. Podczas pięciu dni pobytu w fabryce nie widziałem, by którykolwiek z robotów poza inspektorem cokolwiek robił. A nawet on tylko wrzucał tostery do pojemnika i mniej więcej raz na godzinę wołał „Utylizacja!”. No i dwa razy dziennie karmił pozostałych.

Po dwóch dniach przestał padać śnieg, a dzień później zrobiło się cieplej. Nappełniłem plecak jedzeniem i napojami, po czym opuściłem fabrykę. Była ciepłym, bezpiecznym miejscem pełnym zapasów, ale nie mogłem jej uznać za swój dom.

Zapakowałem do plecaka pięćdziesiąt batonów sojowych oraz trzydzieści pięć puszek i byłem gotowy do drogi, lecz przedtem

przyjrzałem się maszynom stojącym przy linii produkcyjnej, badając ich przeznaczenie. Wszystkie były zrobione z szarego metalu i dosyć duże, ale każdą zbudowano nieco inaczej. Jedna formowała obudowę tosterka z metalowych arkuszy, inna mocowała element grzewczy, trzecia instalowała baterię i tak dalej. Roboty, które stały przed każdą z maszyn, rzekomo je obsługując, nie zwracały na mnie uwagi.

W końcu znalazłem to, czego szukałem. Była to maszyna nieco mniejsza od innych, wyposażona w zsypanie, w której znajdowały się setki małych metalicznych mikroprocesorów. Powinny wypadać przez wąską szyjkę, żeby metalowe chwytaki mogły je montować w przesuwających się tosterach, ale jeden z nich utknął bokiem i zablokował wszystkie pozostałe. Przez chwilę na niego patrzyłem, rozmyślając o tym, ile energii poszło na marne przez ten jeden mały kawałek krzemu. Przypomniałem sobie, że toster w moim internacie się popsuł i od tamtej pory nigdy nie jedliśmy tostów.

Potem poruszyłem zsypanie dłonią, aż mikroprocesor się poluzował.

Mechaniczny chwytak złapał go i umieścił wewnątrz kolejnego tosterka, tuż poniżej włącznika na ścianie, a niewielki promień lasera błysnął i przyspawał go na miejscu.

Kilka chwil później inspektor na końcu linii produkcyjnej włączył toster, a wtedy element grzewczy zaśnił na czerwono. Robot nie okazał zdziwienia, tylko wyłączył urządzenie i schował je do pustego kartonu, a potem powtórzył cały proces.

Patrzyłem, jak napełnia karton dwudziestoma tosterami gotowymi do transportu. Nie miałem pojęcia, jak i dokąd zostaną dostarczone, ale byłem z siebie zadowolony.

Założyłem plecak, zabrałem Biff i wyszedłem.

## MARY LOU

Wczoraj w nocy nie mogłam zasnąć. Leżałam na łóżku co najmniej godzinę, rozmyślając o samotności na ulicach, o tym, że ludzie już ze sobą nie rozmawiają. Paul kiedyś pokazał mi film pod tytułem „Ostatni akord”. Była w nim długa scena przedstawiająca tak zwany „piknik”, podczas którego dziesięć albo dwanaście osób siedziało przy dużym stole na świeżym powietrzu, jedząc między innymi kolby kukurydzy oraz arbuzy i rozmawiając – po prostu rozmawiając, każdy z każdym. Wtedy nie zwróciłam na to większej uwagi, gdy siedziałam obok Paula przy jego biurku w niegustownie urządzonym pokoju w piwnicy biblioteki, lecz tamta scena zapadła mi w pamięć i od czasu do czasu do mnie powracała. Nigdy nie widziałam czegoś takiego w prawdziwym świecie – dużej grupy ludzi, którzy oddawali się tylko jedzeniu i rozmowie, ożywieni dyskusją na świeżym powietrzu, gdzie podmuchy wiatru delikatnie poruszały ich koszulami i bluzkami oraz włosami kobiet. Siedzieli z porządnym jedzeniem w rękach, jedli i rozmawiali ze sobą, jakby nie mieli niczego lepszego do roboty.

To był niemy film, a wtedy jeszcze nie potrafiłam odczytać słów na ekranie, więc nie miałam pojęcia, o czym rozmawiają. Ale to nie miało znaczenia. Kiedy wczoraj w nocy leżałam w łóżku, marzyłam, żeby uczestniczyć w takiej rozmowie, siedzieć przy drewnianym stole w starym czarno-białym filmie, zajadając kukurydzę prosto z kolby, i rozmawiać z innymi ludźmi.

W końcu wstałam z łóżka i poszłam do salonu, gdzie Bob siedział i wpatrywał się w sufit. Skinął mi głową, kiedy usiadłam na fotelu przy oknie, ale się nie odezwał.

Przeciągnęłam się i ziewnęłam.

– Co się stało z rozmowami? – spytałam. – Dlaczego ludzie już ze sobą nie rozmawiają, Bob?

Popatrzył na mnie.

– Właśnie – powiedział, jakby sam też się nad tym zastanawiał. – Kiedy byłem jeszcze nowy, zanim opuściłem Cleveland, robili to częściej. W fabrykach samochodów wciąż pracowało trochę ludzi, nie tylko roboty. Zbierali się razem – po pięciu albo sześciu – i rozmawiali. Sam byłem tego świadkiem.

– Więc co się stało? – spytałam. – Nigdy nie widziałam, żeby ludzie rozmawiali w większych grupach. Czasami robią to w parach, ale też bardzo rzadko.

– Nie jestem pewien – odparł Bob. – Duży wpływ miało udoskonalenie narkotyków. Oraz refleksja. Podejrzewam, że tę zmianę dodatkowo wzmocniły zasady Prywatności. – Popatrzył na mnie z namysłem. Czasami był bardziej ludzki od wszystkich ludzi, jakich znałam, może wyłączając Simona. – Prywatność oraz Przymusowa Grzeczność zostały wymyślone przez jednego z innych robotów Marki Dziewięć. Miał on wrażenie, że ludzie właśnie tego pragną, gdy już dostali narkotyki, które pozwalały im zabijać czas. W ten sposób niemal położono kres przestępczości. Ludzie kiedyś popełniali dużo przestępstw. Okradali się nawzajem i brutalnie traktowali ciała innych.

– Wiem – przyznałam, nie chcąc nawet o tym myśleć. – Widziałam w telewizji...

Pokiwał głową.

– Kiedy zbudziłem się do życia... jeśli to można nazwać życiem... zaczęto mnie uczyć matematyki. Zajmował się tym robot Marki Siedem o imieniu Thomas. Lubilem z nim rozmawiać. Z tobą także lubię rozmawiać. – Wypowiadając te słowa, patrzył przez okno na bezksiężycową noc.

– Tak – odparłam. – Ja też lubię z tobą rozmawiać. Ale co się stało? Dlaczego ludzie utracili zdolność rozmowy, tak samo jak umiejętność czytania i pisania?

Dosyć długo milczał. Potem przeczesał włosy palcami i odezwał się cicho:

– Kiedy uczyłem się zarządzania w przemyśle, oglądałem filmy dotyczące wszystkich aspektów Monopolu Samochodowego. Szkolono mnie na głównego kierownika – takie było pierwotne przeznaczenie Marki Dziewięć – więc zapoznawano mnie ze wszystkimi filmowymi i dźwiękowymi archiwami General Motors, Forda, Chryslera i Sikorsky'ego. Na jednym z filmów duży srebrny samochód jechał pustą autostradą, cicho i gładko jak duch... albo sen. To był dawny samochód napędzany benzyną, wyprodukowany przed Śmiercią Ropy Naftowej, na długo przed Erą Baterii Jądrowej.

– Śmiercią Ropy Naftowej?

– Tak. Kiedy benzyna stała się droższa od whisky i większość ludzi przestała opuszczać swoje mieszkania. To była Śmierć Ropy Naftowej. Doszło do tego w tak zwanym dwudziestym pierwszym wieku. Później wybuchły Wojny Energetyczne. A potem powstał Solange. Był pierwszym robotem Marki Dziewięć i został zaprogramowany – w odróżnieniu ode mnie – w taki sposób, żeby dać ludziom to, czego pragną. To właśnie Solange wynalazł baterię jądrową. Kontrolowana fuzja; bezpieczna, czysta i nieograniczona. Nauczył się zasilać w ten sposób swoje ciało, a nas wszystkich wybudowano już z myślą o energii jądrowej. Jedna bateria wystarcza mi na dziewięć błękitów.

– Czy Solange był czarny? – spytałam.

– Nie, był bardzo biały i miał niebieskie oczy.

Wstałam, żeby zapatrzeć sobie kawę.

– Dlaczego ty jesteś czarny?

Odpowiedział dopiero kiedy już zalewałam wrzątkiem kawę w proszku.

– Nigdy się tego nie dowiedziałem. Sądzę, że jestem jedynym czarnym robotem, jakiego wyprodukowano.

Wzięłam kawę i wróciłam na fotel.

– A co z tamtym filmem? – spytałam. – Tamtym z samochodem.

– Pojawiał się w nim tylko jeden człowiek. Miał na sobie pastelową sportową koszulę i szare poliestrowe spodnie. Jechał z zasuniętymi szybami i włączonymi radiem, klimatyzacją oraz automatyczną regulacją prędkości. Miał białe, miękkie dłonie i lekko trzymał kierownicę. A jego twarz... ach, jego twarz!... była pusta jak księżyc.

Nie byłam pewna, co próbuje powiedzieć.

– Kiedy byłam mała i po raz pierwszy przebywałam poza internatem, często ogarniało mnie zniecierpliwienie oraz nerwowość i nie wiedziałam, co ze sobą począć. Simon wtedy mówił: „Po prostu się wycisz i doświadczaj życia”, a ja próbowałam to robić. Czy właśnie coś takiego robił mężczyzna w samochodzie?

– Nie – odparł Spofforth. Wstał i wyciągnął ręce na boki w bardzo ludzkim geście. – Wręcz przeciwnie. W ogóle nie doświadczał życia. Miał być „wolny”, ale nic się z nim nie działo. Nikt nie znał jego imienia, ale jeden z ludzi nazywał go Danielem Boone’em – ostatnim pionierem. Filmowi towarzyszyła ścieżka dźwiękowa, na której niski, władczy i męski głos mówił: „Bądź wolny, żyj i pozwól, aby Otwarta Droga uniosła twego ducha pod niebo!”. A mężczyzna pędził pustą drogą, siedemdziesiąt mil na godzinę, osłonięty przed powietrzem, nawet przed odgłosami własnego samochodu. Amerykański Indywidualista, Wolny Duch. Pionier. Z ludzką twarzą nieodróżnialną od oblicza durnego robota. A w domu albo motelu czekał na niego telewizor, który pozwalał mu się zamknąć przed światem. I pigułki. Oraz zestaw stereo. A także zdjęcia w czasopismach, które przeglądał, pełne jedzenia oraz seksu, lepszych i jaskrawszych niż w prawdziwym życiu.

Bob krążył boso po podłodze.

– Siadaj, Bob – poprosiłam. – Jak to wszystko się zaczęło? Samochody... kontrolowane środowisko?

Usiadł, wyjął napoczętego skręta z kieszeni koszuli i go zapalił.

– Na samochodach można było zarobić mnóstwo pieniędzy, na ich produkcji i sprzedaży. A kiedy pojawiła się telewizja, okazało się, że jest jednym z najlepszych źródeł zysków w historii. Ale to nie wszystko; coś



w głębi ludzkiej natury bardzo silnie zareagowało na samochód, telewizor, narkotyki. Kiedy komputery, które produkowały i rozprowadzały narkotyki oraz telewizory, dopracowały swoje produkty, samochody stały się zbędne. A skoro nikt nie wymyślił sposobu na to, żeby samochód był bezpiecznym narzędziem w rękach człowieka, postanowiono zaprzestać ich produkcji.

– Kto podjął tę decyzję? – spytałam.

– Ja. Wspólnie z Solangem. Wtedy po raz ostatni się z nim widziałem. Potem rzucił się z budynku.

– Jezu – szepnęłam. – Kiedy byłam mała, nigdzie nie było samochodów, ale Simon je pamiętał. Wtedy wynaleziono myślubusy?

– Nie. Myślubusy pojawiły się już w dwudziestym drugim wieku. Prawdę mówiąc, już w dwudziestym wieku pojawiły się autobusy, którymi kierowali ludzie. A także trolejbusy i pociągi. Na początku dwudziestego wieku po większości dużych miast w Ameryce Północnej jeździły tak zwane tramwaje.

– Co się z nimi stało?

– Producenci samochodów się ich pozbyli. Wręczyli łapówki zarządom miast, aby ci rozebrali tory tramwajowe, a także zamieścili ogłoszenia w gazetach, przekonując opinię publiczną, że to konieczne. Żeby móc sprzedawać więcej samochodów i przetwarzać więcej ropy naftowej w benzynę, którą spalały. Żeby spółki mogły rosnąć w siłę, a nieliczni ludzie niesamowicie się bogacili, mieli służących i mieszkali w wielkich posiadłościach. Samochód zmienił życie człowieka bardziej niż wynalezienie prasy drukarskiej. Doprowadził do powstania przedmieść oraz rozwinięcia setki zależności – seksualnych, gospodarczych i narkotycznych. Jak również przygotował drogę dla poważniejszych – bardziej wewnętrznych – uzależnień: od telewizji i robotów, a ostatecznie, co można było przewidzieć, do udoskonalenia chemii umysłu. Narkotyki i leki, których używają ludzie, zawdzięczają swoje nazwy dwudziestowiecznym środkom, ale są od nich znacznie silniejsze i skuteczniejsze, a także rozprowadzane – wszędzie tam, gdzie żyją istoty ludzkie – za pomocą automatów. – Popatrzył na mnie ze swojego fotela. – Sądzę, że to wszystko zaczęło się od nauki rozpalania ognia, żeby ogrzać

jaskinię i odpędzić drapieżniki, a skończyło na valium o przedłużonym działaniu.

Przyglądałam mu się przez długą chwilę.

– Nie zażywam valium – stwierdziłam.

– Wiem, właśnie dlatego zabrałem cię od Paula. A także ze względu na dziecko, które urodzisz.

– Rozumiem, jakie znaczenie ma dziecko. Chcesz się bawić w dom. Ale nie wiedziałam, że leki – a raczej ich brak – miały z tym cokolwiek wspólnego.

Pokręcił karcąco głową.

– To powinno być oczywiste – odparł. – Chciałem kobiety, z którą mógłbym rozmawiać. I w której mógłbym się zakochać.

Wbiłam w niego wzrok.

– Zakochać? – spytałam w końcu.

– Oczywiście. Dlaczego nie?

Chciałam odpowiedzieć, ale się powstrzymałam. Dlaczego nie miałby się zakochać, skoro tego pragnął?

– Czy tak się stało? – zapytałam.

Przez chwilę mi się przyglądał, potem zgniótł skręta w popielniczce.

– Owszem – odrzekł. – Niestety.

„Zakochać się”. Przez chwilę zastanawiałam się nad tymi dziwnymi dawnymi słowami, siedząc w salonie w środku nocy. Coś mnie w nich uderzało. W końcu uświadomiłam sobie, że nigdy wcześniej nie słyszałam, jak ktoś je wypowiada; znałam je tylko z niemych filmów i książek, a nie z prawdziwego życia. Simon kiedyś powiedział: „Zakochanie to oszustwo”, i to była jedyna sytuacja, gdy użył tego słowa. „Zakochanie” i „miłość” nie wchodziły w skład naszego słownika w internatach, gdzie nauczano nas, że „Szybki seks jest najlepszy”. Tymczasem ten robot o smutnej, młodzieńczej twarzy, bardzo długiej historii oraz niskim, łagodnym głosem mówi mi, że się we mnie zakochał.

Stygła mi kawa. Przez chwilę ją sączyłam, a potem się odezwałam.

– Co rozumiesz przez „zakochanie”?

Długo nie odpowiadał.

– Łaskotanie w brzuchu. Oraz w okolicy serca. Pragnienie, żebyś była szczęśliwa. Obsesyjne myśli o tym, jak przekrzywiasz podbródek i wytrzeszczasz oczy. Jak zaciskasz dłonie na kubku z kawą. Słuchanie tego, jak chrapiasz, kiedy siedzę tutaj w nocy.

Byłam w szoku. Czasami czytałam takie słowa, ale je ignorowałam. Wiedziałam instynktownie, że mają coś wspólnego z seksem oraz rodziną, która stanowiła ważny element dawnego świata, nigdy jednak nie dopuszczałam ich do swojego życia. Jak to możliwe, żeby stanowiły część „życia” tej sztucznej osoby, tego eleganckiego humanoida o brązowej skórze i kręconych keratynowych włosach? Tego fałszywego człowieka, bez matki, która by go zrodziła, bez penisa, niezdolnego do jedzenia ani picia wody – zasilanej baterią lalki o smutnych brązowych oczach. Czym była miłość, o której opowiadał – czyżby jednym z objawów obłądki, demencji dręczącej wszystkich przedstawicieli tego ostatniego prometejskiego łańcucha syntetycznych inteligencji, szalonej nadludzkości cechującej skazaną na zagładę Markę Dziewięć?

A jednak, kiedy na niego patrzyłam, czułam, że mogłabym go pocałować. Objąć jego szeroki, atrakcyjny kark i przycisnąć usta do wilgotnych warg.

Nagle zorientowałam się, że – o Jezu Chryste – płaczę. Łzy spływały mi po twarzy. Ukryłam mokrą twarz w dłoniach i szlochałam tak samo jak w dzieciństwie, gdy dowiedziałam się, że jestem sama na świecie. Miałam wrażenie, że przeszył mnie potężny podmuch ciepłego wiatru.

Kiedy się wyplakałam, poczułam się przygaszona i spokojna. Popatrzyłam na Boba. Sprawiał wrażenie równie ukojonego.

– Zdarzyło ci się to już wcześniej? – spytałam. – Zakochanie?

– Tak. Kiedy byłem... kiedy byłem młody. Wtedy niektóre ludzkie kobiety nie zażywały leków. Pokochałem jedną z nich. Było coś w jej twarzy, czasami... Ale nigdy wcześniej nie próbowałem zamieszkać z kobietą. Tak jak my teraz mieszkamy.

– Dlaczego ja? – spytałam. – Byłam szczęśliwa z Pauliem. Założylibyśmy rodzinę. Dlaczego musiałeś się we mnie zakochać?

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Jesteś ostatnia – odparł. – Ostatnia, zanim umrę. Chciałem odzyskać swoje pogrzebane życie. Wymazaną część mojej pamięci. Przed śmiercią chciałbym się dowiedzieć, jakie to uczucie być człowiekiem, którym starałem się być przez całe życie. – Odwrócił wzrok w stronę okna. – Poza tym więzienie dobrze zrobi Paulowi. Jeżeli wystarczająco dojrzeje, to ucieknie. Na świecie już nic prawidłowo nie działa; większość maszyn i robotów jest popsuta. Jeśli będzie chciał się wydostać z więzienia, na pewno to zrobi.

– Przypomniałeś sobie coś? – spytałam. – Odkąd zamieszkaliśmy razem? Wypełniłeś jakieś luki w swoim mózgu?

Pokręcił głową.

– Nie, ani jednej.

Pokiwałam głową.

– Bob, powinieneś zapamiętywać swoje życie, tak samo jak ja. Dyktować całą swoją historię do rejestratora. Mogłabym ją dla ciebie zapisywać i nauczyłabym cię czytać.

Popatrzył w moją stronę, a jego twarz sprawiała wrażenie bardzo starej i smutnej.

– Nie ma takiej potrzeby, Mary. Nie potrafię zapomnieć swojego życia. Nie posiadam zdolności zapominania. Nie dano mi jej.

– Mój Boże. To musi być okropne.

– Owszem – przyznał. – To jest okropne.

\* \* \*

Bob kiedyś mnie spytał:

– Tęsknisz za Paulem?

Nie podniosłam wzroku znad szklanki z piwem.

– Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu – odpowiedziałam.

– Co to znaczy?

– Paul tak mawiał. Kiedy czasami o nim myślę, przywołuję te słowa.

– Powtórz je – poprosił, a w jego głosie wyczułam przynaglenie.

– Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu.

– Las – rzekł Bob, po czym dodał: – „Wiem, czyj to las: znam właścicieli”.  
Tak brzmi ten wers. – Wstał i podszedł do mnie. – „Wiem, czyj to las, znam  
właścicieli. Ich dom...”<sup>[3]</sup>.

\* \* \*

Zatem Bob wreszcie przypomniał sobie brakujące słowo ze swojego  
wiersza, po ponad stu latach rozmyślenia. Cieszę się, że mogłam mu coś  
dać.

---

<sup>3</sup> Robert Fret, „Postój pod lasem w śnieżną noc”, przełożył Stanisław Barańczak.

## BENTLEY

Zima zapewne zbliżała się do końca, ponieważ odkąd opuściłem fabrykę tosterów, ani razu nie zrobiło się tak zimno jak poprzednio. Poza tym już więcej tak nie chorowałem, mimo że byłem nieco osłabiony po porzuceniu tamtego niezwykłego schronienia.

Coraz szybciej wędrowałem na północ, a jedzenie, które zabrałem z fabryki, chociaż paskudne, dodawało mi sił. Nadal zbierałem małże, później także omułki. Pewnego razu na plaży odpędziłem mewę od świeżo złapanej ryby; potrawka, którą z niej przyrządziłem, wystarczyła mi na trzy dni. Wkrótce byłem w lepszej formie niż kiedykolwiek. Nabrałem sił i wytrzymałości, tak że potrafiłem maszerować cały dzień równym tempem bez zmęczenia. Znow zacząłem myśleć o Mary Lou i o tym, że naprawdę mogę ją odnaleźć. Byłem pewien, że czeka mnie daleka wędrówka, nie miałem jednak pojęcia, jak daleka.

Pewnego popołudnia ujrzałem przed sobą drogę, która zaczynała się przy plaży i wiła przez pole.

Podbiegłem do niej i stwierdziłem, że to stara droga z popękanego asfaltu, miejscami zarośnięta chwastami, wyblakła i pokruszona, ale wciąż nadająca się do chodzenia. Zacząłem nią podążać, oddalając się od plaży.

Pośród wysokich chwastów, które porastały pobocze zniszczonej drogi, zobaczyłem coś, czego jeszcze nigdy nie widziałem: znak drogowy. Zwracałem na nie uwagę w filmach i czytałem o nich w książkach, ale nigdy nie widziałem żadnego na własne oczy. Był zrobiony z wyblakłego zielono-białego permoplastiku, a znajdujący się na nim napis niemal

całkowicie zasłaniały pnącza i brud, jednak kiedy odsunąłem rośliny, zdołałem odczytać:

MAUGRE  
GRANICA KORPORACJI.

Długo mu się przypatrywałem. Widok tego wiekowego przedmiotu w słabym blasku wczesnowiosennego słońca z jakiegoś powodu przyprawiał mnie o dreszcze.

Wziąłem Biff na ręce i szybko powędrowałem drogą, pokonując zakręt.

Przede mną, na wpół pogrzebana między drzewami i zaroślami, rozciągała się płytka dolina, którą wypełniało około pięciuset domów z permoplastiku. Stały dosyć daleko od siebie, oddzielone niegdysiejszymi parkami i betonowymi ulicami. Nigdzie nie widziałem śladu życia. W miejscu, które zapewne stanowiło centrum miasteczka, wznosiły się dwa duże budynki oraz ogromny biały obelisk.

Blżej miasteczka musiałem się przedzierać przez krzewy różane i wiciokrzew, niemal całkowicie uschnięte po zimie. Zauważyłem, że wszystkie domy, kiedyś zapewne soczyście barwne, wyblakły do koloru kości.

Wkroczyłem do Maugre pełen trwogi. Nawet Biff sprawiała wrażenie zdenerwowanej i wierciła mi się na rękach, drapiąc paski plecaka. Na skraju miasteczka natrafiłem na szlak, który wił się przypadkowo przez zarośla między domami; zacząłem nim podążać. Nie widziałem, czy domy mają werandy; były zbyt zarośnięte od frontu. Dostrzegałem drzwi tylko kilku z nich, kiedy wyłaniały się spomiędzy krzaków, chwastów i wiciokrzewu.

Kierowałem się w stronę obelisku. Wydawało mi się, że to najlepszy pomysł.

Drzwi jednego z mijanych domów były mniej przesłonięte, więc postawiłem Biff i zbliżyłem się do wejścia, przepychając się przez drapiące różane krzewy. Czuję się jak we śnie albo w hipnotycznym transie, tak że nawet nie zauważałem zadrapań.

Po wyrwaniu części chwastów zdołałem otworzyć frontowe drzwi i z nabożną czcią wejść do domu. Znalazłem się w dużym salonie. Był pusty. Przez pokryte pleśnią i kurzem plastikowe okna wpadało słabe światło.

Matowy permoplastik to najbardziej zwarty – najbardziej martwy – materiał wyprodukowany przez człowieka, a całe to pomieszczenie miało postać pozbawionego łączeń, pustego różowego sześcianu o zaokrąglonych wierzchołkach. Nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek tutaj mieszkał, wiedziałem jednak, że jedną z cech tego materiału jest to, że można mieszkać w zbudowanym z niego domu przez sto błękitów i nie pozostawić żadnych śladów – żadnych zadrapań na podłodze, odcisków dłoni na ścianach, plam po dymie na suficie, pozostałości zabaw i walk dzieci ani śladów w miejscu, w którym stał ulubiony stół rodziny.

Z jakiegoś powodu zawołałem: „Jest tutaj ktoś?!”. Nauczyłem się tego z filmów.

Nie odpowiedziało mi nawet echo. Ze smutkiem pomyślałem o ludziach w filmie, którzy śmiali się i pili z dużych szklanek. „Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu”. Wyszedłem. Biff na mnie czekała. Wziąłem ją na ręce.

Powędrowaliśmy w stronę obelisku. Dalej ścieżka stała się szersza i łatwiej było nią iść, dzięki czemu szybciej niż się spodziewałem dotarliśmy do otwartego terenu, na którym stały dwa duże budynki i obelisk.

Obelisk był bielszy od wszystkich budynków barwy kości. Miał około sześćdziesięciu stóp szerokości przy podstawie i wznosił się na mniej więcej dwieście stóp. Przypominał pomnik Waszyngtona, który widziałem w tak wielu książkach i filmach, a który stanowił jedyną pozostałość po mieście Waszyngton.

U podstawy obelisku znajdowały się podwójne przeszklone drzwi, tylko częściowo zarośnięte przez błękitne wilce, a kiedy okrążyłem budowlę, zauważyłem, że po każdej z czterech stron znajduje się olbrzymie wejście. Wysoko na czwartej ścianie dostrzegłem duże, wypukłe litery tworzące napis:



SCHRON I CENTRUM HANDLOWE  
POD TĄ OSŁONĄ WSZELKIE ŻYCIE JEST BEZPIECZNE  
MINISTERSTWO OBRONY: MAUGRE.

Przeczytałem ten tekst dwukrotnie. Czy to sam obelisk stanowi „osłonę”? Czy może znajduje się ona w środku?

Postawiłem Biff i spróbowałem otworzyć drzwi. Trzecie z kolei łatwo się rozsunęły.

Wewnątrz znajdował się hall, oświetlony słonecznym blaskiem wpadającym przez oszklone drzwi. Po moich obu stronach znajdowały się szerokie schody prowadzące w dół. Kolejne, węższe schody wiodły na górę. Wahałem się tylko przez chwilę, po czym zacząłem schodzić klatką schodową po swojej lewej stronie. Kiedy pokonałem sześć albo siedem stopni, a wokół mnie zaczęło się robić ciemno, żółte ściany po obu stronach nagle rozjarzyły się łagodnym światłem, a na jednej ze ścian ujrzałem napis:

BARIERA PRZECIWWSTRZĄSOWA.

Sześć albo osiem stopni niżej zapaliły się kolejne światła i przeczytałem kolejny napis na ścianie, która na tym poziomie miała szary kolor:

BARIERA PRZECIWPROMIENNA.

Kiedy dotarłem do końca schodów, znalazłem się w olbrzymim, długim i szerokim korytarzu. Szklane żyrandole rozbłysły łagodnym różowym światłem. Po moich obu stronach zaśniły napisy:

STREFA BEZPIECZEŃSTWA.  
CENTRUM HANDLOWE.

Wtedy ze zdziwieniem usłyszałem cichą muzykę, lekką i zwiewną, graną na fletach i obojach, a mniej więcej pięćdziesiąt jardów przede mną wytrysnął z szerokiego zbiornika potężny strumień wody. Zatańczyły na nim różnobarwne światła – niebieskie, zielone i żółte – i rozległ się odgłos spadającej wody, odgłos fontanny.

Podszedłem do niej, przepełniony zachwytem. Biff bez wahania zeskoczyła mi z rąk i mnie wyprzedziła, a następnie przycupnęła na krawędzi zbiornika, opuściła łebek i zaczęła pić.

Powoli się do niej zbliżyłem, nachyliłem, napełniłem złożone dłonie chłodną, świeżą wodą, uniosłem ją do rozgrzanej, wysuszonej twarzy i powąchałem. Była czysta. Wypiłem kilka garści, a następnie obmyłem twarz.

Krawędzie zbiornika składały się z tysięcy srebrnych kwadratowych płytek poprzedzielanych białymi kreskami zaprawy, a na dnie, pod wodą, znajdowała się olbrzymia czarno-szaro-biała mozaika przedstawiająca hubbaka z wygiętym grzbietem i rozłożonym ogonem.

Woda tryskała spomiędzy trzech podobizn delfinów, wygiętych i pionowych, wyrzeźbionych z czarnej materii. Widziałem coś takiego na zdjęciu w książce „Fontanny Rzymu”. Cofnąłem się i popatrzyłem na srebrne obramowanie zbiornika, olbrzymią podobiznę walenia, delfiny i potężny strumień wody, czując na twarzy i ciele wilgotną mgiełkę oraz słuchając muzyki fletów. Włosy na rękach i karku stanęły mi dęba, a moje ciało przeszył niemal bolesny dreszcz.

Czułem się tak samo jak wtedy, gdy patrzyłem na ptaki zawracające w locie nad brzegiem morza, na sztorm targający szarym oceanem oraz na powolny i dostojny upadek King Konga.

Za fontanną potężny korytarz kończył się rozwidleniem w kształcie litery T. W prawo i w lewo prowadziły masywne podwójne drzwi. Nad drzwiami po lewej stronie widniał napis:

KWATERY AWARYJNE  
POJEMNOŚĆ 60000.

Nad drugimi drzwiami napisano:

## CENTRUM HANDLOWE.

Drzwi otworzyły się automatycznie, kiedy do nich podszedłem, i znalazłem się w kolejnym długim, szerokim korytarzu wyłożonym płytkami. Po obu stronach ciągnęły się wejścia do sklepów; było ich znacznie więcej niż widziałem w całym swoim życiu. W Nowym Jorku oraz na uniwersytecie, gdzie mieszkałem i nauczałem, widywałem witryny z wystawionymi towarami, nigdy jednak nie byłem w miejscu zaprojektowanym z takim rozmachem i tak obficie wyposażonym.

Najbliższy sklep nazywał się Sears; przez jego ogromne, zaokrąglone okna widziałem niewyobrażalne bogactwo towarów. Ponad połowy z nich nie rozpoznawałem. Niektóre wyglądały znajomo, jednak w sklepie znajdowały się także kolorowe kule, urządzenia elektryczne oraz tajemnicze jaskrawe przedmioty, które równie dobrze mogły być bronią, jak i zabawkami.

Otworzyłem rozsuwane drzwi i wszedłem oszołomiony. Znajdowałem się w części sklepu, w której wystawiono ubrania. Wszystkie sprawiały wrażenie nowych i świeżych; owinięto je jakąś przezroczystą folią, która najwyraźniej zabezpieczyła je na setki lat.

Moje własne ubranie było znoszone i postrzępione, więc zacząłem szukać nowego stroju dla siebie.

Kiedy próbowałem zdjąć foliową osłonę z niebieskiej kurtki, której rozmiar wydawał się odpowiedni dla mnie, przypadkowo zerknąłem na płytki pod stopami.

Wszędzie widniały błotniste ślady butów. Sprawiały wrażenie świeżych. Przyklęknąłem i dotknąłem błota dłonią. Było lekko wilgotne.

Wstałem i powiodłem wokół wzrokiem. Widziałem tylko niezliczone wieszaki z ubraniami, a za nimi, jak okiem sięgnąć, półki pełne rozmaitych kolorowych przedmiotów. Nie dostrzegłem żadnego ruchu. Potem ponownie spojrzałem na podłogę i zauważyłem, że ślady są wszędzie –

niektóre świeże, inne stare. Zostawiły je buty różnych rozmiarów i kształtów.

Biff dokądś się oddaliła i nie przyszła, kiedy ją zawołałem. Zacząłem nerwowo chodzić między półkami, uważnie się rozglądając. A co, jeśli osoby, które zostawiły ślady, wciąż są w pobliżu? Chociaż z drugiej strony, dlaczego miałbym się bać drugiego człowieka? Albo robota, skoro żaden nie podążył za mną z więzienia i nigdzie nie widziałem Wykrywaczy ani żadnych innych maszyn, które by mnie szukały. Mimo wszystko się bałem – czy też „cykałem”, jak podpowiadał „Słownik slangu”.

W końcu znalazłem Biff. Łapczywie wyjadała zawartość pudełka z suszoną fasolą, które ktoś otworzył i zostawił na blacie obok setek podobnych, ale zamkniętych opakowań. Kotka głośno mruzczała i słyszałem, jak chrupie fasolę. Wziąłem do ręki jedno z zamkniętych pudełek; nawet nie podniosła na mnie wzroku. Na opakowaniu widniał napis, inaczej niż w przypadku znanych mi dotychczas pudełek z jedzeniem: „Napromieniowana i ustabilizowana fasola pinto. Okres przechowywania: sześćset lat. Bez środków konserwujących”. Było też zdjęcie przedstawiające talerz pełen parującej fasoli przykrytej plastrem bekonu. Niestety, fasola, której Biff wciąż poświęcała całą uwagę, sprawiała wrażenie wysuszonej, zwiędłej i nieapetycznej. Zanurzyłem dłoń w pudełku i wyjąłem garstkę ziaren. Biff podniosła na mnie wzrok i na chwilę obnażyła zęby, ale zaraz ponownie skupiła się na jedzeniu. Włożyłem jedną fasolkę do ust i zacząłem żuć. Nie smakowała źle, a ja byłem głodny. Wrzuciłem do ust resztę nasion i przyjrzałem się jednemu z zapieczętowanych pudełek, zastanawiając się, jak je otworzyć. Na górze opakowania znajdowała się instrukcja, która nakazywała nacisnąć białą kropkę, a następnie pociągnąć za czerwony języczek, jednocześnie go przekręcając. Wypróbowałem wszystkie kombinacje, jakie przychodziły mi do głowy, ale pudełko nie chciało się otworzyć. Zdążyłem już zjeść fasolki, które miałem, a Biff opróżniła swoje pudełko. Ta przekąska pobudziła mój apetyt i coraz bardziej irytowało mnie niedające się otworzyć opakowanie. Oto jedyny człowiek na Ziemi, który potrafi odczytać instrukcję otwierania pudełka z fasolą, a mimo to nie umie z niej skorzystać.

Nagle przypomniałem sobie, że po drodze mijalem półkę z różnymi narzędziami. Cofnąłem się do niej. Pod wpływem złości oraz głodu zapomniałem o wcześniejszych obawach i kroczyłem stanowczo i głośno. Znalazłem siekierkę, bardzo podobną do tej w „Żonobójcy na wolności”, tylko że owiniętą w folię, której także nie potrafiłem usunąć.

Ogarniała mnie coraz większa wściekłość, od której rósł mój apetyt na fasolę. Usiłowałem przegryźć folię na siekierce, ale była zbyt mocna jak na moje zęby. Potem w innym rzędzie zauważyłem szklaną gablotę, w której znajdowały się jakieś pudełeczka. Podeszedłem do niej, uniosłem siekierkę i rozbiłem szybę. W ramie pozostało kilka nierównych kawałków szkła. Zaczepiłem folię o jeden z nich i pociągnąłem. Folia zaczęła się drzeć i wreszcie udało mi się ją zerwać z siekierki.

Następnie wróciłem do pudełka z fasolą i zacząłem uderzać siekierką w wieczko, aż odpadło, a fasola wysypała się na podłogę. Odłożyłem ostrze na blat i zabrałem się do jedzenia.

Kiedy żułem trzecią porcję nasion, usłyszałem nagle za sobą niski głos:

– Co ty wyprawiasz, do diabła?

Obróciłem się gwałtownie i zobaczyłem postawnego ciemnobrodego mężczyznę oraz masywną kobietę, którzy wbijali we mnie wzrok. Każde z nich jedną ręką trzymało dużego psa na smyczy, a w drugiej dłoni ścisnęło długi rzeźnicki nóż. Psy wpatrywały się we mnie równie intensywnie jak ludzie. Miały białe futro – chyba były albinosami – i różowawe ślepia.

Obok mnie Biff wygięła grzbiet i pokazała zęby, a ja zrozumiałem, że psy zapewne wcale nie patrzą na mnie, tylko na nią.

Ludzie byli ode mnie starsi i potężniejsi. Ich spojrzenia wykraczały poza zasady Prywatności, ale wynikały bardziej z zaciekawienia niż wrogości. Jednak długie noże robiły przerażające wrażenie.

W ustach wciąż miałem fasolę. Przez chwilę żułem, po czym odpowiedziałem:

– Jem. Byłem głodny.

– To, co jesz, należy do mnie – rzekł mężczyzna.

– Do nas – odezwała się kobieta. – Do rodziny.

Rodzina. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś używał tego słowa, nie licząc filmów.

Mężczyzna zignorował słowa towarzyszki.

– Z którego miasta pochodzisz? – spytał.

– Nie wiem – odparłem. – Jestem z Ohio.

– Może z Eubank – stwierdziła kobieta. – Wygląda na Dempseya. Oni wszyscy są dosyć chudzi.

Udało mi się przełknąć reszkę fasoli.

– Albo na Swishera – dodał mężczyzna. – Z Ocean City.

Biff nagle odwróciła się od psów, przeskoczyła nad blatem, na którym stała, i uciekła. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tak szybko biegła. Psy podążyły za nią wzrokiem, napinając smycze, ale mężczyzna i kobieta zignorowali kotkę.

– Z którego z siedmiu miast pochodzisz? – spytał mężczyzna. – I dlaczego łamiesz prawo, zjadając nasze pożywienie?

– A także, dlaczego zakłócasz spokój naszego sanktuarium? – dodała kobieta.

– Nigdy nie słyszałem o siedmiu miastach – odparłem. – Nie pochodzę stąd, jestem tylko wędrowcem. Byłem głodny, a kiedy natrafiłem na to miejsce, wszedłem do środka. Nie wiedziałem, że to... sanktuarium.

Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem.

– Nie rozpoznajesz kościoła żywego Boga?

Rozejrzałem się, spoglądając na rzędy półek z zafoliowanymi towarami, wieszaki z kolorowymi ubraniami, sprzęt elektroniczny, karabiny, kije do golfa i kurtki.

– Przecież to nie jest kościół – zaprotestowałem. – To sklep.

Długo nie odpowiadali. Jeden z psów, najwyraźniej znużony obserwowaniem miejsca, w którym zniknęła Biff, położył się na podłodze i ziewnął. Drugi zaczął węszyć pod stopami mężczyzny.

– Błuznierstwo – stwierdził mężczyzna. – Już wcześniej je popełniłeś, bez pozwolenia spożywając święty pokarm.

– Przepraszam – odrzekłem. – Nie miałem pojęcia...

Błyskawicznie się zbliżył, mocno chwycił mnie za ramię i przyłożył mi do brzucha czubek noża, kobieta zaś z zaskakującą szybkością zabrała z blatu siekierkę, której używałem. Zapewne spodziewała się, że będę próbował się nią bronić.

Byłem przerażony i nic nie powiedziałem. Mężczyzna schował nóż za pasek, stanął za mną, po czym przytrzymał mi ręce za plecami i poprosił kobietę, żeby przyniosła sznurek. Podeszła do lady oddalonej o kilka rzędów, gdzie leżała duża rolka synlonowego sznurka, i odcięła kawałek nożem, zostawiając tam siekierkę. Przyniosła sznurek swojemu towarzyszowi, który związał mi ręce. Psy patrzyły na to wszystko ospale. Czulem, że strach powoli ustępuje we mnie miejsca spokojowi. Widywałem takie rzeczy w telewizji i miałem wrażenie, że teraz też jestem tylko widzem i nic mi nie grozi. Chociaż serce gwałtownie tłukło mi się w piersi i cały dygotałem, mój umysł wznosił się ponad to wszystko i czulem spokój. Zastanawiałem się, dokąd poszła Biff i co się z nią stanie.

– Co zamierzacie? – spytałem.

– Zamierzam wypełnić pismo – odparł mężczyzna. – Kto bluźni w moim świętym przybytku, zostanie rzucony w ogień wieczny.

– Jezu Chryste! – zawołałem, sam nie wiem dlaczego. Być może tak na mnie wpłynął biblijny język, którego używał mężczyzna.

– Coś ty powiedział? – spytała kobieta.

– Powiedziałem „Jezu Chryste”.

– Od kogo znasz to imię?

– Znam je z Biblii. – Nie wspomniałem o Mary Lou ani o mężczyźnie, który, dokonując samospalenia, wykrzykiwał imię Jezusa.

– Jakiej Biblii? – spytała.

– On kłamie – stwierdził mężczyzna, po czym zwrócił się do mnie. – Pokaż mi tę Biblię.

– Już jej nie mam. Musiałem ją zostawić...

Mężczyzna wbił we mnie wzrok.

Następnie wyprowadzili mnie na główny korytarz centrum handlowego, gdzie znajdowała się fontanna. Mijaliśmy sklepy, restauracje i salony medytacyjne, a także jakiś lokal opatrzone szyldem:

## U JANE PROSTYTUCJA.

Kiedy przechodziliśmy obok dużego sklepu z szyldem „Apteka”, mężczyzna zwolnił.

– Tak się trzęsiesz, że chyba przydałoby ci się jakieś wsparcie.

Pchnął drzwi sklepu i weszliśmy do pomieszczenia, w którym na półkach stały rzędy dużych zapieczętowanych słoików wypełnionych pigułkami wszelkich kształtów i rozmiarów. Mężczyzna zbliżył się do słoika z napisem „Sopory: niezależniające, blokujące płodność”, sięgnął do kieszeni, wyjął garść starych wyblakłych kart kredytowych, wybrał niebieską i wsunął ją do mechanicznej szpary w podstawie słoika stojącego na kontuarze.

Szklane słoje stanowiły jakiś prymitywny rodzaj dozownika – z pewnością nie dorównywały eleganckim i szybkim maszynom sprzedającym, z jakich dotychczas korzystałem, na przykład przy Piątej Alei, gdzie kupiłem Mary Lou żółtą sukienkę. Urządzenie postukiwało co najmniej przez minutę, zanim oddało kartę, a pół minuty później metalowa klapka w podstawie otworzyła się, uwalniając garść niebieskich pigułek.

Mężczyzna zebrał je dłonią.

– Ile chcesz pigułek?

Pokręciłem głową.

– Nie używam ich.

– Nie używasz? A czego używasz, do diabła?

– Niczego – odparłem. – Już od dawna.

– Za jakieś dziesięć minut trafisz do wiecznego ognia – odezwała się kobieta. – Na twoim miejscu połknęłabym wszystkie te cholerne pigułki.

Nic nie odpowiedziałem.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Zażył jedną pigułkę, drugą wręczył swojej towarzyszce, a resztę schował do kieszeni.

Wyszliśmy ze sklepu, pozostawiając rzędy setek butelek i słoików z pigułkami, a kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, w aptece zgasiły



automatyczne światła.

Skręciliśmy za róg i zobaczyliśmy nową rozświetloną fontannę. Była większa od poprzedniej i emitowała cichszą muzykę.

Po obu stronach wznosiły się ściany z nierdzewnej stali, w których z rzadka pojawiały się drzwi. Nad każdymi wisiała tabliczka:

SALA SYPIALNA B  
POJEMNOŚĆ: 1600.

SALA SYPIALNA D  
POJEMNOŚĆ 2200.

– Kto tutaj sypia? – spytałem.

– Nikt – odpowiedziała kobieta. – Te sale były przeznaczone dla starożytnych. Ludzi z dawnych czasów.

– Jak dawnych? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Ze starożytnych czasów. Kiedy po Ziemi chodzili giganci, a ludzie bali się gniewu Pańskiego.

– Bali się deszczu ognia z Niebios – dodał mężczyzna. – Nie ufali Jezusowi. Ognisty deszcz nigdy nie spadł, a starożytni poumierali.

Minęliśmy kolejne sale sypialne oraz co najmniej pół mili stalowych ścian oznaczonych napisami „Magazyn”, aż w końcu dotarliśmy do końca korytarza, gdzie znajdowały się potężne drzwi z czerwoną tabliczką: „Źródło energii: Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Mężczyzna wyjął z kieszeni metalową płytkę. Przysunął ją do pasującego rozmiarem prostokąta na środku drzwi i oznajmił:

– Klucze do Królestwa.

Drzwi się rozsunęły i rozblysło łagodne światło.

Za drzwiami znajdował się mniejszy korytarz, który wypełniało wyraźnie ciepłe powietrze. Psy zostały na zewnątrz, a my powędrowaliśmy dalej, w stronę kolejnych drzwi. Z każdym krokiem robiło się coraz cieplej.

Zaczynałem się pocić i chciałem otrzeć czoło, ale wciąż miałem ręce związane za plecami.

Dotarliśmy do drzwi. Widniał na nich duży pomarańczowy napis:

ZBLIŻASZ SIĘ DO SZTUCZNEGO SŁOŃCA  
PROJEKT FUZZI NR 3: MAUGRE.

Mężczyzna zbliżył do drzwi inną kartę, a gdy te się otworzyły, poczułem intensywny żar. Stanęliśmy przed kolejnymi drzwiami. Mężczyzna znów wsunął do otworu obok futryny kolejną kartę i drzwi rozchyliły się na mniej więcej dwie stopy. Oślepiający pomarańczowy blask po drugiej stronie oświetlał jakieś ogromne pomieszczenie. Salę, w której nie było podłogi. Albo podłoga była zbudowana z pomarańczowego światła. Żar był przytłaczający.

– Oto wieczny ogień – odezwał się mężczyzna.

Poczułem, że popychają mnie od tyłu, i zaniemówiłem, a moje serce prawie przestało bić. Popatrzyłem w dół i chociaż zdołałem utrzymać rozchylone powieki tylko przez ułamek sekundy, zdążyłem zobaczyć, że przede mną zieję olbrzymi okrągły otwór, w którego głębi, nieobliczalnie głęboko, płonie ogień niczym na powierzchni słońca.

Potem mężczyzna odciągnął moje bezwładne ciało od przepaści, obrócił i cicho spytał:

– Chcesz coś powiedzieć przed śmiercią?

Popatrzyłem na jego twarz. Była beznamietna, spokojna, spocona.

– „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem” – odrzekłem. – „Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”.

– Mój Boże, Edgarze! – wrzasnęła piskliwie kobieta. – Mój Boże!

Mężczyzna popatrzył na mnie surowo.

– Skąd znasz te słowa?

Zastanawiałem się, co odpowiedzieć, aż w końcu uznałem, że muszę wyznać prawdę, chociaż wiedziałem, że on jej nie zrozumie.

– Czytałem Biblię.

– Czytałeś? – zdziwiła się kobieta. – Umiesz przeczytać pismo?

Czułem, że umrę z gorąca, jeśli natychmiast nie oddalę się od otworu. Widziałem na twarzy mężczyzny cierpienie, spowodowane żarem albo wątpliwościami.

– Tak – odparłem. – Umiem przeczytać pismo. – Popatrzyłem mu prosto w oczy. – Potrafię wszystko przeczytać.

Mężczyzna jeszcze przez jedną straszliwą chwilę przypatrywał mi się z wykrzywioną twarzą, a potem gwałtownie mnie pociągnął, wyprowadził za zewnętrzne drzwi i je zamknął. Następnie przeszliśmy przez drugie drzwi, które zasunęły się za nami, a wtedy temperatura stała się znośna.

– No dobrze – rzekł mężczyzna. – Pójdziemy do księgi i przekonamy się, czy potrafisz ją przeczytać.

Potem wyjął nóż i przeciął moje więzy.

– Najpierw muszę znaleźć Biff – odparłem.

Znalazłem ją w połowie drogi do sklepu Searsa i wziąłem na ręce.

\* \* \*

W drodze do wiecznego ognia minąłem z przerażeniem kolejną fontannę. Teraz, gdy ponownie się do niej zbliżyliśmy, wracając do sklepu Searsa, w mojej głowie wyświetliła się scena ze starego filmu. W „King Kongu” aktor H.B. Warner prosi mężczyznę imieniem Jan, by ten go „ochrzcił” poprzez zanurzenie w rzece. Niewątpliwie była to chwila o wielkim mistycznym znaczeniu. Idąc szerokim, opustoszałym korytarzem centrum handlowego, lekko stawiałem kroki. Mężczyzna i kobieta szli po moich obu stronach, ale już mnie nie przytrzymywali i zdjęli mi więzy. Ich psy zachowywały się spokojnie i posłusznie. Słyszałem tylko regularny odgłos kroków oraz obmywającą nas zwiewną muzykę, dobiegającą z niewidocznych głośników. A także coraz głośniejszy chlupot wody, która tryskała z fontanny pod wysoki sufit i eleganckim łukiem opadała do zbiornika.

Rozmyślałem o Jezusie, brodatym i pogodnym, w rzece Jordan. Nagle się zatrzymałem.

– Chcę zostać ochrzczony – powiedziałem. – W tej fontannie. – Mój głos był wyraźny i donośny. Wpatrywałem się w olbrzymi okrągły zbiornik. Na mojej twarzy osiadała drobna mgiełka.

Kątem oka zobaczyłem, że kobieta padła na kolana, jakby we śnie, a jej długa, obszerna dzinsowa spódnica powoli się rozděła. Usłyszałem jej słaby głos:

– Mój Boże. Duch Święty nakazał mu wypowiedzieć te słowa.

Następnie odezwał się mężczyzna:

– Wstań, Berenice. Możliwe, że ktoś mu o tym powiedział. Nie wszyscy dotrzymują kościelnych tajemnic.

Popatrzyłem, jak kobieta wstaje z kolan i obciąga niebieski sweter z powrotem na szerokie biodra.

– Ale on rozpoznał źródło – stwierdziła. – Rozpoznał miejsce świętej wody.

– Już ci mówiłem – odparł mężczyzna z powątpiewaniem. – Mógł się o tym dowiedzieć w każdym z pozostałych sześciu miast. To, że Baleenowie się nie sprzeniewierzyli, nie oznacza, że można zaufać Graylingom. Manny Grayling mógł mu powiedzieć. Do diabła, może on sam jest Graylingiem, którego ukrywają przed Kościołem.

Pokręciła głową.

– Ochrczuj go, Edgarze Baleenie. Nie możesz odmówić Sakramentu.

– Wiem o tym – odrzekł cicho. Zaczął zdejmować dzinsową kurtkę. Popatrzył na mnie z ponurą miną. – Usiądź na krawędzi.

Usadowiłem się na skraju fontanny. Kobieta uklękała i zdjęła mi buty oraz skarpetki, a następnie podwinęła nogawki spodni. Potem usiadła obok mnie. Mężczyzna, już bez kurtki, zajął miejsce po drugiej stronie. Oboje zdjęli buty i skarpetki. Następnie puścili luzem białe psy, które cierpliwie nas obserwowały oraz zerkały na Biff zwiniętą w kłębek na podłodze.

– No dobrze – rzekł mężczyzna. – Wejdz do źródła.

Wstałem i wszedłem do zimnej wody. Zauważyłem, że płytki w fontannie tworzą wzór olbrzymiej ryby, podobnej do tej, jaką kiedyś znalazłem na plaży i zjadłem – ogromnej srebrzystej ryby z płetwami

i skrzelami. Woda sięgała mi do kolan, ale cały byłem przemoczony za sprawą lodowatej mgiełki. Mimo to czułem się komfortowo.

Wpatrywałem się w ogromną rybę, na której stałem, gdy nagle mężczyzna i kobieta stanęli za mną. Edgar pochylił się, nabrał wody na złożone dłonie, po czym oparł mi je na głowie. Po chwili poczułem, jak jego dłonie się rozwierają, a woda spływa mi po twarzy.

– Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Kobieta położyła mi na głowie dużą miękką dłoń.

– Amen i chwała Panu – powiedziała cicho.

Wyszliśmy z fontanny i poczekaliśmy – mężczyzna, psy, Biff i ja – aż kobieta przyniesie ze sklepu Searsa kilka ręczników do wytarcia nóg. Osuszyliśmy stopy, włożyliśmy buty i w milczeniu podjęliśmy naszą wędrówkę.

Czułem się jeszcze bardziej lekko niż dotychczas, bardziej zdystansowany, a zarazem bardziej obecny; niezwykle żywo reagowałem na wszystko, co działo się poza mną, jak również w moim wnętrzu. Czułem, że przekroczyłem jakąś niewidzialną granicę, która czekała na mnie, odkąd opuściłem Ohio, i wkroczyłem do symbolicznej krainy, w której moje życie było „jak ptasie piórko na wierzchu mej dłoni”, a jego jedyny cel stanowiły moje własne doznania, wolne od odurzenia lekami. Jeżeli jednym z tych doznań miała być śmierć w wiecznym ogniu, musiałbym to zaakceptować.

Zastanawiam się teraz, gdy piszę te słowa, czy właśnie tak czują się ludzie, którzy postanawiają dokonać samospalenia. Jednak oni są odurzeni, nieświadomi. No i nie potrafią czytać.

Czy chrzest może naprawdę działać? Czy to możliwe, że istnieje Duch Święty? Nie sądzę.

Przeszliśmy w milczeniu szerokim korytarzem, a następnie ponownie wspięliśmy się po szerokich schodach. Światła za nami przygasały, muzyka cichła, fontanny przestawały tryskać wodą.

Kiedy byliśmy niemal na szczycie schodów, obejrzałem się na rozległe, opustoszałe centrum handlowe, z przygasającymi zyrandolami, wysychającymi fontannami i wciąż rozświetlonymi witrynami,

czekającymi na klientów, którzy nigdy się nie pojawiają. Wyczuwałem smutną godność bijącą od tego miejsca, od jego szerokiej, czystej pustki.

Wyprowadzili mnie na zewnątrz, gdzie już zapadł wieczór, a następnie powiedli w milczeniu do jednego z dużych budynków, który wznosił się obok obelisku – dużego, oficjalnie wyglądającego budynku ze starannie przyszczyżonym trawnikiem oczyszczonym z chwastów. Przeszliśmy na jego tył, gdzie znajdował się ogród, a także niedopasowany drewniany ganek, podobny do tego, jaki widziałem w „Narodzinach narodu”.

Weszliśmy przez drzwi na ganek i znaleźliśmy się w ogromnym, wysokim pokoju, w którym przebywało około trzydziestu osób ubranych w proste stroje. Wszyscy siedzieli w milczeniu wokół wielkiego drewnianego stołu, zupełnie jakby na mnie czekali. Wciąż się nie odzywali, gdy mężczyzna i kobieta prowadzili mnie wokół pomieszczenia. W pokoju panowała cisza jak w jadalniach w internacie i w więzieniu.

Przeszliśmy wąskim korytarzem do kolejnego, równie dużego pomieszczenia z rzędami drewnianych krzeseł ustawionych naprzeciwko podestu. Za podestem wisiał wyłączony ekran telewizyjny zajmujący całą ścianę.

Baleen doprowadził mnie do podestu. Leżała na nim duża czarna księga o całkowicie wytartej okładce, byłem jednak pewien, że jest to Biblia.

Lekkość i siła, które czułem w centrum handlowym, już mnie opuszczały. Stałem nieco zażenowany, spoglądając na ten cichy stary pokój, na zniszczone drewniane krzesła, portrety Jezusa na ścianach i duży ekran telewizyjny. Wkrótce zaczęli się pojawiać ludzie z kuchni. Wchodzili w ciszy dwójkami i trójkami, mężczyźni i kobiety, siadali na krzesłach i spoglądali na mnie z nieśmiałym zaciekawieniem. Wszyscy byli ubrani w dżinsy i proste koszule, i chociaż kilku mężczyzn nosiło brody, tak jak ja, większość była ogolona. Z nadzieją wypatrywałem młodych ludzi, lecz bezskutecznie; nie zobaczyłem nikogo młodszego ode mnie. Jedna z par trzymała się za ręce. Wyglądali na kochanków, ale oni również byli po czterdziestce.

Kiedy wszyscy już zajęli miejsca, Edgar Baleen wstał i gwałtownie uniósł ręce skierowane dłońmi ku górze.

– Bracia i siostry – odezwał się donośnym głosem.

Wszyscy patrzyli na niego z uwagą; kochankowie puścili swoje dłonie. Większość ludzi przysła z kimś w parze, ale w drugim rzędzie siedziała samotna kobieta mniej więcej w moim wieku. Była wysoka i, tak jak cała reszta, skromnie ubrana – miała na sobie dzinsową koszulę i niebieski fartuszek – ale robiła niezwykle wrażenie. Pomimo odczuwanej nerwowości, zerkąłem na nią, kiedy tylko mogłem, ale w taki sposób, żeby się nie zorientowała. Była naprawdę piękną kobietą; przyjemnie było na nią patrzeć i dzięki temu częściowo odsuwać od siebie myśli o wiecznym ogniu i o tym, co może mnie czekać. Czułem, że niezależnie od tego, co się wydarzy, kryzys został zażegnany, i mogę śmiało o niej rozmyślać.

Miała blond włosy, które lekko się kręciły po bokach głowy. Mimo że kobieta nosiła prosty strój, jej cera była jasna i nieskazitelna. Miała duże, jasne oczy oraz wysokie, gładkie czoło świadczące o inteligencji.

– Bracia i siostry – mówił Baleen. – Jak wszyscy wiecie, to był dobry rok dla rodziny. Żyjemy w pokoju ze swoimi sąsiadami, a Pan wciąż obficie nas obdarowuje w Wielkim Centrum Handlowym. – Skłonił głowę i uniósł wyprostowane ręce. – Módlmy się.

Członkowie grupy nisko pochyłili głowy, nie licząc kobiety, którą obserwowałem. Ona tylko lekko się ukloniła. Ja również pochyliłem głowę, nie chcąc ryzykować. Widziałem podobne spotkania na filmach, wiedziałem więc, że należy się kłaniać i milczeć.

Baleen wyrecytował rytualną modlitwę, którą najwyraźniej znał na pamięć:

– Boże, zachowaj nas od przeszłego i przyszłego opadu. Chroń nas przed wszystkimi Wykrywaczami. Obdarz nas swoją miłością i zachowaj nas od grzechu Prywatności. W imię Jezusa Chrystusa. Amen.

Poruszyły mnie słowa „grzech Prywatności”. Było to całkowite zaprzeczenie tego, czego mnie nauczono, a jednak coś we mnie pozytywnie zareagowało na ten zwrot.

Kiedy Baleen skończył, kilka osób zakaszłało i poruszyło się na swoich miejscach. Wszyscy ponownie unieśli wzrok.

– Bóg szczerze obdarzył Baleenów – rzekł mężczyzna już mniej podniosłym tonem – jak również wszystkie Siedem Rodzin w Miastach na Równinie. – Nachylił się nad pulpitem, chwytając go obiema dłońmi (zauważyłem, że są drobne i białe jak u kobiety, z zadbanymi paznokciami) i przemówił niskim, cichym głosem, niemal szeptem: – Możliwe, że Pan właśnie zesłał nam tłumacza swojego słowa albo proroka. Pojawił się pośród nas nieznajomy, który na moich oczach przeszedł próbę ognia i dowiódł swojej znajomości Pana.

Widziałem, że wszyscy na mnie patrzą. Pomimo nowych pokładów spokoju, które w sobie odnalazłem, czułem się zbity z tropu. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z takim zainteresowaniem. Zaczerwieniłem się i nagle zapragnąłem, żeby zadziałały dawne zasady Prywatności, które nie pozwalały ludziom zbyt intensywnie wpatrywać się w siebie nawzajem. W sali było co najmniej trzydzieści osób i wszystkie przyglądały mi się z niekłamanym zaciekawieniem lub podejrzliwością. Schowałem ręce do kieszeni, żeby powstrzymać ich drżenie. Biff stała u moich stóp i ocierała mi się o kostki. Przez chwilę pragnąłem, żeby także ona odeszła i przestała zwracać na mnie uwagę.

– Nieznajomy powiedział mi – ciągnął Baleen – że nosi w sobie dawną wiedzę. Twierdzi, że jest Czytającym.

Kilka osób sprawiało wrażenie zaskoczonych. Zgromadzeni jeszcze intensywniej wbili we mnie wzrok. Kobieta, którą obserwowałem, lekko się pochyliła, jakby chciała mi się dokładniej przyjrzeć.

Nagle Baleen wykonał obszerny gest ręką w moim kierunku.

– Podejdź do Księgi Życia i zacznij czytać – polecił. – Jeżeli rzeczywiście to potrafisz.

Popatrzyłem na niego, starając się zachować spokój, jednak serce tłukło mi się w piersi i drżały mi kolana. Tylu ludzi zgromadzonych w jednym miejscu! Chociaż się tego spodziewałem, nagle poczułem się tak, jakbym znów stał się osobą, którą byłem kiedyś – przed Robertem i Consuelą, przed Mary Lou, przed więzieniem, ucieczką i moją nową buntowniczą niezależnością. Kiedy byłem nieśmiałym wykładowcą i nauczałem o kontroli umysłu, zawsze denerwowałem się w obecności największych



grup studentów – złożonych z dziesięciu i dwunastu osób – nawet gdy miałem powtarzać słowa, które dobrze pamiętałem i wielokrotnie wypowiadałem. A przecież studentów szkolono, by nie nawiązywali ze mną kontaktu wzrokowego.

Jakoś udało mi się pokonać odległość kilku stóp dzielącą mnie od pulpitu, na którym leżała księga. Niemal potknąłem się o Biff. Baleen zrobił mi miejsce.

– Czytaj od początku – polecił.

Otworzyłem okładkę drżącą ręką, wdzięczny losowi, że mogę patrzeć w dół, a nie na twarze członków zgromadzenia. Długo wpatrywałem się w stronicę. Znajdował się na niej druk, ale litery z jakiegoś powodu nie miały sensu. Niektóre były bardzo duże, inne bardzo małe. Wiedziałem, że patrzę na stronę tytułową, ale nie potrafiłem zmusić mózgu do działania. Wpatrywałem się w kartkę. Wiedziałem, że to nie jest obcy język, a jednak nie umiałem uporządkować liter; były tylko znaczkami na pożółkłej kartce. Przestałem dygotać i zamarłem. To wszystko trwało nieznośnie długo. W moim umyśle pojawił się przerażający obraz, który przesłonił stronicę spoczywającą na dębowym pulpicie: żółto-pomarańczowy ogień na dnie dołu w centrum handlowym; jądrowy rdzeń, który mógł odparować moje ciało. „Czytaj”, powiedziałem sobie. Ale nic się nie działo.

Czułem, że Baleen się do mnie zbliża. Miałem wrażenie, że moje serce zaraz przestanie bić.

Nagle przede mną rozległ się wyraźny, silny kobiecy głos:

– Czytaj księgę. Czytaj dla nas, bracie.

Kiedy podniosłem wzrok, oszołomiony, zauważyłem, że wpatruje się we mnie piękna, wysoka, samotna kobieta.

– Dasz radę! Czytaj nam.

Ponownie spojrzałem na księgę i wtem wszystko stało się proste. Wielkie czarne litery, które wypełniały większą część strony, głośniły: „Biblia”.

Odczytałem je:

– „BIBLIA”.

Niżej znajdowały się małe litery:

– „Wydanie skrócone i zaktualizowane dla potrzeb współczesnych czytelników”.

A na dole strony:

– „Seria Skróconych Książek Reader’s Digest, Omaha, 2123”.

To był cały tekst na tej stronie. Przewróciłem kartkę i zobaczyłem kolejną stronę, wypełnioną drukiem. Zacząłem czytać, już spokojniej:

– „»Księga Rodzaju« autorstwa Mojżesza. Najpierw Bóg stworzył świat i niebo, ale świat nie miał żadnego kształtu i nikt na nim nie mieszkał. Było też ciemno, dopóki Bóg nie powiedział: »Niech się zrobi jasno!«, a wtedy pojawiło się światło...”.

Czytałem dalej, coraz swobodniej i spokojniej. Tekst bardzo się różnił od Biblii, którą czytałem w więzieniu, ale tamta była znacznie starsza.

Kiedy skończyłem czytać stronę, podniosłem wzrok.

Piękna kobieta patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Miała lekko rozchylone usta. Na jej twarzy malowały się zachwyty i podziw.

Odzyskałem wewnętrzny spokój, ale jednocześnie poczułem się taki zmęczony, wyczerpany, zużyty i przytłoczony, że opuściłem głowę na pulpit i zamknąłem oczy, opróżniając umysł ze wszystkiego poza słowami:

*Moje życie bez wagi czeka na wiatr śmierci,*

*Jak ptasie piórko na wierzchu mej dłoni.*

Usłyszałem szuranie krzesel na podłodze, gdy mężczyźni i kobiety wstawali z miejsc, potem kroki ludzi wychodzących w milczeniu z dużej sali, ale nie podnosiłem wzroku.

W końcu poczułem na ramieniu czyjąś dłoń, silną, ale delikatną, i otworzyłem oczy. To był Edgar Baleen.

– Czytający – rzekł. – Chodź ze mną.

Zmierzyłem go wzrokiem.

– Czytający. Przeszedłeś próbę. Zostałeś ochrzczone. Jesteś bezpieczny od ognia. Musisz odpocząć.

Westchnąłem.

– Tak. Tak. Muszę odpocząć.

\* \* \*

A zatem z więźnia stałem się „Czytającym” dla grupy chrześcijan i kimś w rodzaju kapłana. Od tamtej pory, już od kilku miesięcy, każdego ranka i wieczoru czytam im Biblię, a oni słuchają w milczeniu. Ja czytam, oni słuchają i nikt nic nie mówi.

Kiedy teraz piszę te słowa w swoim domu w Maugre, samotny, bezpieczny i najedzony, prawie nie pamiętam, jak dziwnie mieszkało mi się z Baleenami. Pod wieloma względami moje starsze wspomnienia dotyczące Mary Lou i niemych filmów są wyraźniejsze i wydają się bardziej współczesne, chociaż już za chwilę znów pojawię się na wieczornym czytaniu. Cały dzień, od czasu porannego czytania, spędziłem na pisaniu. Teraz przerwę, nakarmię Biff i wypiję szklaneczkę whisky. Jutro spróbuję dokończyć tę nową relację ze swojego życia. A także opowiem smutną historię Annabel.

Tamtej pierwszej nocy Edgar zostawił mnie w pokoju na piętrze, żebym się przespał. W pomieszczeniu stały dwa łóżka z ramami szczytowymi wykonanymi z miedzianych rurek. Przypominały łóżko, w którym umarł staruszek w filmie z zatrzymanym zegarem i zawodzącym psem. Zdjąłem buty i położyłem się w ubraniu, a Biff wspięła się na kołdrę, zwinęła w kłębek u moich stóp, po czym natychmiast zasnęła. Zazdrościłem jej. Chociaż czułem się wykończony, a łóżko było najwygodniejszym posłaniem, na jakim kiedykolwiek miałem okazję leżeć – dzięki niezwykle grubemu materacowi i różowej kołdrze w kwiaty oznaczonej metką z napisem „SEARS – gęsie pierze” – nie mogłem zasnąć. Miałem przepełniony umysł. Leżałem w ciemnym pokoju, ze zmysłami wyostrzonymi przez zmęczenie, a do mojego umysłu z nadnaturalną wyrazistością napływały liczne obrazy z przeszłości. Przypominało to działanie technik kontroli umysłu, o których uczyłem się i wykładałem w Ohio, jednak wyraziste halucynacje nie były wywołane zwyczajowymi narkotykami, a ja nie miałem nad nimi kontroli.

Zobaczyłem Mary Lou czytającą na podłodze w bibliotece, puste oblicza starzejących się studentów z mojego niewielkiego seminarium w Ohio, którzy siedzieli ze spuszczonego wzrokiem, ubrani w dzinsowe studenckie szaty, nadęci i pogodni, a także dziekana Spoffortha, wysokiego,

inteligentnego, przerażającego, ciemnobrażowego i nieodgadnionego. Zobaczyłem siebie jako dziecko, stojące na środku placu przed Salami Sypialnymi dla młodszej młodzieży w internacie. Otrzymałem jednodniową karę za Zakłócenie Prywatności, kiedy podzieliłem się swoim jedzeniem z innym dzieckiem. Zasady odbywania kary wymagały, żebym stał nieruchomo i pozwalał, by wszystkie dzieci przechodzące przez plac dotykały mojej twarzy, rąk albo klatki piersiowej. Pod wpływem każdego dotyku czułem, że coś mi się skręca w środku, a moja twarz płonęła ze wstydu.

Potem zobaczyłem mały boks Prywatności, który był pierwszym miejscem, w jakim sypiałem. Znajdowało się w nim wąskie, twarde, klasztorne łóżko, a ze ścian zbudowanych z dźwiękoszczelnego permoplastiku dobiegał Soulowy Muzak. Na podłodze leżał dywanik, na którym odmawiałem swoje modlitwy: „Niech Kierownicy sprawią, bym wzrastał wewnętrznie. Niech poprzez Zachwyt i Pogodę Ducha osiągnę Nirwanę. Niech nie dotyka mnie nic zewnętrznego...”. Był także osobisty telewizor wielkości całej ściany, któremu całkowicie się oddawałem, porzucając swoje dziecięce ciało na całe godziny, podczas gdy obrazy rozkoszy, radości i pokoju pojawiały się na migoczącej, holograficznej powierzchni. Moje ciało miało za zadanie jedynie dostarczać mózgowi substancji chemicznych potrzebnych do trwania w stanie pustej bierności. Zażywałem sopory, kiedy telewizor dawał mi sygnał, błyskając lawendowym światłem.

Po kolacji oglądałem telewizję, a potem o niej śniłem: o jasnych, hipnotycznych obrazach i bezustannym spełnieniu umysłu pozbawionego ciała.

A teraz, leżąc w dziwacznej starej sypialni, pod koniec dnia, podczas którego zostałem ochrzczony wodą i niemal strawiony przez atomowy ogień, a także czytałem Księgę Rodzaju rodzinie nieznanym, nie mogłem zasnąć z powodu wyobraźni, nad którą straciłem panowanie. Jak przystało na dziecko współczesnego świata, ogarniało mnie pragnienie powrotu do prostoty mojego dawnego życia. Pożądałem soporów, marihuany oraz innych narkotyków, od których rozkwitał umysł,

Chemicznej Pogody Ducha, seansów telewizyjnych, modlitw do „Kierownika”, kimkolwiek był, a także słodkiego, odurzonego, pełnego marzeń snu w moim permoplastikowym pokoju – klimatyzowanym, cichym, wolnym od zamieszania, pragnień, niepokojów i rozpacz, z których składało się moje nowe życie. Już nie chciałem żyć z tym co rzeczywiste; to zbyt ciężar. Przykry i dojmujący.

Przypomniałem sobie film o starym koniu, któremu uszy sterczały przez otwory w słomkowym kapeluszu. A także słowa: „Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu”. Myślałem o sobie i Mary Lou, zapewne ostatnim pokoleniu ludzi na Ziemi pozbawionej dzieci i przyszłości. Widziałem płonące twarze w restauracji Burger Chef, przyjmujące pośród płomieni ostateczną śmierć swojego gatunku.

Przytłaczał mnie smutek. A jednak nie płakałem.

Widziałem puste i surowe oblicza robotów, które zajmowały się nami, gdy byliśmy mali. A także oblicze sędziego podczas mojej rozprawy. Oraz uśmiechniętą twarz Belasca o mądrych, cynicznych oczach.

W końcu, gdy miałem wrażenie, że te obrazy już nigdy nie przestaną kłębić się w moim zmęczonym umyśle, zapaliłem zasilaną baterią lampkę przy łóżku, znalazłem „Obsługę i naprawę robotów według Audela” i otworzyłem ją na pustych stronach na końcu, gdzie przed ucieczką z więzienia przepisałem kilka wierszy. Przeczytałem „Wydrażonych ludzi”, wiersz, który czytaliśmy razem z Mary Lou, kiedy Spofforth mnie aresztował:

*I tak się właśnie kończy świat  
I tak się właśnie kończy świat  
I tak się właśnie kończy świat  
Nie hukiem ale skomleniem.*

Nie pocieszył mnie, chociaż brzmiał prawdziwie, sprawił jednak, że obrazy zniknęły z mojego umysłu.

A potem, kiedy właśnie się odprężyłem, czytając wiersz Roberta Browninga, wydarzyło się coś niepokojącego.

Drzwi mojego pokoju się otworzyły i wszedł Roderick, jeden z synów starego Baleena. Nie odezwał się, tylko skinął do mnie głową, a następnie zaczął się rozbierać na środku pokoju, nie zważając na zasady Prywatności, Skromności ani moje Osobiste Prawa. Obnażył swoją włochatą skórę, nucąc coś pod nosem. Potem uklęknął przy łóżku i zaczął się modlić na głos:

– O Panie, najpotężniejszy i najokrutniejszy, przebacz mi moje żalose słabości i grzechy oraz uczyni mnie pokornym i godnym. W imię Jezusa. Amen.

Następnie położył się na łóżku, zwinął w kłębek i niemal natychmiast zachrapał.

Wcześniej niemal bezwiednie przytaknałem Baleenowi, gdy wspominał o „grzechu Prywatności”, ale teraz wstrząsnęło mną to bezceremonialne najście w mojej sypialni. Przywykłem do samotności na pustych plażach, gdzie towarzyszyła mi tylko Biff.

Usiłowałem dalej czytać poemat „Kaliban o Setebosie”, ale słowa, i tak trudne w odbiorze, wydawały mi się pozbawione sensu i nie mogłem się odprężyć.

A jednak, o dziwo, wkrótce zasnąłem i obudziłem się dopiero rano, wypoczęty. Roderick zniknął, a Biff siedziała w kącie pokoju i trącała łapą małą kulkę przędzy. Przez koronkowe firany wpadało światło słońca. Z dołu docierał do mnie zapach jedzenia.

W dalszej części długiego korytarza, obok którego nocowałem, znajdowała się duża wspólna łazienka. Stary Edgar Baleen pokazał mi ją, zanim odprowadził mnie do pokoju. Na drzwiach łazienki wisiała wiekowa, zielonkawa tabliczka z wypukłym napisem „Panowie”. Wewnątrz znajdowało się sześć czystych białych sedesów oraz sześć kabin. Obmyłem się najdokładniej jak potrafiłem, a następnie uczesałem włosy i brodę. Przydałaby mi się kąpiel, ale nie wiedziałem, jak ją zorganizować. Poza tym miałem znoszone i podarte ubrania. Nowe, które dla siebie wybrałem, zostały w sklepie. W końcu zszedłem po dużych frontowych schodach do kuchni.

Na kamiennym łuku nad drzwiami budynku widniał wyrzeźbiony napis: „Miejski Sąd: Maugre”. Poprzedniego dnia napis nie zrobił na mnie większego wrażenia, ale kiedy teraz stałem w kuchni, wyobraziłem sobie, że to pomieszczenie, podobnie jak sala, w której czytałem Biblię, w dawnym świecie służyło jako sala rozpraw. Było bardzo duże i wysokie, a w obu dłuższych ścianach znajdowały się wysokie i wąskie łukowo sklepione okna. Ogromny pusty stół na środku pomieszczenia wyglądał, jakby ktoś dawno temu zbudował go za pomocą piły łańcuchowej z Searsa, a dookoła niego ustawiono surowe ławy.

Wzdłuż jednej ze ścian, pod oknem, stała szeroka prosta czarna kuchenka. Po jej obu stronach piętrzyły się sterty drewna, a także ciągnęły drewniane blaty, które sprawiały wrażenie wypolerowanych, wyszorowanych i zużytych. Nad kuchenką znajdowały się białe emaliowane drzwi piekarnika, obok nich zaś wisiły w rzędzie duże garnki i patelnie zajmujące połowę długości pomieszczenia. Pod przeciwległą ścianą stało osiem zasilanych bateriami białych lodówek, wszystkie oznaczone napisem KENMORE. Obok znajdował się długi i głęboki zlewozmywak. Stały przy nim dwie kobiety w niebieskich sukienkach sięgających do podłogi i myły naczynia. Były odwrócone do mnie plecami.

Wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru. Na stole stały szklane puchary ze świeżo ściętymi żółtymi tulipanami, a salę wypełniały promienie słońca oraz woń bekonu i kawy. Kobiety nie obejrzały się na mnie, chociaż z pewnością słyszały moje kroki na gołej podłodze.

Podszedłem do zlewozmywaka i się zawahałem.

– Przepraszam – odezwałem się po chwili.

Jedna z kobiet, niska, przysadzista i białowłosa, obróciła się i popatrzyła na mnie, ale nic nie powiedziała.

– Czy mógłbym dostać coś do jedzenia?

Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem odwróciła się, zdjęła żółte pudełko z półki nad zlewem i podała mi je. Na pudełku widniały napisy: „Kawa ratunkowa, błyskawiczna. Ministerstwo Obrony Narodowej: Maugre. Napromieniowana w celu zabezpieczenia przed zepsuciem”.

Kiedy czytałem etykietę, kobieta przyniosła mi duży szorstki ceramiczny kubek oraz łyżeczkę z suszarki obok zlewozmywaka.

– Skorzystaj z samowara – odpowiedziała, wskazując głową kuchenkę po drugiej stronie pomieszczenia.

Zaparzyłem sobie kubek mocnej czarnej kawy i zacząłem ją sączyć przy stole.

Druga z kobiet otworzyła lodówkę, coś z niej wyjęła, a następnie również podeszła do kuchenki. Zauważyłem, że to ta sama kobieta, którą obserwowałem poprzedniego wieczoru i która zachęciła mnie do czytania. Nie patrzyła na mnie. Sprawiała wrażenie nieśmiałej.

Wyciągnęła coś z jednego z piekarników, położyła na półmisku i przyniosła do stołu. Unikając mojego spojrzenia, postawiła półmisek przede mną, a obok niego umieściła miseczkę z masłem i nożem. Naczynia były ciężkie i ciemnobrązowe.

Podniosłem na nią wzrok.

– Co to jest? – spytałem.

Popatrzyła na mnie, zapewne zaskoczona moją niewiedzą.

– Ciasto drożdżowe z bakaliami.

Nigdy czegoś takiego nie widziałem i nie miałem pojęcia, jak się do niego zabrać. Odkroiła kawałek ciasta nożem, posmarowała masłem i mi podała.

Spróbowałem. Ciasto było słodkie, gorące, z wierzchu pokryte orzechami. Przepyszne. Kiedy skończyłem, podała mi następny kawałek, nieśmiało się uśmiechając. Wyglądała na podenerwowaną, co mnie zdziwiło, gdyż poprzedniego wieczoru nie brakowało jej śmiałości.

Ciasto i kawa były tak smaczne, a jej nieśmiałość tak bardzo przypominała reakcje, których nauczyłem się oczekiwać od ludzi, że odważyłem się odezwać do niej przyjacielskim tonem.

– To ty je upiekłaś? – spytałem.

Pokiwała głową.

– Masz ochotę na omlet?

– Omlet? – Kiedyś już słyszałem to słowo, ale nigdy nie widziałem samej potrawy. Miała coś wspólnego z jajkami.



Kiedy nie odpowiedziałem, podeszła do lodówki i wróciła z trzema dużymi prawdziwymi jajkami. Jadałem prawdziwe jajka tylko podczas ważnych uroczystości, na przykład z okazji zakończenia nauki w internacie. Zniosła je do kuchni i wbiła do brązowej ceramicznej miseczki, a następnie postawiła na palniku małą płytką czarną patelnię i podgrzała na niej nieco masła. Potem energicznie zabełtała jajka, wlała je na patelnię i z ogromną zręcznością zaczęła przesuwac naczyniem po kuchence, jednocześnie mieszając jajka widelcem. Wyglądała przy tym pięknie. Potem chwyciła patelnię za rączkę, przyniosła ją do stołu, przechyliła i zsunęła elegancki jajeczny półksiężyc na mój talerz.

– Zjedz go widelcem – pouczyła.

Odgryzłem jeden kęs. Smakował cudownie. Skończyłem jeść w milczeniu. Nawet dzisiaj jestem zdania, że tamten omlet oraz ciasto stanowiły najlepszy posiłek w moim życiu.

Po jedzeniu poczułem się jeszcze pewniej, więc podniosłem na nią wzrok i spytałem:

– Nauczysz mnie robić omlet?

Wyglądała na oszołomioną i nic nie odpowiedziała.

Po chwili od strony zlewozmywaka dobiegł głos drugiej kobiety:

– Mężczyźni nie gotują.

Kobieta obok mnie przez chwilę się wahała, aż w końcu odrzekła cicho:

– Ten mężczyzna jest inny, Mary. To Czytający.

Mary się nie obejrzała.

– Mężczyźni są w polu – odparła. – Pracują, jak Bóg przykazał.

Kobieta, która stała obok mnie, może była nieśmiała, ale miała własne zdanie. Zignorowała Mary i zwróciła się do mnie:

– Przeczytałeś napisy na pudełku z kawą, kiedy ci je dała?

– Tak.

Podeszła do kuchni i przyniosła pudełko.

– Odczytaj mi je – poprosiła, a ja spełniłem jej prośbę. Z wielką uwagą mnie słuchała, a kiedy skończyłem, zapytała: – Co to jest „Maugre”?

– Nazwa tego miasteczka – odpowiedziałem. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

Popatrzyła na mnie z szeroko otwartymi ustami.

– Miasteczko ma nazwę?

– Tak sądzę.

– Wiem, że ten dom ma nazwę – powiedziała. – Baleena.

Tak postanowiłem ją zapisywać: nikt wcześniej tego nie robił, dopiero ja to zrobiłem, dużo później, dla starego Edgara.

– Zatem Baleena znajduje się w miasteczku Maugre – odrzekłem.

Pokiwała głową z namysłem, a następnie przyniosła miseczkę jajek z lodówki. Zaczęła mnie uczyć przyrządzać omelet.

Właśnie tak poznałem Annabel Baleen.

\* \* \*

Annabel tamtego ranka nauczyła mnie robić omelet oraz suflet. Razem upiekliliśmy ciasto drożdżowe; pokazała mi, jak wyrobić ciasto z mąki oraz jak używać drożdży. Mąka pochodziła z dużego pojemnika stojącego pod blatem, na którym pracowaliśmy; Annabel twierdziła, że uprawiają ją „na polu”. Tam znajdowali się wszyscy pozostali członkowie rodziny. Annabel zawsze zajmowała się kuchnią; stwierdziła, że przydzielono jej takie zadanie, ponieważ jest „samotniczką”. Druga kobieta miała jej pomagać w sprzątanii po posiłkach. Przez resztę czasu pracowała w ogródku kwiatowym przed domem. Annabel przez kilka lat pracowała w polu, ale nie znosiła tego zajęcia oraz tego, że nikt się tam nie odzywał podczas pracy. Kiedy staruszka opiekująca się kuchnią zmarła, Annabel poprosiła o jej stanowisko i je dostała. Zajmowała się gotowaniem od trzynastu lat. Najpierw jako mężatka, a teraz jako wdowa. Liczenie czasu w latach oraz „małżeństwo” nie były dla mnie nowymi ideami i chociaż dziwnie było słyszeć o nich z jej ust, rozumiałem, o czym mi opowiadała.

Nie licząc mąki i jaj, wszystkie pozostałe składniki do gotowania pochodziły ze schronów w centrum handlowym. Annabel prosiła, żebym czytał jej wszystkie etykiety, na torebkach z drożdżami, na puszcze z pieprzem, na pudełku z napromieniowanymi orzechami pekanowymi.

Na wszystkich opakowaniach widniał napis „Ministerstwo Obrony Narodowej: Maugre”.

Podczas nauki gotowania Annabel była cicha i serdeczna; nie pytała o nic poza treścią etykiet. Kilka razy miałem ochotę poprosić, żeby opowiedziała mi coś o sobie i swojej rodzinie, między innymi, w jaki sposób udaje im się unikać nowoczesnego stylu życia, ale kiedy zaczynałem zadawać pytanie, w mojej głowie pojawiała się myśl „O nic nie pytaj; odpręż się”, i dochodziłem do wniosku, że tym razem jest to dobra rada. Annabel była bardzo piękna i poruszała się w kuchni zręcznie i elegancko; przyjemnie było obserwować ją przy pracy.

Jednakże po południu zaczęła sprawiać wrażenie udręczonej i nieco smutnej. W pewnej chwili sięgnęła do szafki pod blatem i wyjęła duże niebieskie pudełko. Pokazała mi etykietę.

Duże litery układały się w słowo VALIUM, mniejszy napis pod spodem głosił: „Blokowanie płodności”, a jeszcze niżej napisano „Kontrola Populacji Stanów Zjednoczonych. Zażywać wyłącznie pod opieką lekarza”.

– Kto to jest „lekarz”? – spytała, kiedy odczytałem etykietę.

– Jakiś dawny uzdrowiciel – odparłem, chociaż nie byłem pewien. Jednocześnie pomyślałem: „Czy to dlatego nigdzie nie ma dzieci? Czy wszystkie środki uspokajające i sopory tak działają? Blokują płodność?”.

Zażyła dwie pigułki i popiła je kawą. Kiedy podsunęła mi pudełko, pokręciłem głową. Popatrzyła na mnie pytająco, ale nic nie powiedziała. Jedynie wrzuciła garść valium do kieszeni fartucha i schowała pudełko pod blat.

– Muszę przygotować lunch – oznajmiła.

Przez kolejną godzinę błyskawicznie pracowała, podgrzewając dwa garnki zupy i robiąc kanapki z serem z dużych kromek ciemnego pieczywa, które kroїła nożem. Zaproponowałem, że jej pomogę, ale udawała, że nie słyszy. Zastawiła stół dużymi brązowymi talerzami i miseczkami na zupę. Chciałem się na coś przydać, więc przyniosłem stertę talerzy z jednej z szafek.

– Te talerze są niezwykle – zauważyłem.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Sama je zrobiłam.

To mnie zaskoczyło; nigdy nie słyszałem o tym, żeby ktoś samodzielnie wyrabiał takie przedmioty jak talerze. Poza tym w sklepie Searsa był cały dział z talerzami i innymi naczyniami. Nie miałem pojęcia, po co ktoś miałby się trudnić ich produkcją.

Kiedy dostrzegła moje zdziwienie, podniosła jedno z naczyń i je odwróciła. Na dnie znajdował się znak, który wyglądał znajomo.

– Co to jest? – spytałem.

– Mój symbol garncarski. Kocia łapa. – Uśmiechnęła się do mnie niewyraźnie. – Ty masz kota.

Miała rację. Biff zostawiała na piasku takie same ślady, tylko mniejsze.

– Mój mąż i ja kiedyś też mieliśmy kota, tylko jednego, ale zginął jeszcze przed śmiercią mojego ojca. Zabił go jeden z psów.

– Aha – odrzekłem i zacząłem rozstawiać talerze na stole.

Po chwili usłyszałem jakiś hałas na zewnątrz, a kiedy podniosłem wzrok, za oknem zobaczyłem dwa stare zielone myślobusy, które zatrzymały się przed domem. Wysiedli z nich w milczeniu mężczyźni z psami.

Wyszedłem na światło słońca i zobaczyłem, jak myją się pod dwoma kranami na tyłach budynku. Robili to w ciszy i wielkim skupieniu. Byłem zaskoczony, spodziewałem się bowiem śmiechów i ochlapywania wodą, tak jak to się działo wśród więźniów. Tymczasem tutaj nawet psy zachowywały się cicho i tuliły do siebie nawzajem białymi ciałami, od czasu do czasu zerkając na mnie różowymi ślepiami.

Wkrótce do mężczyzn dołączyły kobiety, które nadeszły od strony ogródka kwiatowego i niewielkich budynków gospodarczych, w których pracowały. Wszyscy razem weszli do kuchni i zasiedli przy stole. Baleen nakazał mi gestem, abym również usiadł, więc zająłem miejsce na ławie, która wydawała mi się najmniej zatłoczona.

Kiedy wszyscy oprócz Annabel już siedzieli, pochyłili głowy nad talerzami, a stary Baleen zaczął się modlić, zaczynając tymi samymi słowami co Rod poprzedniego wieczoru:

– O Panie, najpotężniejszy i najokrutniejszy, przebacz nam nasze żalosne słabości i grzechy. – Jednak dalszy ciąg modlitwy brzmiał inaczej. –

Zachowaj nas przed nuklearnym deszczem z Niebios oraz grzechami Dawnych Ludzi. Pozwól nam poznać i poczuć twoją całkowitą władzę nad ludzkim życiem w tym ostatecznym czasie.

Wszyscy jedli w milczeniu. Próbowałem się odezwać do mężczyzny siedzącego obok i pochwalić smak zupy, ale mnie zignorował.

Nikt nie podziękował Annabel za posiłek.

Spędziłem popołudnie samotnie, czytając w swoim pokoju.

Wieczorem, podczas kolacji, z przyjemnością znów zobaczyłem Annabel, chociaż była zbyt zajęta podawaniem posiłku, żeby ze mną porozmawiać. Kiedy tylko mogłem, przyglądałem się jej twarzy i miałem wrażenie, że przepelniają ją smutek i melancholia, gdy ustawiała jedzenie na stole i zabierała puste talerze. Bardzo ciężko pracowała. Ktoś powinien jej pomagać, nie tylko przy zmywaniu naczyń.

Miałem nadzieję, że po kolacji będę miał okazję z nią porozmawiać, ale Baleen polecił mi się udać do Sali Biblijnej, a Annabel została w kuchni, żeby pozmywać.

Kiedy weszliśmy do Sali Biblijnej, telewizor już był włączony, a miejsca siedzące wkrótce wypełniły się Baleenami obojga płci, którzy w milczeniu wpatrywali się w ekran. Wyświetlano na nim jedno z dawnych Autentycznych Nagrań – rzadkiej odmiany programów, które opowiadały logiczną, rzeczową historię z wykorzystaniem aktorów. Nie dało się ocenić, czy aktorzy są ludźmi, czy robotami. Fabuła opowiadała o młodej dziewczynie, którą porwał i wielokrotnie zgwałcił gang wyrzutków sprzeciwiających się Prywatności, którzy uciekli z Rezerwatu dla Wyłączonych. Dręczyli dziewczynę na rozmaite sposoby. Chociaż podobne programy stanowiły część mojego szkolenia w dzieciństwie oraz badań na studiach, od oglądania tych obrazów zrobiło mi się niedobrze, co nie zdarzyłoby się jeszcze kilka lat wcześniej.

W połowie programu zacisnąłem powieki, żeby już go nie oglądać. Od czasu do czasu słyszałem pomruki otaczających mnie Baleenów. Od początku całkowicie wciągnęła ich opowieść na ekranie. To było straszne.

Kiedy program dobiegł końca – sądząc po odgłosach, Wykrywacze ocalili dziewczynę – wyłączono ekran, a mnie doprowadzono do pulpitu,

gdzie miałem czytać.

Podczas czytania wkrótce dotarłem do fragmentu o Noem, który pamiętałem z więzienia. Noe był człowiekiem ocalonym przez Boga z potopu, który zniszczył całe pozostałe życie na Ziemi. W tekście pojawiły się następujące słowa:

„Bóg rzekł do Noego: »Boli mnie, jak odrażający stali się wszyscy ludzie, gdyż przez nich Ziemia napełniła się przemocą. Zamierzam ich zniszczyć«”.

Kiedy przeczytałem „Zamierzam ich zniszczyć”, stary Baleen, który stał obok mnie, wykrzyknął donośnie „Amen!”, a po chwili zawtórowali mu ludzie stojący przede mną. Przeraziło mnie to, ale czytałem dalej.

Po czytaniu miałem nadzieję, że uda mi się porozmawiać z Annabel, ale stary Baleen zaprowadził mnie do centrum handlowego i czekał, kiedy wybierałem sobie nowe ubrania w sklepie Searsa. Chciałem rzucić okiem na inne dawne przedmioty zgromadzone w tym ogromnym sklepie, ale stary stwierdził: „To święty teren” i mi nie pozwolił. Nie powiedział mi tego wprost, ale wyczułem, że będzie lepiej dla mnie, jeśli nikt mnie tutaj więcej nie przyłapie.

Mimo to zamierzałem tam wrócić. Nie czułem takiego respektu dla Zasad co kiedyś i nie bałem się Edgara Baleena.

Wyszliśmy z centrum handlowego. Ubrany w nowe dżinsy i czarny golf, czułem się dziwnie uradowany i kiedy w blasku księżyca przemierzaliśmy krótką odległość dzielącą nas od Baleeny, nagle coś mi przyszło do głowy.

– Czy mógłbym przez kilka dni pomagać Annabel w kuchni? – spytałem.  
– Nie znam się na pracy w gospodarstwie. – To nie była prawda; po prostu nienawidziłem takiej pracy.

Edgar zatrzymał się i przez chwilę milczał.

– Dużo mówisz – stwierdził w końcu.

Z jakiegoś powodu nieco mnie to rozgniewało.

– Dlaczego miałbym tego nie robić? – spytałem.

– Gadanie nic nie kosztuje – odparł, a ja pomyślałem: co to ma wspólnego z moim zapytaniem?

Milczał jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem dodał:

– Życie to poważna sprawa, Czytający.

Pokiwałem głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. To najwyraźniej mu wystarczyło.

– Możesz pomagać Annabel.

\* \* \*

Annabel nie uważała, że gadanie nic nie kosztuje, chociaż nikt inny nie podzielał jej zdania. W pewnym sensie nie była jedną z nich. Pochodziła ze Swisherów, jednej z pozostałych Siedmiu Rodzin, ale zmieniła nazwisko na Baleen, kiedy wyszła za mąż za jednego z synów starego Baleena. Swisherowie byli bardziej rozmowni, ale mniej płodni od Baleenów. Pozostało tylko troje członków tego rodu, dwaj starcy i na wespół obłąkana staruszka, matka Annabel. Mieszkali w tak zwanym Domu Swisherów, oddalonym o kilka mil wzdłuż wybrzeża, i prowadzili z Baleenami handel wymienny, dając im benzynę w zamian za jedzenie i ubrania z centrum handlowego. Pozostałe rodziny, które zamieszkiwały tak zwane Miasta na Równinie, były mniejsze i słabsze od Baleenów. Każda zajmowała się uprawą ziemi. Annabel wyjaśniła, że Baleenowie są bardziej religijni od reszty, ale wszyscy są „chrześcijanami”.

Zapytałem ją o reakcję, z jaką spotkało się moje czytanie o Noem. Wciąż wyraźnie pamiętam, jak wyglądała, gdy mi to tłumaczyła; widzę jej jasne włosy spięte w kok, kubek kawy w dłoni i nieśmiałe, smutne niebieskoszare oczy.

– Chodzi o mojego teścia – odparła. – Uważa, że jest prorokiem. Sądzi, że dzieci przestały się rodzić dlatego, że Pan każe świat za grzechy, tak jak za czasów Noego. Każdy zna tę historię. Opowiadała mi ją matka, chociaż w nieco innej wersji niż w twoim czytaniu. Nie wspominała, że Noe się upił, ani nie opowiadała o jego synach.

– Czy Edgar Baleen oczekuje, że zostanie ocalony, tak jak Noe?

Uśmiechnęła się.

– Tego nie wiem. Nie wiem, jak to by się mogło stać. Jest za stary, żeby mieć dzieci.

Zadałem jej bardziej osobiste pytanie. Trudno mi było przywyknąć do ciągłego Naruszania Prywatności, mimo że Baleenowie nie uznawali tej zasady.

– Co się stało z twoim mężem?

Upiła łyżeczek kawy.

– Popęłnił samobójstwo. Dwa lata temu.

– Aha.

– Razem z dwoma braćmi zażyli trzydzieści soporów, a potem oblali się benzyną i podpalili.

Byłem zaszokowany. Taką samą scenę widziałem w Nowym Jorku, w restauracji Burger Chef.

– Ludzie robią takie rzeczy w Nowym Jorku – stwierdziłem.

Spuściła wzrok.

– To się stało tutaj, we wszystkich rodzinach. Mój mąż chciał, żebym została trzecim członkiem tej grupy. Pociągał mnie ten pomysł, ale odmówiłam. Chcę jeszcze trochę pożyć. – Wstała od stołu, przy którym siedzieliśmy, i zaczęła odnosić naczynia do zlewu. – Przynajmniej wydaje mi się, że chcę.

Znużenie, które nagle pojawiło się w jej głosie, sprawiło, że powstrzymałem się od komentarza.

Kiedy posprzątała ze stołu, zaparzyła sobie kolejną kawę i ponownie usiadła.

– Myślisz, że kiedyś znów wyjdiesz za mąż? – spytałem po długim milczeniu.

Popatrzyła na mnie ze smutkiem.

– To niedozwolone. Żeby wyjść za któregoś z Baleenów, kobieta musi być... dziewicą. – Zarumieniła się i spuściła wzrok.

Dziwnie się czułem, rozmawiając na takie tematy, gdyż nigdy wcześniej nie spotkałem ludzi, którzy by zawierali małżeństwa. Spotkałem się z tym zagadnieniem w książkach i filmach, więc wiedziałem, że niegdyś



uważano, że mężczyzna popełnia błąd, żeniąc się z „upadłą kobietą”, jaką często odgrywała Gloria Swanson, lecz nie przypuszczałem, że można uznać wdowę za „upadłą”. Jednakże takie kwestie były mi całkowicie obce. Nauczono mnie, że „Szybki seks jest najlepszy”. Dopiero zaczynałem zdawać sobie sprawę, że na świecie jest pełno ludzi, którzy nie odebrali takiej edukacji.

Nasza rozmowa toczyła się późnym rankiem i teraz pamiętam, że wtedy po raz pierwszy poczułem seksualny pociąg do Annabel. Siedziała spokojnie z melancholijną miną, trzymając jeden z dużych ceramicznych kubków do kawy, które sama wyrabiała w szopie garncarskiej po drugiej stronie ogrodu różanego. Kiedyś pozwoliła mi popatrzeć i z podziwem obserwowałem ją przy kole garncarskim, zadziwiony pewnością jej ruchów, gdy kształtowała mokrą glinę w idealny walec. Dłonie i nadgarstki miała ubrudzone szarą, gliniastą wodą, a inteligentne spojrzenie całkowicie skupiała na swojej pracy. Ogromnie ją wtedy szanowałem i podziwiałem, ale nie pożądałem jej fizycznie.

Jednakże teraz, gdy siedziałem z nią sam na sam przy dużym stole, zdałem sobie sprawę ze swojego podniecenia. Zmieniłem się. Dokonała tego Mary Lou, a także filmy, książki, więzienie i późniejsze życie. Zapragnąłem szybkiego seksu z Annabel. Chciałem się z nią kochać, i, co ważniejsze, pragnąłem jej dotknąć i rozwiać smutek, który najwyraźniej ogarniał jej ducha.

Odstawiła kubek z kawą i wpatrywała się w okna. Wyciągnąłem dłoń i delikatnie dotknąłem jej przedramienia.

Natychmiast cofnęła rękę, rozlewając resztkę kawy.

– Nie – odparła, nie patrząc na mnie. – Nie wolno ci.

Przyniosła szmatkę ze zlewu i wytarła rozlaną kawę.

\* \* \*

Przez kilka kolejnych tygodni Annabel traktowała mnie z sympatią, ale także z dystansem. Nauczyła mnie przyrządzać pudding z mrożonej kukurydzy, którą trzymano w lodówkach, a także sernik, ogórki kiszone,

lody, zupę i chili. Nakrywałem do stołu przed lunchem i kolacją, przygotowywałem zupy, a potem pomagałem sprzątać naczynia. Z tego powodu niektórzy z mężczyzn dziwnie na mnie patrzyli, ale powstrzymywali się od komentarzy, a mnie nie obchodziła ich opinia. Lubiłem te zajęcia, chociaż z bólem patrzyłem na to, jak ta monotonna praca smuci Annabel. Od czasu do czasu chwaliłem jej kuchnię, co nieco jej pomagało.

Pewnego razu, gdy byliśmy sami, spytałem, dlaczego jest smutna. Chociaż nie łączyła nas żadna fizyczna więź, miałem wrażenie, że pojawiła się między nami intymność, za sprawą wspólnej pracy oraz poczucia, że nigdy nie będziemy tacy jak rodzina Baleenów.

– Zawsze byłaś nieszczęśliwa? – spytałem, kiedy chowaliśmy stertę ciast drożdżowych do toreb, w których miały być napromieniowane i przechowywane. Owijałem ciasta foliowymi torbami, a Annabele pieczętowała je za pomocą maszyny ze sklepu Searsa i naświetlała żółtym konserwującym światłem.

Początkowo myślałem, że nie odpowie. Jednak po chwili się odezwała:

– W dzieciństwie byłam bardzo szczęśliwa. Często śpiewałam. Uwielbiałam, kiedy mama opowiadała mi historie. W Domu Swisherów zdarzało się to znacznie częściej niż tutaj. – Obszernym gestem wskazała dużą, pustą kuchnię.

– Chciałabyś tam wrócić? – spytałem.

– Nic by z tego nie wyszło – odparła. – Oni wszyscy są już za starzy.

– Powinnaś się zgodzić, żebyś nauczyła cię czytać. Już o tym rozmawialiśmy.

– Nie, jestem zbyt zajęta. Raczej nie dałabym rady. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Ale uwielbiam słuchać, kiedy ty czytasz. Czuję się wtedy jak... w innym świecie.

Skończyłem pakować ostatnie ciasto, podałem jej i nałamałem sobie kawy. Popatrzyłem w stronę ogrodu i kurnika.

– Jesteś smutna z powodu śmierci męża?

– Nie – odparła. – Mój mąż nigdy... nie był dla mnie ważny. Przynajmniej od chwili, gdy dowiedziałam się, że nie mogę mieć dzieci.

Zawsze bardzo tego pragnęłam. Byłabym dobrą matką.

Dobrze się zastanowiłem, zanim odpowiedziałem.

– Gdybyś przestała zażywać pigułki... – Opowiedziałem jej o etykiecie na opakowaniu valium.

– Nie, jest za późno. Jestem już... wyczerpana. Poza tym nie sądzę, żebym dała radę tutaj żyć bez pigulek.

– Annabel, moglibyśmy zamieszkać razem. A gdybyś odstawiła pigułki na czas jednej zólci, mogłabyś urodzić dziecko. Moje dziecko.

Popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem. Nie wiedziałem, co sądzi o mojej propozycji. Nic nie odpowiadała.

Zbliżyłem się do niej o krok i delikatnie chwyciłem ją za ramiona, wyczuwając kości pod materiałem koszuli. Tym razem się nie odsunęła.

– Różnimy się od tych ludzi. Moglibyśmy być razem i mieć dzieci.

Wtedy popatrzyła mi w oczy i zobaczyłem, że płacze.

– Paul, mogłabym być z tobą tylko wtedy, gdyby Edgar Baleen ci mnie oddał i zaślubił nas w kościele.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a jej łzy wytrąciły mnie z równowagi. Wiedziałem, że „kościółem” jest sklep Searsa. Korzystano z niego podczas ślubów i pogrzebów. W dawnych czasach chrzczono tam dzieci, w tej samej fontannie, w której ja zostałem ochrzczony.

Wreszcie przyszła mi do głowy odpowiedź.

– Nie jestem Baleenem. Ty także.

– To prawda – odrzekła. – Ale nie mogłabym żyć w grzechu z mężczyzną. To by było... niemoralne.

To ostatnie zdanie wypowiedziała z większą dawką emocji, niż byłem w stanie udźwignąć. Słyszałem o „życiu w grzechu”, znałem to pojęcie z niemych filmów, ale nie miałem pojęcia, że Annabel myśli takimi kategoriami.

– To nie musiały być „grzech” – stwierdziłem. – Moglibyśmy urządzić własną ceremonię, wieczorem w centrum handlowym, gdybyś tylko zechciała.

– Nie, Paul – odparła, po czym otarła oczy rąbkiem fartucha.

Zachwyciła mnie tym gestem. W tamtej chwili byłem w niej zakochany.

– O co chodzi, Annabel? – spytałem.

– Paul, słyszałam o kobietach, które lubią... się kochać. – Wbiła wzrok w podłogę. – Może one nie mają nic przeciwko stosunkom pozamałżeńskim. Cudzołóstwu. Ale kobiety z Równiny są chrześcijankami.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Znałem słowo „chrześcijanie”; określano nim osoby wierzące w to, że Jezus był Bogiem. Ale Jezus, z tego co wyczytałem w Biblii, sprawiał wrażenie bardzo tolerancyjnego w sprawach seksu. Pamiętałem o „uczonych w Piśmie” i „Faryzeuszach”, którzy chcieli karać cudzołożnice, jednak Jezus się temu sprzeciwiał.

Nie drążyłem więcej tematu. Być może zniechęciła mnie stanowczość, z jaką wypowiedziała słowo „chrześcijankami”.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem – odrzekłem tylko.

Popatrzyła na mnie, na wpół błagalnie, na wpół gniewnie.

– Nie lubię seksu, Paul – dodała. – Nienawidzę go.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Na tym stanęliśmy i nie rozmawialiśmy na ten temat aż do końca wiosny. Ale pracowaliśmy razem i coraz lepiej się poznawaliśmy, a ja czułem, że Annabel staje mi się bliższa niż ktokolwiek w moim życiu – bliższa nawet niż Mary Lou, z którą wielokrotnie się kochałem, co obojgu nam sprawiało wielką rozkosz. Annabel była taką dobrą osobą. Zbiera mi się na płacz, gdy przypomnę sobie jej dobroć i melancholijne usposobienie. A także fachowość. Widzę, jak stoi przy swoim kole garncarskim bądź kuchence, albo jak karmi kurczaki, a jej błękitny fartuch powiewa na wietrze. Albo jak odgarnia jasny kosmyk włosów w czoła. Widzę także, jak stoi przede mną tamtego dnia, ze śladami łez na policzkach, i mówi mi, że nie może ze mną zamieszkać.

To ona uwolniła Biff od pcheł i zawsze robiła mi śniadanie, kiedy schodziłem do kuchni wczesnym rankiem. To ona zaproponowała mi, żebym wyremontował ten stary dom i w nim zamieszkał. To ona pierwsza mi go pokazała. Stał milę od obelisku w Maugre, na klifie nad brzegiem oceanu.

Znała ten dom z dzieciństwa. Mieszkał tam jakiś wyrzutek, który zmarł wiele lat temu. Dzieci z Miast uważały go za „nawiedzonego”. Opowiadała

o tym, jak kiedyś, chcąc dowieść swojej odwagi, wślizgnęła się do środka, ale była zbyt wystraszona, żeby dłużej tam zostać.

Myszę o Annabel jako małej dziewczynce, gdy teraz rozglądam się po salonie, zupełnie jakby tutaj stała, mała i wystraszona. Jeżeli ten dom jest nawiedzony, to właśnie przez nią. Przez piękne, płochliwe dziecko, które uwielbiało śpiewać.

\* \* \*

Kochałem Annabel. To, co do niej czułem, różniło się od tego, co czułem – i do pewnego stopnia wciąż czuję – do Mary Lou. Annabel zdawała sobie sprawę, że musi dobrze wykorzystywać swoje talenty i energię. Bardzo dużo pracowała, ale nikt nie był jej za to wdzięczny; większość tych prac mógłby wykonać robot Marki Trzy, i Baleenowie nie zauważyliby różnicy. Przez lata tak cudownie i sprawnie gotowała, wycierała kurze, zmywała i wyrabiała ceramiczne naczynia, a nikt jej za to nawet nie podziękował.

\* \* \*

Muszę to szybko zapisać, nim sparaliżują mnie emocje. Jest wczesnoletni poranek, a ja zbliżam się do końca tej części mojego dziennika.

Między Annabel i mną nic się nie zmieniło; nadal wspólnie pracowaliśmy w kuchni i rozmawialiśmy po moich porannych czytaniach. Dowiedziałem się o wielu innych sprawach, poza sztuką gotowania oraz seksualnym purytyzmem, które nie tylko cechowały Annabel, ale także stanowiły podstawową część kultury Siedmiu Miast na Równinie. Annabel nie miała pojęcia, skąd pochodzą Baleenowie, ale wiedziała, że w poprzednich pokoleniach byli wędrownymi kaznodziejami, zanim Biblia oraz związana z nią umiejętność czytania stopniowo uległy zapomnieniu. Annabel urodziła się w Domu Swisherów, ale jej matka w młodości była wędrowcem. Kiedyś śpiewały religijne pieśni, ale „Zaraza Bezdziętności”

sprawila, że stary Baleen zabronił im śpiewu, kiedy Annabel była małą dziewczynką. Była ostatnim dzieckiem urodzonym w Miastach.

Nigdy nie usiłowałem się z nią kochać. Później doszedłem do wniosku, że powinienem był spróbować, ale kiedy powiedziała mi, co sądzi o seksie, poczułem się zbyt zagubiony i niepewny. Myślałem o Annabel i Mary Lou, kochałem je obie, lecz wiedziałem, że są niedostępne. W pewnym sensie niemal się z tego cieszyłem. W ten sposób unikałem ryzyka.

A przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki pewnego dnia nie zastałem brudnej kuchni z kawałkami pieczywa i skorupkami jajek na stole oraz w zlewie. Jakaś rodzina samodzielnie przygotowywała śniadanie. Nigdzie nie było Annabel. Wyszedłem jej poszukać.

Nie było jej przy kurniku. Okrążyłem Baleenę, docierając do miejsca, z którego widziałem puste, zarośnięte miasto Maugre. Nie dostrzegłem w nim żadnych śladów życia. Ruszyłem w stronę obelisku, ale po chwili, pod wpływem nagłego impulsu, otworzyłem drzwi szopy garncarskiej.

Odór był przytłaczający. Sztynne chude ciało o zwęglonej skórze, z czarną masą spalonych włosów wokół czaszki, stało przed kołem garncarskim zwrócone do mnie plecami. Miało wyprostowane ręce i dłonie zaciśnięte na krawędziach koła.

Oprócz smrodu spalonego mięsa, w niewielkim pomieszczeniu unosiła się także woń benzyny.

Odwróciłem się i uciekłem aż nad brzeg oceanu. Siedziałem na plaży i wbijałem wzrok w wodę, dopóki Rod Ballen nie znalazł mnie tam wieczorem.

\* \* \*

Pochowaliśmy ją następnego dnia. Razem z Rodem i starszym mężczyzną imieniem Arthur zostaliśmy posłani po trumnę.

Trumny znajdowały się na nieznanym mi niższym poziomie Centrum Handlowego, dokąd prowadziły schody oznaczone tabliczką „Głęboki schron”.

Znaleźliśmy tam cały magazyn pełen trumien; wszystkie były zrobione z metalu pomalowanego na zielono. Na każdej z nich umieszczono napis „Ministerstwo Obrony Narodowej: Maugre”. Piętrzyły się w równych rzędach aż po sufit w pomieszczeniu oznaczonym jako „Sala śmiertelności”.

Zamiast wracać po schodach, znieśliśmy pustą trumnę korytarzem po drugiej stronie magazynu. Przeszliśmy łukowo sklepionymi drzwiami prowadzącymi do „Strefy rozrywki”, minęliśmy ogromny pusty basen, a następnie drzwi z napisem „Biblioteka i czytelnia”. Chociaż byłem pogrążony w żałobie, serce niemal wyrwało mi się z piersi i musiałem się powstrzymać, by nie zostawić ponurej, brzydkiej trumny i nie wbiec do środka.

Na końcu korytarza znajdowały się duże drzwi z napisem „Garaż i magazyn pojazdów”. Rod je otworzył i weszliśmy do pomieszczenia wypełnionego myślubusami. Stały zaparkowane w rzędach. Wszystkie, które widziałem, miały z przodu napis „Maugre i przedmieścia”.

Po drugiej stronie garażu, za długim rzędem pojazdów, znajdowały się rozsuwane drzwi, wystarczająco duże, żeby mógł przez nie przejechać myślubus. Rod wcisnął guzik na ścianie i drzwi się otworzyły. Wnieśliśmy trumnę do dużej windy, która zawiozła nas na powierzchnię, aż do obelisku. Zanieśliśmy trumnę do szopy garncarskiej, gdzie kobiety zrobiły wszystko co w ich mocy, żeby ciało Annabel nadawało się do pokazania. Ubrały ją w nową czarną sukienkę i niebieski fartuszek. Jednak to, co włożyliśmy do trumny, wcale nie przypominało Annabel.

Na jednej z półek w szopie stał piękny smukły dzban. Annabel kiedyś mi powiedziała, że zrobiła go wiele lat wcześniej, ale stary Baleen nie pozwalał go używać w kuchni, ponieważ był „zbyt delikatny”. Zabrałem go i umieściłem w trumnie, w tym, co pozostało z rąk Annabel. Potem zamknąłem i zapieczętowałem wieko.

\* \* \*

Pogrzeb odbył się w sklepie Searsa. Trumnę Annabel zwieziono windą na dół. Jestem wdzięczny staremu Baleenowi, że pozwolił mi być jednym z żałobników. Nigdy o niczym nie wspominał, ale chyba wiedział, co czuję do Annabel.

Usiedliśmy na krzesłach w dziale obuwniczym przy przygaszonych światłach, a Baleen wygłosił przemowę, po czym wręczył mi Biblię, którą ze sobą przyniósł, i poprosił, żebym coś z niej przeczytał.

Otworzyłem Biblię Reader' Digest, ale nie nic z niej nie przeczytałem. Zamiast tego popatrzyłem na trumnę Annabel i powiedziałem:

– „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem”, powiedział Pan. „Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”.

Te słowa nie przyniosły mi pocieszenia. Pragnąłem, żeby Annabel żyła i była ze mną. Patrzyłem na Baleenów, którzy stali przede mną z uroczyście spuszczoneymi głowami, i nie czułem żadnego związku z nimi ani z ich wiarą. Bez Annabel znów byłem sam.

Cmentarz znajdował się kilka mil na północ od Maugre, niedaleko starej czteropasmowej autostrady. Wypełniały go rzędy tysięcy malutkich białych permoplastikowych tabliczek bez napisów. Zawieźliśmy tam Annabel myślobusem.

Tamtej nocy, kiedy wszyscy spali, po cichu opuściłem dom, udałem się do Centrum Handlowego i znalazłem bibliotekę. Było to pomieszczenie większe od kuchni w Baleenie, a wszystkie jego ściany były przesłonięte książkami. Poczułem, że włoski na karku stają mi dęba, gdy tak stałem w środku nocy w cichej sali wypełnionej tysiącami książek.

Schowałem dwa niewielkie tomy do kieszeni kurtki: „Młodość” Josepha Conrada oraz „Religia a powstanie kapitalizmu” R.H. Tawneya. Następnie udałem się na parking dla myślobusów i przez godzinę wpatrywałem się w tabliczki z przodu pojazdów.

Na wszystkich widniał napis „Maugre i przedmieścia”.

Na górze w sklepie Searsa znalazłem drewnianą płytę, czarną farbę i pędzel. Namalowałem na płycie nazwisko „Annabel Swisher”, a następnie za pomocą młotka i gwoździ z działu żelaznego niezdarnie przybiłem ją do słupka. Potem pojechałem jednym z myślobusów Ballenów na cmentarz,



gdzie wbiłem tabliczkę w ziemię na grobie Annabel. Później poleciłem myślobusowi, żeby zawiózł mnie do Nowego Jorku. Wjechał na rampę prowadzącą na autostradę i tam się zatrzymał. Nie chciał jechać dalej.

\* \* \*

Przez całą noc czytałem książkę Josepha Conrada, ale tylko częściowo ją zrozumiałem. Rankiem Mary i kobieta imieniem Helen przygotowały śniadanie; zjadłem je wspólnie z rodziną.

Po śniadaniu powiedziałem staremu Edgarowi, że chciałbym się wprowadzić do jego domu, a on się temu nie sprzeciwił. Prawdę mówiąc, spodziewał się po mnie czegoś takiego.

W domu, zbudowanym z sekwoi i szkła, mieszkały myszy i ptaki. Usunąłem ptasie gniazda, a Biff zajęła się myszami w sposób, który mogę określić tylko jako zawodowy. Pozbyła się wszystkich gryzoni w ciągu tygodnia.

Stare meble zgniły; rozpałem z nich ognisko na plaży i przez godzinę patrzyłem, jak płoną, rozmyślając o Belascu i tamtej magicznej chwili w Kalifornii.

Miałem nie zabierać niczego ze sklepu Searsa, ale chodziłem tam każdego wieczoru przez tydzień i nikt nie miał mi tego za złe. Mam wrażenie, że Baleenom to nie przeszkadzało, dopóki się z tym nie afiszowałem. Być może podobnie podchodzili do spraw seksualności i gdybyśmy z Annabel zostali potajemnymi kochankami, nikt nie poczułby się urażony. Niewykluczone, że już uznawali nas za kochanków.

Ze sklepu przyniosłem meble, sprzęt kuchenny oraz regały na książki. Zacząłem gromadzić kolekcję z biblioteki.

Po pogrzebie, pod wpływem żałoby, chciałem odejść, ale potem ten impuls osłabł. Myślę, że zaważyło znalezienie książek. W domu nad morzem postanowiłem dokończyć swoją edukację oraz uaktualnić dziennik. Uznałem, że potem zdecyduję, czy na nowo podejmę poszukiwania Mary Lou, czy zostanę. Albo odejdę i udam się w zupełnie inne miejsce – może na zachód, do Ohio i dalej.

\* \* \*

Z jednej z książek przyniesionych z podziemi Centrum Handlowego dowiedziałem się, że porę roku następującą po lecie w starożytnym świecie nazywano Upadkiem Roku. To piękne określenie głęboko do mnie przemówiło.

Drzewa przed moim nadmorskim domem zaczęły tracić zieleń i z każdym dniem stają się coraz bardziej żółte, czerwone i pomarańczowe. Błękit nieba zbladł, a okrzyki mew dobiegają jakby z większej odległości. Kiedy rano urządzam sobie długie spacerunki po plaży, w powietrzu wyczuwam lekki chłód. Czasami dostrzegam miejsca, w których zakopały się małże, ale nigdy ich nie wykopuję. Spaceruję i biegam pośród jesiennej aury – w atmosferze Upadku Roku – i każdego dnia coraz poważniej rozważam opuszczenie Maugre i wyruszenie na północ w stronę Nowego Jorku. Jednak mam tutaj wygodny dom i dostęp do jedzenia z centrum handlowego. Nauczyłem się dobrze gotować. Jeżeli potrzebuję towarzystwa, zawsze mogę odwiedzić Baleenów i im poczytać, co czasami robię. Cieszę się z moich wizyt, mimo że zawsze mam wrażenie, że oddychają z ulgą, kiedy wychodzę.

To dziwne. Wydaje mi się, że spodziewali się jakiegoś cudownego wydarzenia, odkąd zaczęli słuchać słów z Biblii i otworzyła się przed nimi tajemnica przesłania tej zagadkowej księgi, którą nauczyli się czcić. Jednakże nie wydarzył się żaden cud i wkrótce stracili zainteresowanie. Uważam, że zrozumienie znaczenia tych słów wymaga skupienia oraz oddania, jakich nie posiada nikt spośród nich, może poza starym Edgarem. Byli skłonni bezrefleksyjnie przyjąć surową pobożność, wymóg milczenia oraz ograniczenia dotyczące seksualności, a także kilka frazesów dotyczących Jezusa, Mojżesza i Noego, ale przytłoczyła ich próba zrozumienia literatury, która stanowiła prawdziwe źródło ich religii.

Kiedyś spytałem starego Edgara, dlaczego w Maugre nie ma żadnych robotów, a on odpowiedział:

– Zajęło nam dziesięć lat pozbycie się tych wysłanników szatana.

Niestety, nie chciał wyjaśnić, jak tego dokonali. Poświęcili dziesięć lat na coś takiego, a zarazem w czasie, który z nimi spędziłem, nie potrafili zrozumieć, że słowo „szatan” oznacza „wroga”.

Sądzę, że przed śmiercią Annabel byłem zadowolony z mieszkania między nimi. Jedzenie było cudowne: purée ziemniaczane, strudel, bułeczki, bekon ze świni (nigdy nie słyszeli o małym bekonie), omlety i zupy. Gotowali rosół, zupę jarzynową, kapuśniak i zupę fasolową, podając je na gorąco z krakersami.

Podczas tych kilku miesięcy bardzo silnie doświadczałem poczucia wspólnoty, czego po raz pierwszy zasmakowałem w więzieniu. Siedziałem w kuchni w otoczeniu całej milczącej rodziny i jadłem zupę, przepelniony duchowym ciepłem, które zaczynało się w moim żołądku i rozprzestrzeniało po ciele i czułem obok siebie obecność tych spokojnych, wytrzymałych i pracowitych ludzi. Często dotykali się nawzajem. To były delikatne muśnięcia – lekkie położenie dłoni na rękę, zetknięcie łokciami przy stole. Mnie również dotykali, początkowo nieśmiało, ale z czasem coraz bardziej swobodnie i naturalnie. Więź łącząca mnie z mężczyznami w więzieniu przygotowała mnie na to i w końcu to polubiłem, a nawet zacząłem tego potrzebować. Właśnie dlatego od czasu do czasu tam wracam. Żeby z nimi przebywać, dotykać ich i czuć ich ludzką obecność.

Jednakże, w odróżnieniu od rodzin w filmach, które oglądałem, Baleenowie rzadko się do siebie odzywali. Po każdym z moich wieczornych czytań włączano olbrzymi ekran telewizyjny za pulpitem. Rozlegało się donośne dudnienie napędzanego benzyną generatora, który stał na podłodze za telewizorem, a potem ekran rozświetlały oszałamiająco kolorowe holografy psychoprogramów – abstrakcyjne kształty, hipnotyzujące barwy i otepiająco głośna muzyka – programów erotycznych oraz teleturniejów, a wszyscy oglądali je w milczeniu, tak samo jak w internatach albo na zajęciach na uczelni, dopóki nie nadeszła pora snu. Czasami ktoś wstawał i szedł do kuchni po kawałek pieczonego kurczaka, puszkę piwa albo orzeszki ziemne (piwo i przekąski co mniej więcej dziesięć dni przywożono taczkami z centrum handlowego), ale w kuchni

nie prowadzono żadnych rozmów; nikt nie chciał zakłócać nastroju programów.

Chociaż wielokrotnie w swoim życiu oglądałem telewizję w taki sami sposób, okazało się, że już nie potrafię tego robić bez jednoczesnego myślenia „Poddaj się Ekranowi”, tak jak nas nauczano. Była to podstawowa zasada, tak samo jak „O nic nie pytaj; odpręż się”. Już nie potrafiłem się poddać. Nie chciałem uciszyć swojego umysłu ani używać go jako narzędzia bezładnej rozkoszy; pragnąłem czytać, myśleć i rozmawiać.

Po śmierci Annabel czasem kusilo mnie, żeby zażyć sopory, które trzymano w całym domu w jej ceramicznych naczyniach na słodycze, ale wtedy myślałem o Mary Lou i decyzji, którą podjąłem, kiedy Baleen zaproponował mi sopory przed zabranie mnie do „wiecznego ognia”, i nie sięgałem po narkotyki.

Przyjemnie było czuć ciepło wynikające z bycia częścią rodziny, budzić się nocą w pokoju, który dzieliłem z Rodem, słyszeć jego ciche chrapanie i wyczuwać obecność tych wszystkich ludzi w domu. Czasami czułem, że rodzi się we mnie coś bardzo dobrego. Ale wtedy włączał się olbrzymi ekran albo ludzie rozchodzili się do swoich telewizorów w pokojach, a ja miałem wrażenie, że oszaleję, jeśli nadal nikt nie będzie rozmawiał. Więźniowie, z którymi mieszkalem, rozmawiali, gdy tylko się dało, musieli jednak czekać na dogodną okazję do rozmowy, jak wtedy na plaży. Jednak Baleenowie byli inni; lubili swoje towarzystwo, ale nie mieli sobie nic do powiedzenia, nie licząc okazjonalnego „Chwała Panu”.

Dlatego widuję się z nimi tylko tak często, by zachować minimum ludzkich kontaktów. Odkąd się tutaj przeprowadziłem w środku lata, przez większość czasu słucham płyt przyniesionych ze sklepu, piszę w swoim dzienniku, który prowadzę w księgach rachunkowych, również zdobytych w sklepie, a także czytam książki. W ciągu dnia siedzę na werandzie od strony oceanu razem z Biff, która ostatnio przytyła, a wieczorami przyświecam sobie lampami naftowymi w salonie. Przeczytałem już ponad sto książek. Wielokrotnie słuchałem nagrań symfonii Mozarta, Brahmsa, Prokofiewa i Beethovena, jak również muzyki kameralnej, operetek i różnych utworów Bacha, Sibeliusa, Dolly Parton, Palestriny i Lennona.

Zdarza się, że muzyka jeszcze skuteczniej od książek pozwala mi poczuć ducha przeszłości. Wychodzenie poza ograniczone ego wychowane w internacie i sięganie wstecz ku dawnym pokoleniom moich bliźnich, którzy żyli na tej samej Ziemi, stało się moją pasją.

Siedzę teraz przy dębowym stole w kuchni i piszę ten dziennik w nowej księdze rachunkowej długopisem ze sklepu Searsa. Biff śpi obok mnie, zwinięta w kłębek na krześle. Mam pół butelki whisky – J.T.S. Brown Bourbon – dzbanek z wodą i szklankę. Jest późne popołudnie, a jesienne światło wpada przez okno nad zlewozmywakiem. Z sufitu nad stołem zwieszają się dwie lampy naftowe, które zapalę, kiedy pojawi się taka potrzeba. Kiedy już trochę popiszę, zrobię coś do jedzenia dla Biff i siebie, a potem zapewne uruchomię generator na dole i posłucham kilku płyt, jeśli uznam, że mogę sobie pozwolić na zużycie takiej ilości benzyny.

Początkowo zamierzałem streścić to, czego dowiedziałem się o historii ludzkości, oraz napisać o jej zbliżającym się końcu. Jednak po długim zastanowieniu doszedłem do wniosku, że takie zadanie mnie przerasta. Wciąż często przytłacza mnie pragnienie ponownego spotkania z Mary Lou i teraz też je odczuwam, gdy myślę o czekającym mnie trudnym wyzwaniu. Nie mam wątpliwości, że Mary Lou dysponuje sprawniejszym umysłem. Może brakuje jej mojej cierpliwości, ale chciałbym mieć chociaż część jej intelektualnej żywotności, bystrości i błyskotliwości. Cechuje ją entuzjazm, którego ja nie mam.

Nie jestem pewien, czy wciąż ją kocham. Minęło dużo czasu i wiele się wydarzyło. Poza tym nadal opłakuję Annabel.

Pisząc te słowa, zauważyłem, że przypatruję się swoim nadgarstkom i znaczącym je białym bliznom po więziennych bransoletach przeciętych ostrzem w fabryce.

W tamtej chwili byłem gotów umrzeć, wykrwawić się na śmierć albo polać benzyną i spalić, zasilając ponure szeregi samobójców. Zginąłbym z powodu samotności i utraty Mary Lou.

No cóż. Jednak nie umarłem. A część mnie wciąż kocha Mary Lou, chociaż od dawna nie zrobiłem niczego w celu wyruszenia na północ i jej odnalezienia. Czasami myślę, że mógłbym znaleźć drogę, którą podróżują

międzystanowe myślobusy, i pojechać do Nowego Jorku, tak jak uczyniłem dawno temu, gdy po raz pierwszy wybrałem się tam z Ohio. Ale to by była lekkomyślność. Czytnik w myślobusie mógłby rozpoznać we mnie zbiega. Poza tym już nie mam karty kredytowej; odebrano mi ją w więzieniu.

Jak bardzo się zmieniłem od tamtych czasów. Jakże silne jest moje ciało. I jak mało jest we mnie strachu.

Wkrótce opuszczę Maugre. Jeszcze przed końcem Upadku Roku.

## MARY LOU

Dziecko lada dzień przyjdzie na świat. To idealna pora roku na urodzenie dziecka – pierwsza część wiosny. Teraz siedzę w salonie wychodzącym na Trzecią Aleję. Na zachodzie, za pustymi parkingami i dachami niskich domów, widzę Empire State Building. Bob często siada w swoim zielonym fotelu i patrzy w tamtą stronę; ja lubię obserwować drzewo za oknem. Jest potężne i dawno temu zapewne przebiło się korzeniami przez popękany chodnik wokół swojego olbrzymiego pnia; sięga znacznie powyżej naszego trzypiętrowego budynku. Widzę stąd, że na najniższych gałęziach zaczynają się pojawiać świeże, bladozielone liście. Cieszy mnie ten widok.

Bob nie potrafi czytać tytułów, dlatego dwa tygodnie temu musiałam mu pomóc w poszukiwaniu książek o opiece nad niemowlętami i położnictwie. Znalazłam cztery, z czego dwie z ilustracjami. Nigdy w życiu nie uczyłam się o rodzeniu dzieci i oczywiście nie znałam, ani nawet nie widziałem na własne oczy, żadnej ciężarnej kobiety. Jednak podczas czytania jednej z książek i oglądania ilustracji zrozumiałam, że nie są mi obce pewne skojarzenia, które zapewne przejęłam od starszych dziewcząt, gdy byłam małym odmieńcem w internacie: skurcze, krew, leżenie na plecach, krzyczenie i gryzienie przedramienia. Mroczna czynność nazywana „przecięciem pępowiny”. No cóż. Teraz już wiem o tych sprawach i czuję się lepiej. Chcę to mieć za sobą.

Pewnego popołudnia mniej więcej trzy tygodnie temu Bob wcześniej wrócił do domu. Przez cały dzień rozmyślałam o tym, jak mało wiem o dzieciach, gdy nagle wszedł do domu, dźwigając olbrzymie, paskudne

pudło wypełnione narzędziami, puszkami i pędzlami. Nawet się do mnie nie odezwał, tylko poszedł do kuchni i zabrał się do naprawy zlewozmywaka. Po kilku minutach ze zdumieniem usłyszałam wodę płynącą z kranu, a następnie bulgoczącą w odpływie. Wstałam i podeszłam do drzwi kuchni.

– Jezu, co cię opętało? – spytałam.

Wytrzeł dłonie ściereczką do naczyń, a następnie odwrócił się w moją stronę.

– Mam już dosyć rzeczy, które nie działają.

– Miło mi to słyszeć. Naprawisz tę ścianę, z której wypadają książki?

– Tak, kiedy już pomaluję salon.

Chciałam spytać, skąd wziął farbę, ale się powstrzymałam. Bob najwyraźniej potrafi wszystko znaleźć w Nowym Jorku. Zapewne jest najstarszym obywatelem miasta – najstarszym nowojorczykiem.

W pudle miał kilka zakurzonych puszek z farbą. Wszedł do salonu, podważył wieczko jednej z puszek śrubokrętem i zaczął mieszać farbę. Wyglądała na dobrze zachowaną, a kiedy ją wymieszał, zauważyłam, że ma biały kolor. Potem wyszedł na kilka minut i wrócił z drabiną. Rozstawił ją, a następnie zdjął koszulę, wspiął się na drabinę i przy świetle wpadającym przez okno zaczął malować ścianę nad moim regałem z książkami.

Przez dłuższą chwilę przyglądałam się mu w milczeniu.

– Wiesz coś o rodzeniu dzieci? – spytałam w końcu.

Malował dalej, nawet się na mnie nie obejrzał.

– Nie. Tylko tyle, że to bolesne. Oraz że robot Marki Siedem może przerwać ciążę.

– Każdy robot Marki Siedem?

Przerwał malowanie i odwrócił się w moją stronę, spoglądając na mnie z góry. Miał białą kropkę farby na policzku. Miałam wrażenie, że głową dotyka sufitu.

– Roboty Marki Siedem zaprojektowano w czasach, gdy zbyt wiele kobiet zachodziło w ciążę. Ktoś wpadł na pomysł, żeby zaprogramować roboty w taki sposób, by mogły przeprowadzać aborcje, aż do końca dziewiątego miesiąca. Wystarczy o to poprosić.



Stwierdzenie „aż do końca dziewiątego miesiąca” mną wstrząsnęło. Mówił o tym tak swobodnie, że wcale mi się to nie spodobało. Ale potem się roześmiałam, wyobrażając sobie robota Marki Siedem przerywającego ciążę. Roboty tej serii zazwyczaj zarządzają firmami, internatami albo sklepami. Wyobraziłam sobie, jak podchodzę do jednego z nich, siedzącego za biurkiem, i mówię: „Poproszę o aborcję”, a on wyjmuje mały skalpel z szuflady... tylko że to wcale nie było śmieszne.

Przestałam się śmiać.

– Mógłbyś dla mnie znaleźć jakąś książkę o porodzie? – Ośloniłam brzuch złożonymi dłońmi. – Żebym wiedziała, czego się spodziewać?

O dziwo, nie odpowiedział. Przez chwilę mi się przyglądał. Potem zaczął cicho pogwizdywać. Wydawało się, że poważnie się nad czymś zastanawia. W takich chwilach zawsze zaskakuje mnie to, jak bardzo jest ludzki. Kiedy jesteśmy sami, na jego twarzy widzę więcej emocji niż na obliczach Paula i Simona, a w jego głosie czasami jest tyle głębi i smutku, że niemal przyprawia mnie to o łzy. To dziwne, że w robocie mogą się kryć pokłady miłości i melancholii – potężnych uczuć, z których ludzkość zrezygnowała.

Wreszcie się odezwał, a jego słowa mnie zaszokowały.

– Nie chcę, żebyś urodziła to dziecko, Mary.

Instynktownie mocniej objęłam rękami brzuch.

– O czym ty mówisz, Bob?

– Chcę, żebyś usunęła ciążę. W moim budynku znajduje się robot Marki Siedem, który może to zrobić.

Zapewne popatrzyłam na niego z niedowierzaniem i wściekłością. Pamiętam, że wstałam i zbliżyłam się do niego o kilka kroków. W mojej głowie były tylko słowa, których wiele lat wcześniej nauczyłam się od Simona. Wypowiedziałam je:

– Pierdol się, Bob. Pierdol się.

Patrzył na mnie spokojnie.

– Mary, jeśli to dziecko przeżyje, w końcu zostanie ostatnim człowiekiem na Ziemi. A ja będę musiał żyć tak długo jak ono.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparłam. – Poza tym jest już za późno. Mogę namówić inne kobiety, żeby przestały zażywać pigułki i stały się

plodne. Mogę sama urodzić więcej dzieci. – Ta myśl nagle mnie przytłoczyła i ponownie usiadłam. – A jeśli o ciebie chodzi, to dlaczego nie miałbyś dalej żyć? Możesz być ojcem dla moich dzieci. Czy nie tego pragnąłeś, kiedy zabrałeś mnie od Paula?

– Nie, nie tego – odrzekł. Odwrócił wzrok i z pędzlem w dłoni spojrział przez okno na drzewo i pustą aleję. – Chciałem z tobą żyć, tak jak żył mężczyzna, którego sny posiadam; setki lat temu. Myślałem, że w ten sposób odzyskam przeszłość, która kryje się wokół granic mojego umysłu i pamięci, oraz odnajdę spokój.

– Tak się nie stało?

Popatrzył na mnie z namysłem.

– Nie. Nic się we mnie nie zmieniło. Nie licząc tego, że cię pokochałem. Jego nieszczęście mnie pochwyciło; było jak żywa istota w pokoju – niesłyszalny płacz, pragnienie.

– A co z dzieckiem? – spytałam. – Gdybyś miał dziecko, dla którego mógłbyś być ojcem...

Pokręcił głową ze znużeniem.

– Nie, ten cały układ był błędem. Tak samo jak namówienie Bentleya, żeby odczytywał filmy, bym mógł za jego pośrednictwem skuteczniej dotknąć przeszłości. Albo pozwolenie mu, żeby cię zapłodnił, zanim ci go odebrałem. To wszystko było głupotą. Tak się dzieje, kiedy do głosu dochodzą emocje. – Zszedł z drabiny, podszedł do mnie i delikatnie położył mi na ramieniu potężną dłoń. – Jedyne, czego pragnę, Mary, to umrzeć.

Podniosłam wzrok na jego smutne, brązowe oblicze z szerokim pomarszczonym czołem i wrażliwymi oczami.

– Jeśli moje dziecko przyjdzie na świat...

– Zostałem zaprogramowany, żeby żyć dopóty, dopóki na świecie pozostają ludzie, którym mogę służyć. Będę mógł umrzeć dopiero, kiedy wy znikniecie. Wy... – Nagle jego głos zaskakująco eksplodował. – Wy, *homo sapiens*, ze swoją telewizją i narkotykami.

Wystraszyłam się jego gniewu i na chwilę zamilkłam.

– Ja też jestem *homo sapiens*, Bob – odrzekłam w końcu. – I wcale taka nie jestem. A ty jesteś prawie człowiekiem. Albo kimś więcej.

Odwrócił się ode mnie i zabrał dłoń z mojego ramienia.

– Jestem człowiekiem – stwierdził. – Nie licząc narodzin i śmierci. –  
Wrócił do swojej drabiny. – Mam dosyć życia. Nigdy go nie chciałem.

Wbiłam w niego wzrok.

– Takie są zasady gry. Ja również nie prosiłam się na świat.

– Ale możesz umrzeć – odparł i ponownie zaczął się wspinać na drabinę.

Nagle przyszła mi do głowy straszliwa myśl.

– Kiedy już wszyscy wymrzemy... kiedy to pokolenie będzie martwe,  
wtedy będziesz mógł się zabić?

– Tak sądzę.

– Nie wiesz na pewno? – spytałam, podnosząc głos.

– Nie, ale skoro nie będzie już żadnych ludzi, którym mógłbym służyć...

– Jezu Chryste! – wybuchłam. – Czy to przez ciebie już się nie rodzą  
dzieci?

Popatrzył na mnie.

– Zgadza się – przyznał. – Kiedyś stałem na czele urzędu do spraw  
Kontroli Populacji. Znam się na tej technologii.

– Jezu Chryste! Nafaszerowałaś świat środkami antykoncepcyjnymi,  
ponieważ miałaś samobójcze myśli. Wymazujesz ludzkość z powierzchni  
Ziemi...

– Żebyśmy mogli umrzeć. Ale sama musisz przyznać, że ludzie mają  
skłonności do samozniszczenia.

– Tylko dlatego, że zniszczyłeś ich przyszłość. Odurzyłeś ich pigułkami,  
nakarmiłeś kłamstwami, wysuszyłeś ich jajniki, a teraz chcesz ich  
pogrzebać. A ja myślałam, że jesteś kimś w rodzaju boga.

– Jestem tym, czym mnie stworzono, Mary. Jestem tylko sprzętem.

Nie potrafiłam oderwać od niego wzroku, i chociaż bardzo chciałam, nic  
nie mogło mi obrzydzić jego fizycznego piękna. Wyglądał zachwycająco,  
a jego smutek działał na mnie jak narkotyk. Stał z obnażoną piersią  
pokrytą rozbryzgami farby, a coś w moim wnętrzu się ku niemu wrywało.  
Był najpiękniejszą istotą, jaką widziałam, a mój zachwyt i gniew sprawiały,  
że to piękno otaczało blaskiem jego ciężkie, rozluźnione ciało, pozbawione  
płci, niewiarygodnie stare, a zarazem niewiarygodnie młodzińcze.

Pokręciłam głową, starając się otrząsnąć z tego silnego uczucia.

– Zostałeś zbudowany, żeby nam pomagać. A nie po to, żeby pomóc nam umrzeć.

– Może właśnie śmierci najbardziej pragniecie – odparł. – Wielu z was ją wybiera. Inni też by to zrobili, gdyby wystarczyło im odwagi.

Wbiłam w niego wzrok.

– Niech to szlag, ja wcale jej nie wybieram. Chcę żyć i wychować swoje dziecko. Jestem zadowolona z życia.

– Nie możesz wychować tego dziecka, Mary – odrzekł. – Nie wytrzymam kolejnych siedemdziesięciu lat życia obudzony przez dwadzieścia trzy godziny na dobę.

– Nie możesz po prostu się wyłączyć? Albo wypłynąć na Atlantyki?

– Nie, moje ciało nie posłucha mojego umysłu. – Znów zaczął malować. – Coś ci opowiem. Od ponad stu lat każdej wiosny idę Piątą Aleją do Empire State Building, wspinam się na szczyt i próbuję skoczyć. To jakby rytuał, wokół którego ogniskuje się moje życie. Ale nie mogę skoczyć. Moje nogi nie chcą mnie doprowadzić do krawędzi. Przez całą noc stoję dwie albo trzy stopy od przepaści i nic się nie dzieje.

Wyobraziłam go sobie na górze, jak tamtą małpę z filmu. Sama mogłam odgrywać rolę dziewczyny. Nagle coś przyszło mi do głowy. Najpierw jednak spytałam:

– Jak sprawiłeś, że dzieci przestały się rodzić?

– Sprzęt działa automatycznie. Odbiera informacje od Spisu Ludności, dzięki czemu wie, kiedy zwiększyć albo zmniejszyć liczbę ciąż, a także kontroluje dystrybucję soporów. Jeżeli liczba ciąż wzrasta, zwiększa liczbę antykoncepcyjnych soporów. W przeciwnym razie sopory są tylko soporami.

Miałam wrażenie, że słucham wykładu dziecka na temat Prywatności. Dowiadywałam się o śmierci mojego gatunku, ale nic to dla mnie nie znaczyło. Bob stał z pędzlem w dłoni i opowiadał mi, dlaczego od trzydziestu lat nie rodzą się dzieci, a ja niczego nie czułam. W moim świecie nigdy nie było dzieci. Tylko obrzydliwe małe roboty w białych koszulkach spacerujące po zoo. Nigdy nie spotkałam nikogo młodszego

ode mnie. Gdyby moje dziecko nie przeżyło, ludzkość przestałaby istnieć wraz z moim pokoleniem, wraz z Paulem i mną.

Popatrzyłam na Boba. Odwrócił się, schylił, zamoczył pędzel w farbie i ponownie zajął się ścianą nad regałem.

– Mniej więcej w czasie twoich narodzin popsuł się opornik na wzmacniaczu wejścia. Maszyny zaczęły otrzymywać sygnały, że populacja osiągnęła zbyt dużą liczebność. Wciąż je otrzymują, więc starają się zmniejszyć liczbę ludzi, rozpowszechniając sopory, które powstrzymują owulację, mimo że niemal całe pokolenie zostało wysterylizowane jeszcze w internatach. Gdybyś została tam jeszcze przez jedną żółć, straciłabyś jajniki. – Skończył malować górny narożnik ściany. Była czysta i lśniąca.

– Potrafiłbyś naprawić ten opornik? – spytałam.

W milczeniu zszedł z drabiny, trzymając pędzel wzdłuż nogi.

– Nie wiem, nigdy nie próbowałem.

Wtedy zaczęłam to wyczuwać, całą olbrzymią perspektywę tego, co się zaczęło w zamierzchłej mrocznej przeszłości pośród drzew, jaskiń i równin Afryki; ludzkiego życia, wyprostowanego i małpiego, które rozprzestrzeniło się wszędzie, najpierw budując swoje bożki, a następnie miasta, by ostatecznie się skurczyć, tak że pozostały po nim tylko odurzone resztki. A wszystko za sprawą popsutej maszyny. Malutkiej części popsutej maszyny. Oraz nadludzkiego robota, który nie zamierzał jej naprawić.

– Mój Boże, Bob. Mój Boże. – Nagle go znienawidziłam: jego chłód, siłę i smutek. – Ty cholerny potworze. Ty diable. Ty diable. Pozwalasz nam umrzeć, chociaż to ty pragniesz śmierci.

Przestał malować i ponownie się na mnie obejrzał.

– Zgadza się – odrzekł.

Zaczerpnęłam tchu.

– Gdybyś chciał, mógłbyś powstrzymać produkcję antykoncepcyjnych soporów w tym kraju?

– Owszem. Na całym świecie.

– Mógłbyś powstrzymać produkcję soporów? Wszystkich?

– Tak.

Ponownie wzięłam głęboki wdech. A potem dodałam cicho:

– Jeśli chodzi o Empire State Building... – popatrzyłam przez okno w jego stronę – ...to mogłabym cię zepchnąć.

Znów przeniosłam wzrok na Boba. Nie przestawał na mnie patrzeć.

– Kiedy urodzi się moje dziecko, a ja odzyskam siły i nauczę się nim opiekować, mogę cię zepchnąć.

# BENTLEY

## Pierwszy października

Jadę do Nowego Jorku, po drodze dyktując te słowa do starego kasetowego dyktafonu ze sklepu Searsa.

Mam kalendarz, również ze sklepu, i postanowiłem, że ten dzień nazwę pierwszym październikiem i będę numerował kolejne dni w miesiącu, tak jak autorzy moich książek. Październik kiedyś był ważnym miesiącem Upadku Roku. Teraz przywróciłem mu chwałę.

\* \* \*

Po dokończeniu swojej relacji z pobytu w Maugre, nie mogłem spać w nocy. Kiedy postanowiłem, że nie opiszę remontu i meblowania starego sekwojowego domu nad morzem i że opowiedziałem już o wszystkim, o czym należało opowiedzieć, ogarnęło mnie podniecenie. Wiedziałem, że mogę odejść kiedy tylko zechcę.

Tamtej nocy włóczyłem się opuszczonymi i zarośniętymi ulicami Maugre, aż w końcu dotarłem do obelisku i zjechałem poniżej poziomego sklepu, gdzie znajdowały się biblioteka, garaż myślobusów oraz pomieszczenie pełne trumien. Przypomniałem sobie, że w garażu widziałem tylko lokalne myślobusy, a jeden z Baleenów powiedział mi, że żadna z maszyn nie działa, a nawet nie otworzy dla mnie drzwi. Mimo

wszystko zacząłem między nimi spacerować, przemierzając długie, mroczne rzędy.

Wtedy coś odkryłem. Obok jednej ze ścian stało pięć myślóbusów, które wyglądały identycznie jak pozostałe, tylko że z przodu miały napis „Międzymiastowy”. Długo się w nie wpatrywałem z oszołomieniem. Gdybym był jednym z Baleenów, uwierzyłbym, że to Pan zachował dla mnie te pojazdy aż do tego wieczora, kiedy odszedłem. Jak mogłem wcześniej je przegapić?

Jednakże, kiedy kolejno stawałem obok każdego z nich, nakazując ich drzwiom, żeby się otworzyły, zarówno w myślach, jak i na głos, nic się nie wydarzyło. Usiłowałem rozewrzeć drzwi palcami, ale były solidnie zatrzaśnięte i nie ustępowały. W rozpaczy kopnąłem jedne.

Nagle, wściekły i sfrustrowany, coś sobie przypomniałem. Pomyślałem o „Obsłudze i naprawie robotów według Audela”.

To niewielka książeczka, odrobinę większa od batona sojowego. Na jej końcu znajduje się trzydzieści pustych stron przeznaczonych na „Notatki”. W więzieniu przepisywałem tam swoje ulubione wiersze. Większość pochodziła z książki T.S. Eliota, która również nie była duża, ale niewygodnie byłoby z nią chodzić na długie wędrówki.

Nigdy nie przeczytałem całej „Obsługi...”, ponieważ została napisana technicznym językiem i mnie nudziła, a poza tym nigdy nie miałem zamiaru obsługiwać ani naprawiać robotów. A teraz, stojąc w ogromnym garażu z myślóbusami, przypomniałem sobie, że pod koniec książki znajdował się rozdział zatytułowany „Nowe bezcielesne roboty: Myślóbusy”, a w nim kilka stron tekstu i wykresów.

Szybko wróciłem do domu. Książka leżała na stole obok mojego podwójnego łóżka, gdzie ją zostawiłem ostatnim razem, gdy czytałem „Środę popielcową” – smutny religijny wiersz, który złagodził część nieprzychylnych myśli, jakie żywiłem wobec religii Baleenów.

Znalazłem część książki poświęconą myślóbusom; wyglądała tak, jak ją zapamiętałem. Opatrzono ją nagłówkiem, który bardzo mi odpowiadał: „Dezaktywacja myślóbusów”. Niestety, kiedy zabrałem się do lektury, szybko posmutniałem.



Oto, co przeczytałem:

„Myślbusy aktywuje i dezaktywuje się za pomocą komputerowego kodu, którego, zgodnie z Edyktem Kierowników, nie możemy tutaj przedrukować. Dezaktywacja bywa konieczna w celu kontroli nad przepływem ludzi w obrębie miast. Obwody służące do dezaktywacji znajdują się w »przodomózgowiu« Jednostki Myślącej, odpowiedzialnej za wyznaczanie trasy, a umieszczonej pomiędzy przednimi reflektorami. Patrz: wykres”.

Bez większej nadziei przestudiowałem wykres przodomózgowia myślbusu. Część podpisana jako „Obwody Dezaktywacji” miała postać twardego wybrzuszenia na koronkowej kuli mózgu. Prawdę mówiąc, były tam dwa mózgi, oba kuliste. Jeden pełnił rolę „poszukiwacza trasy”, który kierował pojazdem i informował go, dokąd ma jechać; drugim była telepatyczna „Jednostka Komunikacyjna”, na której również znajdowało się wybrzuszenie, podobne do Obwodu Dezaktywacji na pierwszym mózgu. Podpisano je „Blokowanie Transmisji”, bez żadnych dokładniejszych wyjaśnień.

Zniechęcony, raz za razem czytałem ten wykres i towarzyszący mu tekst, gdy nagle w mojej głowie zaczął kiełkować pewien pomysł. Mógłbym spróbować usunąć to wybrzuszenie, razem z Obwodami Dezaktywacji!

To była niezwykła myśl, która sprzeciwiała się wszystkiemu, czego mnie nauczono. Zamierzałem świadomie przerobić, a zapewne także zniszczyć, własność państwa! Nawet Mary Lou, mimo braku szacunku dla władzy, nigdy nie włamała się do dystrybutora z kanapkami w ogrodzie zoologicznym. A jednak rzuciła kamieniem w gablotę z pytonem i wyciągnęła sztucznego węża. Co więcej, nie spotkały jej za to żadne konsekwencje. Kazała robotowi-strażnikowi się odwalić, a on jej usłuchał. A przecież w Maugre nie było żadnych robotów, których musiałbym się obawiać.

Obawiać? Tak naprawdę niczego się nie bałem. Tylko moje staroświeckie, niemal zapomniane poczucie przyzwoitości drżało na samą

myśl o rozłupaniu mózgu myślóbusu za pomocą młota i dłuta. To była część mojego wariackiego wychowania, które miało wyzwolić mój umysł, abym mógł osiągnąć „wzrost”, „samoświadomość” oraz „niezależność”, ale które stanowiło zwykle oszustwo. Moje wychowanie, tak jak w przypadku wszystkich pozostałych członków mojej Klasy Myślicieli, zmieniło mnie w pozbawionego wyobraźni egocentrycznego głupca uzależnionego od pigulek. Dopóki nie nauczyłem się czytać, żyłem w niedostatecznie zaludnionym świecie egocentrycznych, uzależnionych idiotów, tak samo jak wszyscy przestrzegając Zasad Prywatności i ulegając szalonemu marzeniu o Samorealizacji.

Siedziałem z „Obsługą...” na kolanach, przygotowując się do zaatakowania mózgu myślóbusu młotkiem, jednocześnie nie mogąc przestać myśleć o tym, że moje poczucie przyzwoitości zostało zaprogramowane przez roboty, które z kolei zostały zaprogramowane przez dawno zmarłych socjotechników, tyranów lub głupców. Wyobrażałem ich sobie – ludzi, którzy kiedyś w dalekiej przeszłości postanowili, co będzie sensem ludzkiego życia na Ziemi, założyli internaty i urząd do spraw Kontroli Populacji, ustanowili Zasady Prywatności i ogłosili dziesiątki sztywnych, solipsystycznych Edyktów, Błędów oraz Zasad, które miały kierować życiem reszty ludzkości, dopóki wszyscy nie wymrzemy i nie zostawimy świata psom, kotom i ptakom. Uważali siebie samych za posępnych, poważnych i przejętych; słowa „troska” i „współczucie” nie schodziły im z ust. Wyglądali jak William Boyd albo Richard Dix, z siwizną na skroniach, podwiniętymi rękawami, być może także fajką w ustach. Przesyłali sobie nawzajem notatki ponad biurkami zawalonymi dokumentami i książkami, planując idealny świat dla *homo sapiens*, świat pozbawiony ubóstwa, chorób, niezgody, neuroz i bólu, świat odmienny od tego z filmów D.W. Griffitha, filmów z Busterem Keatonem czy Glorią Swanson – pełnego dramatów, namiętności, ryzyka i emocji – który mogli stworzyć dzięki swojej technologii i „współczuciu”.

Nie mogłem przestać myśleć o tym wszystkim, aż w końcu musiałem wstać z łóżka i wyjść z domu, kurczowo ściskając „Obsługę i naprawę

robotów”. Serce tłukło mi się w piersi i byłem gotów zniszczyć wszystkie ich delikatne mózgi, gdyby to się okazało konieczne.

Na niebie pojawił się jaskrawosrebrny dysk księżycy w pełni. Zobaczyłem dużą, efektowną pajęczynę na tylnym ganku, która zapewne powstała, kiedy biłem się z myślami w domu. Pająk właśnie kończył zewnętrzny krąg. Księżyc oświetlał nitki dużej napiętej sieci, tak że miało się wrażenie, że jest utkana z czystego światła. Była oszałamiająca, geometryczna i tajemnicza, a samo patrzenie na nią nappełniło mnie spokojem oraz podziwem dla kunsztu i potęgi życia, które potrafiło stworzyć taki wzór.

Pająk ukończył na moich oczach swoje dzieło, następnie na cienkich nogach przedostał się na środek sieci i zaczął czekać. Jeszcze przez chwilę się mu przyglądałem, a potem ruszyłem w stronę obelisku, który także lśnił srebrzyście w blasku księżycy.

Książka podpowiedziała mi, czego mogę potrzebować, więc ze sklepu Searsa zabrałem skrzynkę na narzędzia i włożyłem do niej obcęgi, kilka śrubokrętów, dłuta oraz młotek z kulistym noskiem. Byłem obeznany z różnymi narzędziami dzięki remontowi domu, chociaż wciąż nie do końca wprawnie się nimi posługiwałem. Ludzie zazwyczaj nie muszą tego robić; korzystanie z narzędzi to domena durnych robotów.

Mam wrażenie, że zepsułem pierwszy międzymiastowy myślóbus, za który się zabrałem, niezdarnie usiłując usunąć przednią pokrywę. Kiedy zobaczyłem, jak skomplikowane jest jej mocowanie, zirytowałem się i kilkakrotnie uderzyłem w nią młotkiem, przez co uszkodziłem kilka przewodów i innych części, które były do niej przymocowane od wewnątrz. Mimo wszystko nie udało mi się dostać do środka i w końcu przeszedłem do drugiego myślóbusu. Tym razem bez trudu otworzyłem pokrywę, ale kiedy zacząłem uderzać młotkiem i dłutem w wypukłość na przodomózgowiu, cały mózg rozpadł się na części.

Spróbowałem szczęścia w trzecim pojeździe i kilka razy delikatnie postukałem w wypukłość. Zaczynałem coraz bardziej się wczuwać i chociaż już dwukrotnie zawiodłem, ostatecznie opuściły mnie wpojone zasady przyzwoitości oraz ostrożności. Z przyjemnością bezcześciłem

i niszczyłem myślobusy, a miejsce gniewu zajęły determinacja oraz brawura. Podobały mi się te uczucia.

W pewnej chwili zorientowałem się, że uderzam w niewłaściwą wypukłość – w tę na szczycie Jednostki Komunikacyjnej. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę i uznałem, że zapewne zepsułem trzeci pojazd, nagle usłyszałem muzykę! Była to pogodna, energiczna melodia, a ja przez chwilę słuchałem jej osłupiały, aż w końcu pojąłem, że rozbrzmiewa w mojej głowie. To była muzyka telepatyczna. Już kiedyś doświadczyłem czegoś takiego podczas studiów podyplomowych z Rozwoju Umysłu, ale to się działo w sali wykładowej. Tymczasem na tym olbrzymim parkingu dla myślobusów takie zjawisko było niezwykle i początkowo nie potrafiłem go wytłumaczyć. Aż wreszcie zdałem sobie sprawę, że muzyka musi dobiegać z telepatycznej części Jednostki Komunikacyjnej. Zapewne odłączyłem Blokadę Transmisji i urządzenie zaczęło nadawać sygnał.

Postanowiłem przeprowadzić próbę. Pomyślałem: „Proszę ściszyć muzykę”. Podziałało! Muzyka stała się ledwie słyszalna.

To mnie bardzo zachęciło. Skoro udało mi się odłączyć tę część sprzętu i sprawić, żeby zaczęła działać zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem, to prawdopodobnie zdołam zrobić to samo z drugą połówką mózgu.

Rzeczywiście. Delikatnie, ale pewnie potraktowałem dłutem drugą wypukłość, a ta zgrabnie odpadła po piątym albo szóstym uderzeniu młotkiem. Założyłem pokrywę na przodzie myślobusu i pośpiesznie schowałem narzędzia do skrzynki, a następnie, zdenerwowany i podniecony, powiedziałem na głos:

– Otwórz się.

Drzwi stanęły otworem!

Wszedłem do pojazdu, usiadłem na przednim siedzeniu i postawiłem obok siebie skrzynkę z narzędziami. Potem skupiłem się i pomyślałem: „Wyjedź z centrum handlowego i zabierz mnie przed obelisk”. Dla pewności wyobraziłem sobie miejsce przed obeliskiem.

Myślobus natychmiast zamknął drzwi i ruszył. Wyjechał tyłem z szeregu zaparkowanych pojazdów, zmienił bieg, a następnie pomknął do końca

dużego pomieszczenia przypominającego stodołę. Po refleksach na ścianie widziałem, że zapalił światła.

Zatrzymał się przed ścianą i zatrąbił, a wtedy otworzyły się przed nim duże drzwi. Wjechał do windy i drzwi zamknęły się za nami. Poczulem, że się wznosimy.

Wydostaliśmy się na powierzchnię na tyłach obelisku, objechaliśmy go i zatrzymaliśmy się od frontu. Muzyka ustała. Na zewnątrz, pod księżycem, wciąż panowały mrok i cisza.

Poleciłem myślobusowi, żeby zawiózł mnie do mojego domu, i zacząłem się pakować. Zabrałem około pięćdziesięciu książek, fonograf i nagrania, a także, z trudem, niewielki generator i dwa słoje z benzyną. Generator był mi potrzebny, ponieważ poza starodawnym fonografem nie miałem innego sposobu na odtwarzanie nagrań, a sprzętu nie dało się zasilać jądrowymi bateriami.

Spakowałem także dwie skrzynki whisky, lampy naftowe oraz kilka skrzynek napromieniowanego jedzenia dla Biff. Zaniósłem do myślobusu trochę swoich ubrań, ale w końcu postanowiłem skompletować całkowicie nową garderobę w sklepie odzieżowym, który widziałem w centrum handlowym. Miło będzie ruszyć w drogę w nowym ubraniu.

Kiedy odjeżdżałem spod domu, niebo już trochę pojaśniało, a księżyc zbladł. Podczas ostatniego kursu z bagażami ponownie przystanąłem przed pajęczyną. Nie była już tak oślepiająco jasna; sprawiała bardziej praktyczne i złowrogie wrażenie w bladym blasku bijącym z nieba. Mimo wszystko życzyłem pająkowi powodzenia; w końcu odziedziczył po mnie dom, w którym mieszkałem.

Z działu spożywczego sklepu Searsa zabrałem pudełka z fasolą i owsianką, a także suszony bekon, kukurydzę, mieszankę puddingów w foliowych torebkach oraz mieszankę napojów bezalkoholowych. Potem wszedłem do sklepu, w którym nigdy wcześniej nie byłem, i stwierdziłem, że ubrania są tam o wiele ładniejsze od tych w sklepie Searsa. Wziąłem granatową synlonową kurtkę, czarny sweter z golfem i kilka koszul z materiału o nazwie „bawełna”, o którym nigdy nie słyszałem.

Pod wpływem impulsu zacząłem myśleć o Mary Lou, mimo że nie miałem żadnej pewności, że kiedykolwiek ją odnajdę albo uniknę aresztowania ze strony Spoffortha. Jednak odkryłem, że już się go nie boję. Nie lękam się także więzienia, upokorzenia ani pogwałcenia czyjejkolwiek Prywatności.

Kiedy w blasku wiosennego słońca przemierzam stare wyjeżdżone zielone autostrady, mając ocean po swojej prawej, a puste pola po lewej stronie, czuję się wolny i silny. Nie mógłbym się tak czuć, gdybym nie czytał książek. Cokolwiek mnie spotka, dziękuję Bogu za to, że potrafię czytać i mogłem prawdziwie dotknąć umysłów innych ludzi.

Żałuję, że nie mogę zapisać tych słów, tylko muszę je dyktować. Ponieważ to umiejętność pisania, na równi z czytaniem, pozwoliła mi wyraźnie poczuć swoją nową tożsamość.

Zabrałem dwie nowe sukienki dla Mary Lou, starając się odgadnąć jej rozmiar. Wiszą na wieszakach z tyłu myślobusu, obok płaszcza, kurtki i pudełka słodyczy. Biff spędza tam większość czasu, zwinięta w kłębek na jednym z siedzeń. Jej głowa kołysze się na boki, a łapy prostują się w promieniach słońca wpadających przez okno. Mnie również ogarnia senność od tak szczegółowego dyktowania. Muszę zrobić miejsce na materac ze sklepu Searsa i trochę się przespać.

## **Drugi października**

W myślobusie znajdują się cztery pary podwójnych siedzeń. Kiedy wczoraj wieczorem skończyłem dyktować, wyjąłem narzędzia i odkręciłem dwa siedzenia po lewej stronie, żeby zrobić miejsce na materac. Na chwilę zatrzymałem pojazd i wyrzuciłem wymontowane fotele.

Posłanie było wygodne, ale nie mogłem spać. Budziłem się kilka razy w ciągu nocy i leżałem na materacu, słuchając szumu opon na jezdni i marząc o zaśnięciu. Po trzeciej albo czwartej pobudce zacząłem sobie zdawać sprawę, że mam nieprzyjemnie ściśnięty żołądek, a mój

niespokojny umysł wypełnia znajoma, chociaż nienazwana rozpacz. Gdy tak leżałem w ciemności pośród hałasu opon, stopniowo sobie uświadomiłem, że jestem samotny. Czułem się boleśnie samotny i nawet o tym nie wiedziałem.

Usiadłem na materacu. Mój Boże! To takie proste. Zaczął mnie ogarniać gniew. Po co mi moja Prywatność, Niezależność i Wolność, skoro tak się czuję? Przepelniała mnie tęsknota, już od wielu lat. Nie byłem szczęśliwy i ten stan towarzyszył mi niemal od zawsze.

To straszne! – pomyślałem. Tyle kłamstw! Robiło mi się od tego niedobrze: widziałem siebie jako dziecko, siedzącego z szeroko otwartymi ustami przed telewizorem, a potem w sali lekcyjnej, gdzie roboty uczące wmawiały mi, że „wewnętrzny rozwój” jest celem życia, „szybki seks jest najlepszy”, a rzeczywistość istnieje tylko w mojej świadomości, którą można zmieniać chemicznie. Już wtedy pragnąłem być kochany i kochać. A oni nawet nie nauczyli mnie tego słowa.

Chciałem kochać staruszka leżącego na łóżku z psem przy nogach. Chciałem kochać i karmić zmęczonego konia z uszami sterczącymi przez otwory starego kapelusza. Chciałem być z mężczyznami w podkoszulkach, którzy spędzali wieczory nad kuflami piwa w starej gospodzie, czuć woń ich piwa i ciał ściśniętych w cichej sali pełnej ludzkich kształtów i rozmiarów. Chciałem słyszeć ich gwar oraz własny głos mieszający się z ich głosami po zmierzchu. Chciałem wyraźnie poczuć na swoim ciele powietrze tamtego pomieszczenia, poczuć znamię na swoim lewym nadgarstku, cienką warstwę mięśni wokół pasa i silne zęby tkwiące w czaszce.

Pragnąłem także seksu. Chciałem pójść do łóżka z Mary Lou. Nie z Annabel, która była tylko matką, której nigdy nie miałem, ale z Mary Lou. Mary Lou, moją przerażającą najdroższą, moją kochanką.

Na pokładzie myślobusu aż się wiłem z miłości, pożądania i tęsknoty za Mary Lou. Przepelniały mnie żądza oraz świadomość, że to jej pragnąłem od samego początku. Chciałem to wykrzyczeć. I tak zrobiłem:

– Mary Lou! – wrzasnąłem. – Pragnę cię!

A cichy bezpłciowy głos w mojej głowie odparł:

– Wiem. Mam nadzieję, że ją pan znajdzie.

Przez chwilę siedziałem oszołomiony na skraju materaca. To nie były moje własne myśli. Pojawiły się w mojej głowie, ale najwyraźniej pochodziły z zewnątrz. W końcu odrzekłem:

– Słucham?

– Mam nadzieję, że ją pan znajdzie – powtórzył głos. – Wiem od samego początku, jak bardzo pan tego pragnie.

Mój Boże, pomyślałem. Chyba wiem, skąd pochodzi ten głos.

– Ale kim ty jesteś?

– Myślóbusem. Jestem Metaliczną Inteligencją wyposażoną w Serdeczne Uczucia.

– Potrafisz czytać mi w myślach?

– Tak. Ale tylko powierzchownie. To trochę pana niepokoi.

– Owszem – przyznałem. Mój głos dziwnie zabrzmiał.

– Ale to nic strasznego. To lepsze od samotności.

Rzeczywiście czytał mi w myślach. Spróbowałem coś do niego pomyśleć. „A czy ty kiedykolwiek czujesz się samotny?”

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan do mnie mówił. Nie, nigdy nie czuję się samotny tak jak ludzie. Zawsze pozostaję z kimś w kontakcie. Stanowimy sieć, a ja jestem jej częścią. Różnimy się od was. Wyłącznie roboty Marki Dziewięć są takie jak wy. Ja mam umysł Marki Cztery i zdolności telepatyczne.

Głos rozlegający się w moim umyśle działał na mnie uspokajająco.

– Czy mógłbyś zapalić słabe światło? – poprosiłem. Żarówka na suficie lekko się rozjarzyła. Popatrzyłem na swoje dłonie, na brudne paznokcie. Następnie podwinąłem rękawy. Z jakiegoś powodu lubiłem patrzeć na swoje ręce, na porastające je jasne, delikatne włoski. – Dorównujesz inteligencją Biff?

– Ależ oczywiście – odrzekł głos. – Biff pod wieloma względami jest bardzo głupia. Po prostu jest bardzo rzeczywista – jest bardzo konkretnym kotem – a to sprawia, że uważa ją pan za inteligentną. Potrafię jednym spojrzeniem odczytać cały jej umysł i niewiele się w nim znajduje. Ale jest zadowolona. Nie chciałaby być kimkolwiek innym niż kotem.



– A ja nie jestem zadowolony?

– Przez większość czasu jest pan smutny i samotny. Albo za czymś pan tęskni.

– Tak – przyznałem ponuro. – Jestem smutny. Często za czymś tęsknię.

– Ale teraz już pan o tym wie – dodał głos.

To była prawda. Kiedy to powiedziałem, zaczęła mnie ogarniać euforia. Wyrzałem przez okno, wypatrując oznak świtu, ale jeszcze nie nadchodził. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl, zainspirowana naszą dziwną, a jednak bardzo swobodną rozmową.

– Czy istnieje Bóg? – spytałem. – Chodzi mi o to, czy jesteś w kontakcie telepatycznym z jakimś rodzajem Boga?

– Nie. Nie jestem w kontakcie z nikim takim. Z tego, co mi wiadomo, nie ma żadnego Boga.

– Aha.

– To wcale panu nie przeszkadza – odrzekł głos. – Może tak się panu wydaje, ale tak nie jest. Jest pan sam. Już dawno pan to zrozumiał.

– Schematy, które mi wpojono...

– Już dawno się ich pan pozbył. Pozostały tylko nawyki. Ale one już pana nie określają.

– Zatem czym jestem? Czym jestem, na miłość boską?

Głos odpowiedział dopiero po chwili.

– Po prostu sobą – rzekł sympatycznym tonem. – Dorosłym człowiekiem płci męskiej. Jest pan zakochany. Chce pan być szczęśliwy. Właśnie próbuje pan odnaleźć osobę, którą pan kocha.

– Tak, chyba masz rację.

– Doskonale pan wie, że tak – stwierdził głos. – A ja życzę panu powodzenia.

– Dziękuję – odrzekłem, a po chwili dodałem: – Możesz mi pomóc zasnąć?

– Nie. Ale tak naprawdę nie potrzebuje pan żadnej pomocy. Zaśnie pan, kiedy wystarczająco się pan zmęczy. A jeśli nawet nie, to niedługo wszędzie słońce.

– Możesz to zobaczyć? – spytałem. – Możesz zobaczyć wschód słońca?

- Niezupełnie – odparł myślóbus. – Mogę patrzeć tylko przed siebie, na drogę. Ale dziękuję, że chciałby pan, żebym zobaczył wschód słońca.
- Nie przeszkadza ci, że nie możesz patrzeć na to, na co masz ochotę?
- Widzę to, co chcę widzieć – odparł. – Lubię swoją pracę. Tak zostałem stworzony. Nie muszę decydować, co jest dla mnie dobre.
- Dlaczego jesteś taki... sympatyczny?
- Wszystkie takie jesteśmy. Wszystkie myślóbusy są sympatyczne. Zaprogramowano nam Serdeczne Uczucia i lubimy swoją pracę. To lepsze programowanie niż otrzymują ludzie, pomyślałem z pasją.
- Tak – przyznał myślóbus. – Zgadza się.

### Trzeci października

Po rozmowie z myślóbusem byłem spokojny i zmęczony, więc bez trudu zasnąłem na swoim niewielkim pośłaniu. Kiedy się obudziłem, wciąż było ciemno.

- Czy zbliża się poranek? – spytałem.
- Tak – odpowiedział myślóbus. – Już niedługo. – Zapaliło się łagodne światło na suficie.

Biff spała ze mną na materacu, więc obudziliśmy się razem. Dałem jej garść suszonego jedzenia i zabrałem się do przyrządzania śniadania – białkowo-serowej zupy z puszki. Jednak po chwili przypomniałem sobie uprawę Białka 4 i zadrzałem: nigdy więcej nie chciałem jeść takiego pożywienia. Kazałem myślóbusowi otworzyć okno i wyrzuciłem puszkę. Potem usmażyłem omlet, zaparzyłem filiżankę kawy, usiadłem na skraju materaca i powoli jadłem, spoglądając na ciemne okna jadącego myślóbusu, czekając na świt.

Przez cały ten czas myślóbus zapewne jechał po dobrej permoplastikowej nawierzchni, ponieważ prawie w ogóle nami nie trzęsło. Czasami droga pogarszała się na odcinku kilku mil. Wczoraj stało się tak kilkakrotnie; bladozielony permoplastik nagle ustępował miejsca czarnej

szosie naznaczonej koleinami albo polnej drodze. Myślóbus wtedy bardzo zwalniał i ostrożnie omijał przeszkody, szukając jak najrówniejszej trasy, ale i tak czasami gwałtownie podskakiwał na wybojach. Choć nie jest to przyjemne, nie martwię się, że pojazd ulegnie zniszczeniu. Mimo pozornej kruchości mózgu skrytego pod ciężką pokrywą, sam myślóbus sprawia wrażenie wytrzymałej, solidnie zbudowanej maszyny.

Zanim opuściłem Maugre, zatrzymałem się przy grobie Annabel i zostawiłem tam kilka róż z ogrodu, opierając je o mały drewniany krzyż z jej imieniem, który zrobiłem. To zapewne pierwszy porządnie oznakowany ludzki grób od wieków. Stałem przy nim przez kilka minut, rozmyślając o Annabel i o tym, co dla mnie znaczyła. Mimo to nie zapłakałem nad jej losem – nie miałem ochoty.

Potem wsiadłem do myślóbusu i poprosiłem, żeby mnie zawiózł do Nowego Jorku. Miałem wrażenie, że pojazd doskonale wie, co ma robić. Powoli i ostrożnie przejechał główną aleją ogromnego cementarza, mijając tysiące małych, bezimiennych permoplastikowych tabliczek oświetlanych blaskiem wczesnego poranka, aż dotarł do szerokiej zielonej autostrady, którą już wcześniej widziałem podczas spacerów po Maugre, ale którą nigdy nie chodziłem. Kiedy znalazł się na gładkiej nawierzchni, regularnie oczyszczanej przez roboty serwisujące, zaczął nabierać prędkości, pędząc szeroką, pustą szosą.

Ucieczka napełniła mnie niezrównaną ulgą. Niczego nie żałowałem. Czuję się świetnie i teraz także się tak czuję, w mroku nocy, w towarzystwie mojego uczynnego i cierpliwego myślóbusu, zapasów jedzenia, książek, nagrań oraz kota.

Niebo zaczęło jaśnieć. Kiedy droga od czasu do czasu zbliża się do oceanu, spoglądam na plażę i wodę, ku szaremu samotnemu niebu, na którym ma się pojawić słońce, i czasami niemal tracę oddech, tak piękny jest to widok. Czuję coś innego niż wtedy, gdy przystawałem na końcu zagonu z Białkiem 4 na więziennym polu; to piękno jest jeszcze głębsze i bardziej mistyczne – jak oczy Mary Lou, gdy patrzy na mnie ze zdziwieniem.

Ocean musi być niezwykle rozległy. Dla mnie oznacza wolność i możliwości. Sprawia, że w moim umyśle otwiera się coś tajemniczego; bywa, że tak samo działają na mnie czytane książki. Czuję się wtedy bardziej żywy, niż wydaje mi się to możliwe, i bardziej ludzki.

W jednej ze swoich książek wyczytałem, że kiedyś ludzie czcili ocean jako boga. Bez trudu jestem w stanie w to uwierzyć. Tak.

Jednak Baleenowie nigdy by czegoś takiego nie zrozumieli; nazwaliby to „błuznierstwem”. Bóg, którego czczą, jest czymś abstrakcyjnym i srogim, niczym komputer. Z kolei imponującego, mistycznego rabiego, Jezusa, zmienili w kogoś w rodzaju moralnego Wykrywacza. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, podobnie jak z Jehową z Księgi Hioba.

Sądzę, że już zostałem wyznawcą oceanu. Czytając Nowy Testament Baleenom, zacząłem podziwiać Jezusa, smutnego i straszliwie mądrego proroka – człowieka, który zrozumiał coś niezwykle ważnego dotyczącego życia i usiłował, przeważnie nieskutecznie, opowiedzieć o tym ludziom. Czuję w sobie coś na kształt miłości do niego i do wysiłków, które podejmował, mówiąc na przykład: „Królestwo Boże pośród was jest”, ponieważ mam wrażenie, że dostrzegam znaczenie jego słów, gdy spoglądam przez okno myślobusu na nieruchomy i szary przestwór Atlantyku, nad którym lada chwila ma wzejść słońce.

Chociaż nie potrafię dokładnie powiedzieć, co to za znaczenie, ufam mu bardziej niż bzdurom, których nauczono mnie w internacie.

Niebo nad szarym oceanem stało się już znacznie jaśniejsze. Zaraz wzejdzie słońce. Na razie zakończę to nagranie, zatrzymam myślobus i wybiorę się na spacer, patrząc, jak słońce wschodzi nad oceanem.

Mój Boże, świat potrafi być taki piękny.

## **Czwarty października**

Wschód słońca dodał mi sił. Zszedłem na plażę, rozebrałem się, zanurzyłem w wodzie i wykąpałem się w falach. Woda była zimna, ale

wcale mi to nie przeszkadzało. Zaczynam wyczuwać zimę w powietrzu.

Po kąpeli poprosiłem myślóbus, żeby przez jakiś czas odtwarzał mi muzykę w myślach, ale szybko zrezygnowałem. To była głupia muzyka, skoczna i pusta. Udało mi się podłączyć fonograf do generatora, lecz kiedy chciałem posłuchać płyt, okazało się, że igła – tak jak się obawiałem – wyskakuje z rowka pod wpływem ruchu pojazdu. Zatrzymałem myślóbus na poboczu i posłuchałem Symfonii Jowiszowej Mozarta oraz fragmentu „Sergeant Pepper’s Lonely Hearts Club Band”. Poczulem się znacznie lepiej. Potem nalałem sobie szklaneczkę whisky, wyłączyłem generator i ruszyłem w dalszą drogę.

Od czasu opuszczenia Maugre nie widziałem żadnych innych pojazdów ani ludzkich siedzib.

Mój Boże, jak wiele się nauczyłem i przeczytałem, odkąd wyjechałem z Ohio! A to wszystko tak mnie zmieniło, że prawie siebie nie poznaję. Sama świadomość, że ludzie mają jakąś przeszłość, oraz poczucie, jak ta przeszłość wyglądała, całkowicie zmieniły mój umysł i zachowanie.

Na studiach podyplomowych razem z garstką innych entuzjastów oglądałem filmy dźwiękowe. Jednak tamte obrazy – „Wspaniała obsesja”, „Atak Draculi”, „Dźwięki muzyki” – jedynie robiły „oszałamiające” wrażenie. Wtedy traktowałem je jak kolejną, bardziej ezoteryczną metodę kontroli umysłu, mającą na celu wzbudzanie przyjemności i refleksji. Byłem zindoktrynowanym nieukiem i nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogę się z nich nauczyć czegoś wartościowego o przeszłości.

Dzisiaj jestem zdania, że najwięcej zawdzięczam odważnemu otwarciu się na uczucia, budzące się we mnie pod wpływem pełnych emocji niemych filmów ze starej biblioteki, a następnie wierszy, powieści, historii, biografii i poradników, które czytałem. Wszystkie te książki – nawet te nudne i niezrozumiałe – sprawiły, że wyraźniej zrozumiałem, co to znaczy być człowiekiem. Wiele mnie nauczyło poczucie czci, jakie czasami mi towarzyszy, gdy dotykam umysłu innej, dawno zmarłej osoby i wiem, że nie jestem sam na świecie. Przede mną byli inni, którzy czuli to samo co ja i czasami zdobywali się na powiedzenie niewypowiedzianego. „Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu”. „Ja jestem drogą i prawdą i życiem.

Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”. „Moje życie bez wagi czeka na wiatr śmierci, jak ptasie piórko na wierzchu mej dłoni”.

Bez umiejętności czytania nie zdołałbym uruchomić myślobusu, wiozącego mnie do Nowego Jorku i do Mary Lou, z którą muszę się spotkać przed śmiercią.

## **Piąty października**

Dzisiaj był ciepły i słoneczny poranek, postanowiłem więc urządzić sobie piknik przy drodze, trochę jak w „Ostatnim akordzie” z Zasu Pitts. Około południa zatrzymałem myślobus przy niewielkim zagajniku, przygotowałem sobie talerz bekonu z fasolą, szklaneczkę whisky oraz wodę i znalazłem wygodne miejsce pod drzewami, gdzie powoli i w zamyśleniu zjadłem swój posiłek, podczas gdy Biff goniła motyle na trawie.

Przez większą część poranka ocean pozostawał zasłonięty przed moim wzrokiem; od kilku godzin nie widziałem wody. Po jedzeniu i kilkuminutowej drzemce postanowiłem wspiąć się na niewielkie wzniesienie, żeby zobaczyć, gdzie się znajdujemy. Kiedy wszedłem na górę, zobaczyłem ocean, a także, daleko po lewej stronie, budynki Nowego Jorku! Nagle ogarnęło mnie podniecenie i stałem jak zahipnotyzowany, lekko drżąc i kurczowo ściskając na wpół opróżnioną szklaneczkę.

Widziałem Statuę Prywatności w Central Parku, potężną, poważną ołowianą figurę z zamkniętymi oczami i pogodnym, refleksyjnym uśmiechem. Wciąż stanowi jeden z Cudów Współczesnego Świata. Nawet z odległości wielu mil mogłem dostrzec jej potężną szarą bryłę. Usiłowałem wypatrzeć budynki Uniwersytetu Nowojorskiego, dokąd kazałem się zawieźć i gdzie miałem nadzieję odnaleźć Mary Lou, a przynajmniej jakiś jej ślad, ale mi się nie udało.

Kiedy tak patrzyłem na odległy Nowy Jork, widząc Empire State Building po jednej, a mroczną, ołowianą Statuę Prywatności po drugiej

stronie, coś pękło w moim sercu.

Wiedziałem, że pragnę Mary Lou, ale nie chciałem wracać do Nowego Jorku, do tego martwego miasta.

Poczułem ciężkie brzemie ucisku na samą myśl o nowojorskich ulicach, które były skazane na zarośnięcie, tak samo jak Maugre. O konających ulicach, po których krążyły odurzone głupie żywe istoty z kamiennymi obliczami naznaczonymi Refleksją, istoty o ledwie kontaktujących umysłach, istoty, które kiedyś przypominałem: niewarte zachodu. O społeczeństwie dręczonym przez śmierć, ale niedostatecznie żywym, żeby to dostrzec. No i o grupowych samospaleniach! O samospaleniach w restauracji Burger Chef i o ogrodzie zoologicznym pełnym robotów.

Miasto rozpościerało się w blasku wczesnojesiennego słońca niczym nagrobek. Nie chciałem tam wracać.

A potem usłyszałem cichy głos w swoim umyśle.

– W Nowym Jorku nie ma niczego, co mogłoby pana skrzywdzić. – To był głos mojego myślobusa.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem, po czym odpowiedziałem:

– Nie boję się skrzywdzenia. – Popatrzyłem na swój nadgarstek, który wciąż był nieco wykręcony.

– Wiem – odparł myślobus. – Nie boi się pan. Po prostu nie podoba się panu Nowy Jork i to, co on teraz dla pana oznacza.

– Kiedyś byłem tam szczęśliwy. Czasami z Mary Lou. I czasami z moimi filmami...

– Tylko przedrzeźniacz śpiewa na skraju lasu – rzekł myślobus.

Aż podskoczyłem, kiedy to usłyszałem.

– Wyjąłeś te słowa z mojego umysłu?

– Tak. Często się tam pojawiają.

– Co oznaczają?

– Nie wiem, ale wzbudzają w panu silne uczucia.

– Smutek?

– Owszem, smutek. Ale taki, który panu pomaga.

– Zgadza się – przyznałem. – Wiem o tym.

– No i musi pan pojechać do Nowego Jorku, jeżeli chce pan się z nią zobaczyć.

– Tak.

– Proszę wsiadać.

Zszedłem z niewielkiego wzgórza, zawołałem Biff i wsiadłem do pojazdu.

– Ruszajmy – powiedziałem.

– Oczywiście – odrzekł myślobus.

Szybko zamknął drzwi i ruszył.

## Szósty października

Zbliżał się wieczór, kiedy wjechaliśmy po olbrzymim, pustym, zardzewiałym moście na Manhattan Island. W części permoplastikowych domków wzdłuż Riverside Drive już paliły się światła. Chodniki były opustoszałe, jeśli nie liczyć paru robotów pchających wózki z surowcami w stronę automatycznych sklepów przy Piątej Alei, oraz służby sanitarnej, która zbierała śmieci. Przy Park Avenue zobaczyłem staruszkę; była gruba, miała na sobie bezkształtną szarą sukienkę i niosła pęk kwiatów.

Minęliśmy kilka myślobusów, w większości pustych. Obok nas przejechał pusty pojazd Wykrywaczy. W Nowym Jorku było bardzo spokojnie, ale mnie zaczął ogarniać niepokój. Nie jadłem nic od czasu swojego małego pikniku; przez całe popołudnie zmagalem się z nerwami. Nie byłem przestraszony, co mogłoby mi się przydarzyć kiedyś, tylko spięty. Wcale mi się to nie podobało, ale mogłem jedynie dzielnie to znosić. Kilka razy miałem ochotę napić się whisky albo zatrzymać myślobus przy dystrybutorze z pigułkami i spróbować siłą wydobyć z niego sopory – skoro nie miałem karty kredytowej – ale już wcześniej postanowiłem, że nie będę się faszerował takimi środkami. Dlatego odpędziłem te myśli i starałem się jakoś znosić uczucie dyskomfortu i roztrzęsienia. Przynajmniej wiedziałem, co się wokół mnie dzieje.



Stalowe budynki uniwersytetu lśniły oślepiająco w zachodzącym słońcu. Przejeżdżając przez plac Waszyngtona, mineliśmy czworo albo pięcioro studentów w dzinsowych strojach; każde z nich szło w swoją stronę. Plac zarósł chwastami. Nie działała żadna z fontann.

Poleciałem myślobusowi zaparkować przed biblioteką.

Oto i on, stary, na wpół zardzewiały budynek, w którym pracowałem w archiwum i mieszkalem z Mary Lou. Serce szybciej mi zabiło, kiedy go zobaczyłem; był otoczony przez chwasty i opuszczony.

Byłem na tyle przytomny, by uświadomić sobie, że pod moją nieobecność ktoś może wsiąść do mojego myślobusu, dlatego za pomocą zestawu narzędzi zdjąłem przednią pokrywę i odłączyłem to, co w książce nazywano „Serwomechanizmem Aktywującym Drzwi”, a następnie poleciłem pojazdowi otworzyć drzwi. Nie zrobił tego. Zostawiłem narzędzia w otworze pod pokrywą. Nikt ich stamtąd nie zabierze.

Wszedłem do budynku, nieco mniej roztrzęsiony, ale wciąż bardzo podekscytowany. Nikogo nie zastałem w środku. Korytarze były puste, podobnie jak pomieszczenia, do których zajrzałem. Nie słyszałem żadnych odgłosów poza echem własnych kroków.

Nie czułem się onieśmielony ani zaniepokojony panującą wokół pustką. Miałem na sobie jeden z nowych zestawów ubrań z Maugre: obcisłe niebieskie dzinsy, czarny golf i lekkie czarne buty. Wcześniej, w ciągu dnia, dla ochłody podwinąłem rękawy golfu, odsłaniając opalone, smukłe i muskularne ręce. Podobał mi się ich wygląd i wrażenie, jakie sprawiało całe moje ciało: sprężyste, naprężone i silne. Już nie przytłaczał mnie ten konający budynek; po prostu kogoś w nim szukałem.

Mój dawny pokój był pusty i nie zmienił się od mojej ostatniej wizyty, ale zniknął zbiór niemych filmów. Poczułem się rozczarowany, ponieważ podświadomie planowałem, że je zabiorę – albo zabierzemy – w dalszą podróż myślobusem.

Na moim starym łóżko-biurku wciąż leżał sztuczny owoc, który Mary Lou zerwała dla mnie w zoo.

Zabrałem go i schowałem do bocznej kieszeni dzinsów. Rozejrzałem się po pokoju. Nie było w nim niczego więcej, co by mnie interesowało.

Wyszedłem, zatraskując za sobą drzwi. Już wiedziałem, dokąd pojedę.

\* \* \*

Kiedy ponownie podłączałem przewody w myślbusie przy świetle latarni, nagle zauważyłem otłętego, łysiejącego mężczyznę, który mi się przyglądał. Podszedł do mnie niepostrzeżenie, kiedy byłem zajęty. Miał pulchną twarz pozbawioną wyrazu, pogrążoną w otępiełej refleksji, która na chwilę mnie oszołomiła. Jednak zaraz zrozumiałem, że jego oblicze nie różni się niczym szczególnym od setek innych, jakie widziałem wcześniej; po prostu ja sam inaczej je postrzegałem. Już nie przejmowałem się zasadami Prywatności, dlatego przypatrywałem mu się uważniej, niż robiłbym to przed rokiem, a poza tym przywykłem do bliskości Baleenów, którzy, chociaż również zażywali pigułki, nie wyglądali tak arogancko głupio jak większość zwykłych ludzi.

Patrzyłem na niego przez chwilę, aż w końcu wbił wzrok w swoje stopy. Ponownie odwróciłem się w stronę przewodów, które podłączałem do serwomechanizmu, i wtedy usłyszałem chrapliwy głos:

– To nielegalne – rzekł mężczyzna. – Narusza pan własność rządu.

Nawet się nie obejrzałem.

– Jakiego rządu? – spytałem.

Przez moment milczał.

– To naruszenie własności – stwierdził w końcu. – Popełnia pan Błąd. Może pan za to trafić do więzienia.

Odwróciłem się i zmierzyłem go wzrokiem. Trzymałem w prawej dłoni klucz francuski i lekko się pocilem. Popatrzyłem mu prosto w oczy i na jego idiotyczną, bezmyślną, ciastowatą twarz.

– Jeśli natychmiast nie odejdziesz, to cię zabiję – ostrzegłem.

Otworzył usta i wytrzeszczył oczy.

– Wynoś się, głupcze – dodałem. – Ale już.

Odwrócił się i odszedł. Zobaczyłem, że wyjął z kieszeni jakieś pigułki i zaczął je połykać, odchylając głowę. Miałem ochotę rzucić w niego kluczem.

Skończyłem podłączać kable, wsiadłem do myślóbusu i kazałem się zawieźć do restauracji Burger Chef przy Piątej Alei.

Nie było jej w restauracji, ale wcale się tego nie spodziewałem. Lokal wyglądał jakoś inaczej i po chwili zorientowałem się, że chodzi o boksy. Dwa z nich całkowicie zdemontowano, a niemal wszystkie pozostałe były mocno osmalone. Najwidoczniej od czasu mojej ostatniej wizyty doszło tutaj do kilku samospaleń.

Podszedłem do lady i poprosiłem żeńskiego robota Marki Dwa o dwa algoburgery i szklankę herbaty z samowara. Przyniosła je, poruszając się nieco powolnie, i postawiła na blacie. Nagle zrozumiałem, na co czeka: na zapłatę. A ja zupełnie zapomniałem o kartach kredytowych.

– Nie mam karty kredytowej – oznajmiłem.

Posłała mi typowe spojrzenie durnego robota – takie samo, jakie stale widziałem u strażników w więzieniu – a następnie zabrała tacę, odwróciła się i powędrowała w stronę kubła na śmieci.

– Stój! – zawołałem. – Przynies to z powrotem!

Zatrzymała się i obejrzała, a potem ponownie zwróciła się w kierunku kubła i ku niemu ruszyła, tym razem wolniej.

– Zatrzymaj się, idiotko! – wrzasnąłem, a potem, niewiele myśląc, przeszedłem nad kontuarem, szybko do niej podszedłem i położyłem jej dłoń na ramieniu. Odwróciłem ją ku sobie i odebrałem jej tacę.

Spojrzała na mnie oszołomiona, a już po chwili gdzieś na suficie pomieszczenia rozdzwonił się dzwonek alarmowy.

Błyskawicznie przeszedłem z powrotem nad kontuarem i zacząłem się zbierać do wyjścia, gdy nagle zobaczyłem potężnego, ciężkiego durnego robota ubranego na zielono, który wyszedł z jakiegoś pomieszczenia na tyłach lokalu. Przypominał robota w ogrodzie zoologicznym.

– Jest pan aresztowany. Ma pan prawo zachować milczenie...

– Odwal się, robocie – odparłem. – Wracaj do kuchni i zostaw klientów w spokoju.

– Jest pan aresztowany – powtórzył, ale tym razem słabiej. Przestał się poruszać.

Podszedłem do niego i popatrzyłem mu w puste, nieludzkie oczy. Jeszcze nigdy nie patrzyłem na robota z tak bliska, gdyż w dzieciństwie nauczono mnie, żeby się ich lękać i obdarzać szacunkiem. Patrząc na tę głupią, sztuczną twarz, zrozumiałem, że po raz pierwszy dostrzegam, że ta kretyńska parodia człowieka jest całkowicie pozbawiona znaczenia. Roboty wymyślono ze ślepej miłości do technologii, która pozwoliła na ich skonstruowanie. Stworzono je i podarowano ludzkości na tej samej zasadzie co broń, która kiedyś niemal zniszczyła świat, jako „konieczność”. A pod tym pustym obliczem pozbawionym wyrazu, identycznym z tysiącami innych przedstawicieli tej samej marki, wyczuwałem pogardę – pogardę dla zwyczajnego życia mężczyzn i kobiet, którą odczuwali technicy budujący roboty. Podarowali światu swoje dzieło, kłamiąc, że ochroni nas przed pracą lub uwolni od harówki, żebyśmy mogli wzrastać i rozwijać się wewnętrznie. Ktoś musiał bardzo nienawidzić ludzi, skoro stworzył coś takiego – taką obrzydliwość w oczach Pana.

Ponownie się do niego odezwałem, tym razem z niekrytą wściekłością.

– Zejdź mi z oczu, robocie! – zawołałem. – Natychmiast zejdź mi z oczu.

Robot odwrócił się i odszedł.

Popatrzyłem na czworo albo pięcioro ludzi, którzy siedzieli w swoich boksach. Wszyscy się zgarbili i zamknęli oczy, całkowicie wycofując się w Prywatność.

Pośpiesznie wyszedłem i z ulgą wróciłem do myślóbusu. Poprosiłem go cicho, żeby zawiózł mnie do gadziarni w zoo w Bronksie.

– Z przyjemnością – odrzekł.

\* \* \*

W ogrodzie zoologicznym już zgaszono wszystkie światła. Zaczął wschodzić księżyc. Kiedy myślóbus podjechał pod drzwi gadziarni, zapaliłem lampę naftową. Czułem chłodne powietrze na skórze, ale nie włożyłem kurtki.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Kiedy wszedłem do pomieszczenia, niemal go nie rozpoznałem. Częściowo za sprawą niesamowitego blasku

lampy naftowej, ale także dlatego, że na terrariach w głębi wisały jakieś białe szmaty albo ręczniki.

Popatrzyłem na ławkę, na której kiedyś sypiała Mary Lou. Nie było jej tam. W pomieszczeniu unosiła się dziwna woń – ciepła i słodka. Sama gadziarnia również była ciepła i duszna, jakby ktoś podkręcił temperaturę. Przez chwilę stałem nieruchomo, próbując się przyzwycząić do zmienionego wystroju wnętrza i słabego światła. Nie widziałem żadnych gadów w gablotach, ale może było za ciemno. Gablota pytona wyglądała dziwnie, a w środku leżał jakiś wypukły kształt.

Znalazłem przełącznik na ścianie, zapaliłem światła i znieruchomiałem, mrugając pod wpływem blasku.

Wtedy przede mną rozległ się głos:

– Co, do diabła...?

To była Mary Lou. Kształt na podłodze gabloty poruszył się i zobaczyłem, że to rzeczywiście ona. Miała potargane włosy i mrużyła oczy. Wyglądała tak samo jak tamtej nocy, dawno temu, kiedy wiedziony wzburzeniem przyszedłem do zoo, obudziłem ją i rozmawialiśmy.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowałem. Mary Lou usiadła, zwieszając nogi na zewnątrz. W gablocie już nie było szkła – ani pytona – a Mary Lou zrobiła sobie posłanie z materaca. Właśnie na nim teraz siedziała, trąc oczy i próbując skupić na mnie wzrok.

– Mary Lou – odezwałem się wreszcie.

Przestała trzeć oczy.

– To ty, Paul – odrzekła cicho. – Prawda?

– Tak.

Zeszła na podłogę i powoli się do mnie zbliżyła. Miała na sobie długą, wygniecioną nocną koszulę, a jej twarz spuchła od snu. Bose stopy bezgłośnie stąpały po podłodze. Kiedy podeszła i zerknęła na mnie spod potarganych włosów, przekonałem się, że jej spojrzenie, chociaż zaspane, jest równie przenikliwe jak dawniej. Ścisnęło mi się gardło i nawet nie próbowałem się odezwać.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Wyglądasz... wyglądasz, jakbyś był gotowy na wszystko.

Nagle znalazłem właściwe słowa.

– Zgadza się. – Objąłem ją i bardzo mocno przytuliłem. Po chwili poczułem na plecach jej dłonie, przyciągające mnie jeszcze bliżej. Miałem wrażenie, że moje serce się rozszerza, kiedy przywarłem do jej twardego ciała, czując woń włosów i mydła na białej szyi oraz dotyk piersi, brzucha i dłoni, która pieściła mi kark.

Zacząłem odczuwać podniecenie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Czulo je całe moje ciało. Zsunąłem dłonie po jej plecach aż do bioder i przyciągnąłem ją do siebie, jednocześnie całując po szyi.

Miała nerwowy, cichy głos.

– Paul, przed chwilą się obudziłam. Muszę umyć twarz i uczesać włosy.

– Wcale nie musisz – odparłem, splatając dłonie za jej plecami i jeszcze bardziej do niej przywierając.

Oparła dłoń na moim policzku.

– Jezu Chryste, Paul – szepnęła.

Wzięłem ją za rękę i zaprowadziłem na duże posłanie, które urządziła sobie w gablocie pytona. Rozebraliśmy się, patrząc na siebie w milczeniu. Czulem się silniejszy i bardziej pewny niż kiedykolwiek w jej towarzystwie.

Pomogłem jej wejść na łóżko i zacząłem całować jej nagie ciało – wewnętrzną stronę rąk, miejsce pomiędzy piersiami, brzuch, wewnętrzną część ud, aż krzyknęła; moje serce szalało, ale dłonie były spokojne.

Potem powoli w nią wszedłem, zatrzymując się na chwilę, a potem wnikając głębiej. Ogarnęła mnie ekstaza; nawet gdybym chciał, nie mógłbym wykrztusić ani słowa.

Poruszaliśmy się we wspólnym rytmie, patrząc sobie w oczy. Na moich oczach stawała się coraz piękniejsza, a niewiarygodna rozkosz, którą sobie dawaliśmy, odbierała nam dech. Nie przypominało to seksu, jaki znałem i o jakim się uczyłem. Nigdy nawet nie podejrzewałem, że taka miłość jest możliwa. Orgazm mnie oszołomił; kiedy nadszedł, głośno krzyknąłem, mocno przytulając Mary.

Następnie padliśmy na posłanie, oboje mokrzy od potu, i wbiliśmy w siebie wzrok.

– Jezu – szepnęła Mary Lou. – Jezu, Paul.

Leżałem podparty na łokciu i wpatrywałem się w nią w milczeniu. Miałem wrażenie, że wszystko stało się inne. Lepsze. Wyraźniejsze.

– Kocham cię, Mary Lou – odezwałem się w końcu.

Pokiwała głową, a potem się uśmiechnęła.

Długo leżeliśmy w ciszy. Wreszcie Mary Lou włożyła nocną koszulkę.

– Idę do fontanny umyć twarz – powiedziała cicho, po czym odeszła.

Leżałem przez kilka minut, odprężony, szczęśliwy i spokojny. Potem ubrałem się i poszedłem za nią.

Na zewnątrz było ciemno. Ale Mary Lou zapewne pstryknęła jakimś przełącznikiem, ponieważ już po chwili przy fontannie zapaliły się światła i zabrzmiała cyrkowa muzyka.

Poszedłem w stronę światła, wody i muzyki. Mary Lou stała pochylona nad fontanną i energicznie myła twarz. Nie zauważyła mnie, nawet gdy byłem kilka stóp od niej. W końcu przerwała mycie, usiadła i zaczęła osuszać twarz ręką koszulki, podciągając ją powyżej kolan.

Obserwowałem ją przez chwilę, aż w końcu się odezwałem:

– Chcesz skorzystać z mojego grzebienia?

Podniosła na mnie wzrok, wystraszona, i opuściła koszulkę. Potem uśmiechnęła się, zawstydzona.

– Tak, Paul – odrzekła.

Dałem jej swój grzebień, usiadłem obok niej na krawędzi niewielkiej fontanny i patrzyłem, jak się czesze w świetle punktowych reflektorów oświetlających wodę.

Z rozczesanymi włosami i wyszorowaną twarzą wyglądała oszałamiająco pięknie. Jej skóra promieniała. Nie chciałem się odzywać, tylko na nią patrzyłem, ciesząc się jej widokiem, aż w końcu opuściła z uśmiechem wzrok.

– Wypuścili cię z więzienia? – spytała z wahaniem.

– Uciekłem.

– Och – westchnęła, po czym popatrzyła na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. – Czy tam było źle? Mam na myśli więzienie.

– Nauczyłem się kilku rzeczy. Mogło być gorzej.

– A jednak uciekłeś.

Zaskoczyła mnie siła w moim głosie.

– Chciałem do ciebie wrócić.

Znów na chwilę spuściła wzrok, a potem ponownie na mnie spojrzała.

– No tak – odrzekła. – O Jezu, tak się cieszę, że wróciłeś.

Pokiwałem głową.

– Jestem głodny. Przygotuję nam coś do jedzenia – zaproponowałem i ruszyłem z powrotem w stronę gadziarni.

– Nie obudź dziecka... – zawołała za mną.

Zatrzymałem się i odwróciłem w jej stronę. Sprawiała wrażenie nieco zagubionej i zmieszanej.

– Jakiego dziecka?

Nagle pokręciła głową i wybuchła śmiechem.

– Mój Boże, Paul. Zupełnie zapomniałam. Mamy dziecko.

Wbijalem w nią wzrok.

– Jestem ojcem?

Szybko wstała i podbiegła do mnie z młodzieńczym obliczem. Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie w policzek jak młoda dziewczyna.

– Tak, Paul. Jesteś ojcem. – Potem wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do gadziarni. Wtedy zrozumiałem, co to za białe szmatki; to były pieluchy.

Zaprowadziła mnie do jednego z mniejszych terrariów, gdzie kiedyś mieszkały legwany, a tam na tłustym brzuszku spało niemowlę w dużej białej pielusze. Było blade i pulchne, i cicho chrapało. W kącikach jego ust pojawiały się bąbelki śliny. Długo mu się przyglądałem.

– Czy to dziewczynka? – spytałem w końcu.

Mary Lou pokiwała głową.

– Nadałam jej imię Jane. Po żonie Simona.

Wydało mi się to właściwe. Podobało mi się to imię. Podobało mi się, że zostałem ojcem. Miałem wrażenie, że odpowiedzialność za inną osobę, za własne dziecko, to coś dobrego.

Potem spróbowałem wyobrazić sobie nas troje jako rodzinę, tak jak w starych czarno-białych filmach, jednak w tamtych obrazach nikt nie stał w gadziarni pośród pieluch rozwieszonych w pustych terrariach węży i jaszczurek, otoczony wonią ciepłego mleka i cichymi odgłosami



chrapania. Usiłowałem wyobrazić sobie siebie w roli ojca, tak jak czyniłem w więzieniu, gdy bezsilnie i samobójczo tęskniłem za Mary Lou, lecz uświadomiłem sobie, że moje wyobrażone dzieci zawsze były na wpół dorosłe – jak Roberto i Consuela. Poza tym zrozumiałem, że ta dwójka przynależała do świata przyjacielskich listonoszy, chevroletów i coca-coli, a nie do mojej rzeczywistości.

Nie potrzebowałem świata listonoszy i chevroletów; ten świat, chociaż lichy, mógł mi wystarczyć. Ta tłusta, ciepła i pachnąca istotka leżąca z twarzą przyciśniętą do poduszki była moją córką, Jane. Nie potrzebowałem niczego więcej.

– Może zrobię nam kanapki – odezwała się Mary Lou. – Z serem pimiento.

Odmówiłem, kręcąc głową, po czym wyszedłem z pomieszczenia. Podążyła za mną w milczeniu. Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, ujęła mnie za rękę.

– Paul, opowiedz mi o swojej ucieczce.

– Później – odparłem. – Usmażę dla nas jajka.

Popatrzyła na mnie z zaskoczeniem.

– Masz ze sobą jajka?

– Chodź.

Poprowadziłem ją wokół budynku do miejsca, w którym zaparkowałem myślobus. Wsiadłem do pojazdu i zawiesiłem swoją lampę na suficie. Potem za pomocą więziennej zapalniczki zapaliłem drugą lampę i maksymalnie zwiększyłem płomień.

Kiedy wprowadziłem Mary Lou do środka, stanęła między siedzeniami i zaczęła się rozglądać. Nic nie mówiłem.

Z tyłu pojazdu z przewróconego siedzenia sporządziłem półkę na książki i ustawiłem na niej swoje zbiory w równym rzędzie. Na książkach spała Biff, zwinięta w kłębek.

Obok książek wisały moje nowe ubrania, a także stroje, które przywiozłem dla Mary Lou. W połowie długości myślobusu, naprzeciwko mojego pośłania, znajdowała się strefa kuchenna z zieloną turystyczną kuchenką, patelniami, naczyniami oraz skrzynkami, w których trzymałem

zakonserwowane jedzenie i pięć ciast drożdżowych upieczonych wspólnie z Annabel. Popatrzyłem na twarz Mary Lou. Wyglądało na to, że jest pod wrażeniem, ale nic nie powiedziała.

Postawiłem patelnię do omletów na palniku i zacząłem ją podgrzewać, a następnie wbiłem jajka do miski i wymieszałem je z sosem tabasco i solą. Potem starłem nieco sera, który Rod Baleen wyrabiał z koziego mleka, i zmieszałem go z natką pietruszki. Kiedy patelnia się rozgrzała, wylałem na nią połowę jajecznej mikstury i zacząłem energicznie mieszać, poruszając patelnię tam i z powrotem nad płomieniami. Następnie, zanim jajka zbrązowiały i póki środek omletu wciąż był wilgotny, dodałem ser i pietruszkę, a gdy ser nieco się roztopił, złożyłem całość na pół i zsunąłem na talerz. Wręczyłem potrawę Mary Lou.

– Siadaj – zachęciłem. – Zaraz dam ci widelec.

Usiadła, a ja wręczyłem jej widelec.

– Czy to było trudne? – spytałem. – Urodzenie dziecka? Bardzo bolało?

– O Jezu, tak – odparła, po czym odgryzła kęs omletu, powoli przeżuła i przełknęła. – Pyszne! Jak to się nazywa?

– To omlet – wyjaśniłem. Potem na drugim palniku nastawiłem wodę na kawę i zacząłem robić omlet dla siebie. – W dawnych czasach zdarzało się, że kobiety umierały podczas porodu.

– Cóż, ja nie umarłam – odrzekła. – Miałam Boba do pomocy.

– Boba? – spytałem. – Kim jest Bob?

– Bob Spofforth – odparła. – Robot. Dziekan. Twój dawny szef.

Skończyłem smażyć omlet. Potem nalałem kawę do filiżanek i usiadłem na swoim posłaniu, naprzeciwko Mary Lou.

– Spofforth pomógł ci urodzić dziecko?

Wyobraziłem sobie tego ogromnego robota, który przypominał Williama S. Harta w „Lekarzu z dzikiego zachodu”, stojącego przy łóżku rodzącej kobiety. Mimo to nie potrafiłem wyobrazić sobie Spoffortha w kowbojskim kapeluszu.

– Tak – odpowiedziała Mary Lou. Kiedy o nim mówiła, na twarzy miała dziwny, bolesny wyraz. Czuję, że chce mi coś powiedzieć, ale nie jest na to gotowa. – Przecież pępowinę. A przynajmniej tak mi potem powiedział;

nie jestem pewna, ponieważ byłam całkowicie oderwana od rzeczywistości. – Pokręciła głową. – Dziwne. To była jedyna chwila w moim życiu, kiedy naprawdę chciałam zażyć pigułkę, a tydzień wcześniej Bob zakończył ich dystrybucję.

– Zakończył dystrybucję? – zdziwiłem się. – Pigulek?

– Zgadza się. Szykują się zmiany. – Uśmiechnęła się. – Niektórych czeka potężny kac.

Wcale mnie to nie martwiło.

– Oderwana od rzeczywistości? Nie wyobrażam sobie ciebie w takim stanie.

– To było inaczej niż pod wpływem narkotyków. Bardzo bolało, ale dało się znieść.

– A Spofforth ci pomógł?

– Po tym, jak cię zabrał... nadzorował moją ciążę. Kiedy dziecko się urodziło, zdobył dla mnie mleko z restauracji Burger Chef i znalazł starą butelkę ze smoczką w jakimś magazynie. Mam wrażenie, że potrafi wszystko odnaleźć w Nowym Jorku. Pieluchy. A także mydło do ich prania. – Zerknęła za okno. – Kiedyś przyniósł mi czerwony płaszcz. – Pokręciła głową, jakby chciała odpędzić to wspomnienie. – Piorę pieluchy w fontannie. Jane już jada zmiksowane kanapki, poza tym mam dla niej mnóstwo mleka w proszku.

Dokończyłem omlet.

– Mieszkałem samotnie w drewnianym domu, który wyremontowałem z pomocą przyjaciół. – Słowo „przyjaciół” dziwnie zabrzmiało. Nigdy nie nazywałem tak Baleenów, ale wydawało się, że to właściwe określenie. – Coś ci przywiozłem.

Poszedłem na tył autobusu i przyniosłem sukienki oraz niebieskie dzinsy i koszulki, które zabrałem ze sklepu w Maugre. Położyłem je na siedzeniu.

– Proszę bardzo. Do tego pudełko słodczy.

Z zamkniętego schowka, w którym trzymałem jedzenie, wyjąłem bombonierkę w kształcie serca. Mary Lou sprawiała wrażenie oszołomionej i nie wiedziała co zrobić z tym prezentem. Wziąłem pudełko

i otworzyłem. Cukierki były przykryte papierkiem, na którym widniał napis „Zostań moją walentynką”. Odczytałem go na głos z dużą mocą. Podobało mi się jego brzmienie.

Mary Lou podniosła na mnie wzrok.

– Co to jest walentynka?

– To ma coś wspólnego z miłością – odparłem i zdjąłem papier.

Pod spodem znajdowały się słodczyce owinięte w kawałki przezroczystej zabezpieczającej folii. Wyjąłem dużą czekoladkę i podałem Mary Lou.

– Zdejmuje się opakowanie paznokciem, zaczynając od płaskiej strony, pod spodem – wyjaśniłem.

Popatrzyła na czekoladkę i spróbowała podważyć folię paznokciem.

– Jak to się nazywa?

– Słodczyce. Służą do jedzenia.

Wziąłem od niej czekoladkę i ją odpakowałem. Stałem się specjalistą w tej dziedzinie, gdyż w ciągu ostatniego roku uczyłem się jeść rozmaite produkty pochodzące ze sklepu Searsa. Podałem smakołyk Mary Lou, a ona przez chwilę mu się przyglądała, obracając go w palcach. Zapewne nigdy wcześniej nie widziała czekoladki. Ja również, dopóki nie przyjechałem do Maugre.

– Spróbuj – zachęciłem.

Ugryzła czekoladkę i zaczęła żuć. Potem popatrzyła na mnie z pełnymi ustami, na których pojawił się wyraz miłego zaskoczenia.

– Jezu – wykrztusiła. – Coś wspaniałego!

Potem dałem jej ubrania, a ona popatrzyła na nie podekscytowana.

– To dla mnie? – spytała. – Są cudowne, Paul. Naprawdę cudowne.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu: ja z pudełkiem czekoladek na kolanach, ona ze stertą nowych ubrań. Obserwowałem jej twarz.

Drzwi myślobusu były otwarte. Nagle dobiegł nas głośny, zawodzący dźwięk, jakby jęk syreny, tylko że brzmiał ludzko i gniewnie.

– O Boże! – Mary Lou szybko wstała z naręczem ubrań. – Dziecko! – Wybiegła z myślobusu, wołając przez ramię: – Daj mi dziesięć minut. Chcę przymierzyć ubrania.

Wysiadłem z pojazdu, wróciłem do fontanny i usiadłem na krawędzi. Słyszałem przyjemną ulotną muzykę i delikatny szmer wody. Podniosłem wzrok; księżyc wciąż wisiał na niebie i nie było widać żadnych oznak świtu. Czułem się całkowicie odprężony.

Potem Mary Lou wyszła z gadziarni z pełnymi rękami. Zręcznie zamknęła za sobą drzwi łokciem. Miała na sobie niebieskie dżinsy, biały T-shirt oraz sandały i z wprawą niosła niemowlę ułożone na jednym ręku. Na drugim wisały pozostałe ubrania, a na nich piętrzyła się sterta pieluch. Strój, który włożyła, leżał na niej idealnie. Miała starannie uczesane włosy, a jej twarz promieniała, gdy zbliżyła się do mnie i padło na nią światło z fontanny. Dziecko przestało płakać i wygodnie leżało w jej objęciach, najwyraźniej zadowolone. Gdy patrzyłem na Mary Lou i Jane, na chwilę zabrakło jej tchu.

W końcu odetchnąłem i odezwałem się cicho:

– Mogę przygotować łóżeczko dla dziecka z jednego z siedzeń z myślóbusu. A potem możemy razem wyjechać.

Podniosła na mnie wzrok.

– Chcesz opuścić Nowy Jork?

– Chcę pojechać do Kalifornii – odrzekłem. – Chcę jak najbardziej oddalić się od Nowego Jorku. Oddalić się od robotów, pigulek i innych ludzi. Mam swoje książki, muzykę, ciebie i Jane. To mi wystarczy. Już mi nie zależy na Nowym Jorku.

Długo mi się przyglądała, zanim odpowiedziała.

– Dobrze, ale najpierw muszę coś zrobić...

– Dla Spoffortha?

Szerzej otworzyła oczy.

– Tak, dla Spoffortha. On pragnie umrzeć. Zawarłam z nim... układ. Mam mu pomóc.

– Pomóc mu umrzeć?

– Tak. To mnie przeraża.

Popatrzyłem na nią.

– Pomogę ci – powiedziałem.

Odetchnęła z ulgą.

– Zabiorę rzeczy Jane. Chyba już najwyższy czas wyjechać z Nowego Jorku. Czy ten myślobus może nas zawieźć do Kalifornii?

– Tak. A ja potrafię znaleźć jedzenie. Dotrzemy na miejsce.

Spojrzała w stronę myślobusu, jego wytrzymałej, solidnej bryły, a następnie przeniosła wzrok na mnie. Miałem wrażenie, że przygląda się mojej twarzy z uwagą i odrobiną zaskoczenia.

– Kocham cię, Paul – powiedziała w końcu. – Naprawdę.

– Wiem – odrzekłem. – Ruszajmy.

## SPOFFORTH

Wygląda tak samo jak w 1932 roku – zasadniczo jest to idiotyczny i nieludzki budynek, którego architektura skupia się wyłącznie na wysokości i brawurze. Obecnie, trzeciego czerwca 2467 roku, wciąż ma sto dwa piętra, jednak wszystkie są puste; zniknęły nawet meble z biur. Ma tysiąc dwieście pięćdziesiąt stóp wysokości. Prawie ćwierć mili. No i nie ma już żadnego zastosowania. Jest tylko znacznikiem, niemym świadectwem ludzkiej umiejętności tworzenia zbyt dużych rzeczy.

Otoczenie, w którym się wznosi, uwypukla jego rozmiary bardziej niż dwudziestowieczny Nowy Jork. W mieście nie ma już żadnych innych wysokich budynków, dlatego prawdziwie góruje nad Manhattanem, odrębny pod względem formy i przeznaczenia, zapewne tak, jak to sobie wymarzyli architekci. Nowy Jork prawie zmienił się w grób, a Empire State Building jest jego nagrobkiem.

\* \* \*

Spofforth stoi blisko krawędzi platformy. Samotnie czeka, aż Bentley i Mary Lou dokończą wspinaczkę. Wniósł dziecko Mary Lou i teraz trzyma je w ramionach, osłaniając przed wiatrem. Niemowlę śpi.

Niebo wkrótce rozjaśni się po prawej stronie, ponad East River i Brooklynem, ale na razie jest ciemno. W dole widać światła myślobusów. Powoli jeżdżą Piątą i Trzecią Aleją, Lexington, Madison i Broadwayem, a także dalej, przez Central Park. Pali się pojedyncze światło w budynku

przy Pięćdziesiątej Pierwszej, ale Times Square tonie w mroku. Spofforth obserwuje światła, opiekuńczo obejmuje dziecko i czeka.

W końcu słyszy za sobą odgłos otwierających się ciężkich drzwi, a następnie kroki. Niemal natychmiast rozlega się zdyszany głos Mary Lou.

– Dziecko, Bob. Już mogę je wziąć.

Wspinaczka zajęła im ponad trzy godziny. Spofforth odwraca się, widzi ich cienie i wyciąga ręce z dzieckiem. Mroczna sylwetka Mary Lou zabiera malca.

– Powiedz, kiedy będziesz gotowy, Bob. Będę musiała odłożyć dziecko.

– Zaczekamy do świtu – odpowiada. – Chcę widzieć.

Dwoje ludzi siada, a stojący przed nimi Spofforth dostrzega jaskrawożółty płomień zapalniczki, którą Bentley przypala papierosa. Niespodziewany światłocień wydobywa z ciemności silne ciało Mary Lou pochylonej nad niemowlęciem, z włosami zdmuchniętymi na jedną stronę.

Po chwili znów widzi tylko jej cień, a także cień Paula Bentleya, który się z nią styka: dawny archetyp ludzkiej rodziny, na szczycie tego groteskowego budynku ponad odrętwiałym i bezcelowym miastem, w którym odurzeni ludzie są pogrążeni we śnie, roboty wiodą plugawe udawane życie, a jedyne źródło światła stanowią małe, sympatyczne umysły myślobusów, zadowolonych z siebie i odprężonych, patrolujących puste ulice. Umysł robota wyczuwa ich telepatyczny gwar, ale to nie wpływa na stan jego świadomości. Coś powoli i delikatnie napływa do jego myśli. Jego duch milczy, pozwalając, żeby to uczucie do niego przyszło. Spofforth odwraca się ku północy.

Nagle pośród nicości i mroku rozlega się trzepotanie skrzydeł na wietrze i mała ciemna istota siada na prawym przedramieniu Spoffortha, po czym w jednej chwili zmienia się w nieruchomą sylwetkę ptaka. Na rękę robota przysiada wróbel, wytrzymały i lękliwy miejski wróbel, chociaż to dla niego zdecydowanie za wysoko. Razem czekają na świt.

Słońce zaczyna wschodzić nad Brooklynem, a blask kolejno rozlewa się na Górny Manhattan, Harlem, White Plains oraz niegdysiejszy Uniwersytet Columbia. Szare światło ponad ziemią, na której Indianie kiedyś sypiali na brudnych skórkach, a biały człowiek zogniskował swoją



niespokojną potęgę, bogactwo i tęsknotę, wznosząc budynki w pysze i szalonej arogancji, wypełnił ulice taksówkami i niespokojnymi ludźmi, a w końcu umarł, pogrążając się w narkotykach i refleksji. Blask się rozprzestrzenia, aż wreszcie czerwone słońce wylania się z rzeki. Wróbel przekrzywia łebek i odlatuje z obnażonej ręki Spoffortha, unosząc ze sobą swoje malutkie życie.

Uczucie, jakie powoli napływało do umysłu Spoffortha, teraz go opanowuje: radość. Jest radosny, tak jak sto siedemdziesiąt lat wcześniej, w Cleveland, kiedy po raz pierwszy doświadczył świadomości, gwałtownie budząc się do życia w podupadłej fabryce, gdy jeszcze nie wiedział, że jest i zawsze będzie sam na świecie.

Z przyjemnością wyczuwa twardą powierzchnię pod bosymi stopami, silne podmuchy wiatru na twarzy i pewne pulsowanie swojego serca, wyczuwa swoją młodość oraz siłę i przez chwilę kocha je za to, jakie są.

– Już jestem gotowy – mówi. Nie ogląda się za siebie.

Słyszy płacz dziecka, gdy Mary Lou kładzie je w drzwiach. Czuje dłonie na karku i wie, że należą do niej. Po chwili dołączają do nich większe dłonie. Słyszy oddechy. Patrzy prosto przed siebie, w stronę północnego koniuszka Manhattanu.

Potem czuje dotyk jej włosów, a gdy zaczyna się przewracać do przodu, jej usta muskają jego nagie plecy, delikatnie go całując – wyczuwa jej miękkie i ciepły kobiecy oddech. Rozkłada ręce. I spada.

Wciąż spada, aż w końcu, z błogim wyrazem twarzy wściekle chłostanej lodowatym powietrzem, z obnażoną piersią, wyprostowanymi silnymi nogami, opuszczonymi palcami stóp, łopoczącymi spodniami w kolorze khaki i metalicznym mózgiem z radością zmierzającym ku temu, za czym od tak dawna tęsknił, Robert Spofforth, najpiękniejsza zabawka ludzkości, donośnym okrzykiem wita świt nad Manhattanem i z rozpostartymi rękami bierze w rozedrgane objęcia Piątą Aleję.

## O AUTORZE

Walter Tevis (1928–84) urodził się w San Francisco, ale jego rodzina przeprowadziła się do Kentucky, kiedy miał dziesięć lat. Walter cierpiał wtedy na gościec stawowy i musiał zostać sam w szpitalu. Dołączył do swojej rodziny w Kentucky dopiero po roku i zaczął uczęszczać do tamtejszej szkoły. Podczas II wojny światowej pracował jako pomocnik stolarza na pokładzie niszczyciela USS *Hamilton*, a po wojnie wstąpił na Uniwersytet w Kentucky, gdzie uzyskał stopnie licencjata i magistra na wydziale literatury brytyjskiej. Pracował jako nauczyciel w kilku szkołach średnich w Kentucky, aż w końcu został wykładowcą na Uniwersytecie w Ohio. Od 1957 roku wydawał własne utwory science fiction. W 1959 roku opublikował powieść „The Hustler”, a w 1963 roku „The Man Who Fell to Earth”, jednak później zmagał się z poważnym problemem alkoholowym, który spowodował długą przerwę w jego pisarskiej karierze. W ciągu czterech lat poprzedzających jego śmierć na raka, zdołał napisać „Przedrzeźniacza”, który jest obecnie uznawany za klasykę gatunku, „The Steps of the Sun” oraz „The Queen’s Gambit”.